HENRYK SIENKIEWICZ



POTOP

POWIEŚĆ

TOM VI



WYDAWNICTWO «W DRODZE»

JEROZOLIMA

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM VI





WYDAWNICTWO « W DRODZE »

Jerozolima



Printed in Palestine at The Jerusalem Press Ltd., Jerusalem
October, 1943

WYMIANA

ROZDZIAŁ I.

Jakkolwiek Ketling bliskim był osoby księcia Bogusława, jednakże nie wszystko wiedział i nie wszystko umiał opowiedzieć Kmicicowi, co się działo w Taurogach, albowiem zaślepiało go to, że sam się w Billewiczównie kochał.

Bogusław innego także miał powiernika, a mianowicie pana Sakowicza, starostę oszmiańskiego, i ten jeden tylko wiedział, jak głęboko zabrnął książę w afekt dla swojej wdzięcznej branki, oraz jakich sposobów używał, aby jej serce i osobę posiąść.

Miłość ta była poprostu żądzą piekącą, bo do innych uczuć serce bogusławowe nie było zdolne, ale tak gwałtowną, iż ów doświadczony w amorach kawaler głowę tracił. I nieraz wieczorami, gdy zostali ze starostą oszmiańskim samnasam, chwytał się Bogusław za włosy, wołając:

— Gorzeję, Sakowicz, gorzeję!

Sakowicz wnet sposób znajdował:

— Kto chce miód wybrać, — mówił — musi pszczoły odurzyć, a małoż to durzących dryjakwij ma medyk waszej ks. mości? Dziś mu słowo rzec, jutro będzie po harapie.

Lecz książę nie chciał chwytać się tego sposobu, a to z rozmaitych przyczyn. Najprzód, któregoś dnia, pojawił mu się we śnie stary pułkownik Billewicz, dziadek Oleńki i stanąwszy wedle wezgłowia, wpatrywał się w niego, aż do pierwszego piania kogutów, groźnemi oczyma. Bogusław ten sen zapamiętał, tak zaś był ów rycerz bez trwogi prze-

sądny, tak się bał czarów, sennych ostrzeżeń i nadprzyrodzonych zjawisk, iż dreszcz go przejmował na myśl, w jakiej grozie i w jakiej postawie pojawiłoby się po raz wtóry owo widziadło, gdyby za radą Sakowicza poszedł. Sam starosta oszmiański, który w Boga nie bardzo wierzył, ale snów i czarów bał się także, zachwiał się nieco w radach.

Drugą przyczyną powściągliwości bogusławowej było to, że „wołoszka“ bawiła z pasierbicą w Taurogach. Nazywano „wołoszką“ księżnę Januszową Radziwiłłową. Pani ta, pochodząc z kraju, w którym niewiasty dość wolne miewają obyczaje, nie była wprawdzie zbyt surową, owszem może, aż nadto na uciechy dworzan i fraucymeru wyrozumiałą, jednakże nie mogłaby ścierpieć, aby pod jej bokiem człowiek, mający być mężem jej pasierbicy, spełnił występek wołający o pomstę do nieba.

Lecz i później, gdy wskutek namów Sakowicza i z wolą księcia wojewody wileńskiego „wołoszka“ wyjechała z księżniczką Januszówną do Kurlandyi, Bogusław nie ośmielił się na występek. Bał się straszliwego krzyku, którypy na Litwie całej powstać musiał. Billewiczowie, ludzie możni, nie omieszkaliby go gnębić procesem, prawo zaś karało podobne uczynki utratą mienia, czci i gardła.

Radziwiłłowie byli wprawdzie dość potężni i mogli deptać po prawie, lecz gdyby zwycięstwo przechyliło się w wojnie na stronę Jana Kazimierza, wówczas i tak mógł młody książę popaść w srogie terminy, w których zbrakłoby mu potęgi, przyjaciół i popleczników. A właśnie trudno już było przewidzieć, jak się wojna skończy, gdy Kazimierzowi codzień sił przybywało, Karolowa zaś potęga malała konieczną ludzi utratą i wyczerpywaniem się pieniędzy.

Książę Bogusław, człowiek popędliwy, ale i polityk, liczył się z położeniem. Żądze trawiły go ogniem, rozum doradzał powściągliwość, strach zabobonny kiełznał porywy krwi, jednocześnie przyszły nań choroby, jednocześnie zwaliły się sprawy wielkie a pilne, od których częstokroć los

całej wojny zależał i te wszystkie przyczyny targały duszę książęcą, aż ją znużyły śmiertelnie.

Wszelako nie wiadomo, jakby się skończyła walka, gdyby i nie miłość własna bogusławowa. Był to pan niezmiernego o sobie rozumienia. Poczytywał się za niezrównanego statystę, wielkiego wodza, wielkiego rycerza i niezwyciężonego zdobywcę serc niewieścich. Miałżeby uciekać się do siły lub odurzających napojów, on, który skrzynię kowaną listów miłosnych od różnych znamienitych zagranicznych dam z sobą woził? Miałyżby jego dostatki, jego tytuły, jego potęga, królewskiej niemal równa, jego wielkie imię, uroda i dworność nie wystarczyć do pokonania jednej trusi szlacheckiej?

A przytem, o ileż tryumf większy, o ileż więcej rozkoszy, gdy opór dziewczyny sfolżeje i gdy sama dobrowolnie, z bijącem, jak u schwytanego ptaka sercem, z palącą twarzą i oczyma zaszłemi mgłą, obsunie się w te ramiona, które się ku niej wyciągają.

Bogusława przechodził dreszcz na myśl o tej chwili i pragnął jej tak prawie mocno, jak samej Oleńki. Spodziewał się ciągle, że taka chwila nastąpi, zżymał się, niecierpliwił, łudził samego siebie, czasem zdawało mu się, że jest od niej bliżej, czasem, że dalej i wówczas wołał, że gorzeje, lecz pracować nie przestawał.

Otoczył najprzód dziewczynę drobiazgową troskliwością, tak, aby musiała być wdzięczną i myśleć, że jest dobry, rozumiał bowiem, że uczucie wdzięczności i przyjaźni jest to łagodny i ciepły płomyk, który później należy tylko rozdmuchać, a wraz w wielki żar się zamieni. Częste przestawanie ich z sobą miało służyć do tego, aby to przyszło tem pewniej, dlatego też nie okazywał Bogusław żadnej natarczywości, nie chcąc zmrozić zaufania ani przestraszyć.

Tymczasem każde spojrzenie, każde dotknięcie ręki, każde słowo, nic nie szło na darmo, jeno musiało być kroplą drążącą kamień. Wszystko, co czynił dla Oleńki, mogło się tłómaczyć gościnnością gospodarza, owym niewinnym po-

ciągiem przyjaznym, jaki jedna istota dla drugiej uczuwa, ale jednak było to czynione tak, jakby czyniła miłość. Granica była umyślnie zatarta i niewyraźna, aby przekroczenie jej stało się z czasem łatwiejszem i aby dziewczyna snadniej zabłądziła w tych manowcach, gdzie każdy kształt mógł coś, ale mógł i nic nie znaczyć. Gra ta nie godziła się wprawdzie z wrodzoną popędliwością Bogusława, wszelako hamował się, bo sądził, że ona jedynie może doprowadzić do celu, a zarazem znajdował w niej upodobanie takie, jakie znajduje pająk napinający sieć, zdradliwy ptasznik, zastawiający sidła lub strzelec, tropiący cierpliwie a wytrwale zwierza. Bawiła księcia własna przenikliwość, subtelność i bystrość, których nauczył go pobyt na dworze francuskim.

Jednocześnie podejmował pannę Aleksandrę jakby księżnę udzielną, ale tak, że znowu niełatwo było jej odgadnąć, czyli to dzieje się wyłącznie dla niej, czy też wypływa z jego przyrodzonej i nabytej dworności dla płci białej wogóle.

Wprawdzie czynił ją główną osobą wszystkich zabaw, igrzysk, kawalkad i wypraw myśliwskich, lecz wypływało to nieco z natury rzeczy; po wyjeździe księżnej Januszowej do Kurlandyi, ona była istotnie najdostojniejszą wśród niewiast, zgromadzonych w Taurogach. Schroniło się wprawdzie do Taurogów, jako do miejsca leżącego tuż przy granicy, mnóstwo szlachcianek z całej Żmudzi, aby się pod opieką książęcą od Szwedów uchronić, te jednak same Billewiczównie, jako córce najzacniejszego rodu, prym we wszystkiem przyznawały. A tymczasem, gdy cała Rzeczpospolita zalewała się krwią, uroczystościom nie było końca. Rzekłbyś: dwór królewski ze wszystkimi dworzany i pannami zjechał na wieś dla wczasu i zabaw.

Bogusław rządził jak samowładny monarcha w Taurogach i w całych przyległych Prusach elektorskich, w których częstym bywał gościem, więc wszystko było na jego rozkazy. Miasta dostarczały na skrypty pieniędzy, wojsk, szlachta pruska z ochotą zjeżdżała koleśno i konno na

uczty, karuzele i łowy. Bogusław wskrzesił nawet na cześć swej damy zaniechane już wówczas gonitwy rycerskie w szrankach.

Pewnego razu sam wziął w nich czynny udział i przybrany w srebrną zbroję, a przepasany błękitną wstęgą, którą panna Aleksandra musiała go przewiązać, zwalił z konia czterech najprzedniejszych rycerzy pruskich, piątego Ketlinga, a szóstego z kolei Sakowicza, choć ten siłę miał tak olbrzymią, że karety, uchwyciwszy za koło, w biegu zatrzymywał. I co za zapał powstał w tłumie widzów, gdy następnie srebrny rycerz, klęknąwszy przed swą damą, brał z jej rąk wieniec zwycięstwa. Okrzyki brzmiały na podobieństwo grzmotu dział, wiewały chustki, kłaniały chorągwie, on zaś uniósł przyłbicy i patrzył w jej zapłonioną twarz swemi ślicznemi oczyma, przyciskając jednocześnie do ust jej ręce.

Innym razem, gdy wśród parkanów rozwścieczony niedźwiedź zażerał się z psami i wszystkie z kolei rozciągnął, książę przybrany tylko w lekką szatę hiszpańską, skoczył do środka z oszczepem i skłół nietylko srogą bestję, ale i trabanta, który widząc chwilę niebezpieczeństwa, poskoczył mu na ratunek.

Panna Aleksandra, wnuczka starego żołnierza, wychowana w tradycjach krwi, wojny i czci dla przewag rycerskich, nie mogła się oprzeć na widok tych czynów podziwowi, a nawet uwielbieniu, nauczono ją bowiem z małego uważać męstwo za pierwszy niemal przymiot męża.

Tymczasem książę codzień składał dowody nadludzkiej prawie odwagi i codzień na cześć Oleńki. Goście zebrani, w pochwałach i uniesieniach dla księcia tak wielkich, że bóstwo samo poprzestaćby na nich mogło, musieli mimowoli łączyć w rozmowach jej imię z imieniem Bogusława. On milczał, lecz oczyma wypowiadał jej to, czego nie śmiały wypowiedzieć usta... Czar otaczał ją dokoła.

Wszystko układało się w ten sposób, żeby ich zbliżyć, łączyć, a zarazem wyłączyć z tłumu innych ludzi. Trudno

było wspomnieć komuś o nim, by jednocześnie o niej nie wspomniał. Myślom samej Oleńki Bogusław narzucał się z siłą nieprzepartą. Każda chwila dnia była obrachowana na to, by czar potężniał.

Wieczorem po igrzyskach, pokoje płonęły od lamp różnokolorowych, rzucających blaski tajemnicze a słodkie, jakoby z krainy snów rozkosznych na jawę przeniesione; upajające wschodnie wonie przesycały powietrze, ciche dźwięki niewidzialnych harf, lutni i innych instrumentów pieściły uszy, a wśród tych aromatów, świateł, dźwięków, chodził on, w glorji powszechnych uwielbień, niby zaczarowany królewicz z bajki, młody, piękny, rycerski, świecący jak słońce od klejnotów, a jako pasterz rozkochany...

Jakaż dziewczyna mogła się oprzeć tym urokom, jakaż cnota mogła nie zemdleć wśród tych czarów?... A unikać młodego księcia nie było możności, żyjąc z nim pod jednym dachem i korzystając z jego gościnności, którą aczkolwiek przemocą narzucił, jednakże szczerze i prawdziwie po pańsku wypełniał. Przytem Oleńka udała się bez niechęci do Taurogów, bo je wolała od ohydnych Kiejdan, również jak wolała rycerskiego Bogusława, który udawał przed nią miłość do opuszczonego króla i ojczyzny, od jawnego zdrajcy Janusza. Owszem, w początkach swego pobytu w Taurogach, pełna była przyjaznych uczuć dla młodego księcia, a spostrzegłszy wkrótce, jak dalece i on stara się o jej przyjaźń, używała nieraz swego wpływu, aby ludziom dobrze czynić.

W trzecim miesiącu jej bytności pewien oficer artylerji, przyjaciel Ketlinga, skazany został na rozstrzelanie przez księcia; Billewiczówna, dowiedziawszy się o tem od młodego Szkota, wniosła za nim instancję.

— Bóstwo może rozkazywać, nie prosić — odrzekł jej Bogusław i przedarłszy wyrok śmierci, rzucił jej do nóg. — Rządź, rozkazuj! Taurogi spalę, jeżeli choć uśmiech za tę cenę zdołam na twej twarzy wywołać. Nie chcę innej nagrody, jeno mi bądź wesołą i zapomnij o tem, coć dawniej bolało!

Ona wesołą nie mogła być, mając w sercu ból, żal i niewypowiedzianą pogardę dla człowieka, którego pierwszą miłością pokochała, a który teraz był w oczach jej większym zbrodniarzem od ojcobójcy. Ów Kmicic, obiecujący za czerwone złote wydać króla, jak Judasz Chrystusa, zohydzał się i szpetniał coraz bardziej w jej oczach, aż z biegiem czasu zmienił się w potwór ludzki, w zgryzotę, w wyrzut dla niej samej. Nie mogła sobie darować, iż go kochała, a zarazem nie mogła go zapomnieć, nienawidząc.

Wobec tych uczuć trudno jej było nawet udawać wesołość, ale natomiast musiała być księciu wdzięczną i za to, że do zbrodni Kmicicowej nie chciał przyłożyć ręki, i za wszystko, co dla niej czynił. Dziwno jej to było, że młody książę, taki rycerz i tak pełen szlachetnych uczuć, nie śpieszył na ratunek ojczyźnie, choć się na praktyki Januszowe nie zgadzał, sądziła wszelako, że taki statysta wie, co robi i że tego wymaga polityka, której ona swym prostym panieńskim rozumem pojąć nie może. Bogusław napomykał jej też, tłumacząc swoje częste do bliskiej Tylży wyjazdy, że sił mu już nie staje od zbytniej pracy, że prowadzi układy między Janem Kazimierzem, Karolem Gustawem, elektorem i że spodziewa się ojczyznę z toni wydźwignąć.

— Nie dla nagród, nie dla urzędów to czynię, — mówił do niej — brata Janusza nawet poświęcam, który był mi ojcem, bo nie wiem, czy życie dla niego u zawziętości królowej Ludwiki wyproszę, ale czynię to, co mi Bóg, sumienie i afekt dla miłej matki ojczyzny nakazuje...

Gdy tak mówił ze smutkiem w delikatnej twarzy i oczyma ku pułapowi zwróconemi, wydawał jej się wzniosłym, jako ci bohaterowie starożytni, o których stary pułkownik Billewicz jej opowiadał, co sam w Korneliuszu wyczytał. I wzbierało w niej serce podziwem, uwielbieniem. Powoli doszło do tego, że gdy myśli o nienawistnym Andrzeju Kmicicu zbyt ją zmęczyły, myślała o Bogusławie, aby się ukoić i pokrzepić. Tamten uosabiał dla niej straszliwą i ponurą ciemność, ten światło, w którem rada się kąpie

każda dusza stroskana. Pan miecznik rosieński i panna Kulwiecówna, którą także sprowadzono z Wodoktów, popychali jeszcze Oleńkę po owej pochyłości, śpiewając od rana do wieczora hymny pochwalne na cześć Bogusława. Ciążyli mu wprawdzie oboje w Taurogach, tak, iż o tem tylko myślał, jakby ich grzecznie precz wyprawić, ale ich sobie zjednał, a zwłaszcza pana miecznika, który z początku niechętny, nawet zagniewan. nie mógł się jednak przyjaźni i faworom Radziwiłła oprzeć.

Gdyby Bogusław był tylko znamienitego rodu szlachcicem, nie zaś Radziwiłłem, nie księciem, nie magnatem w monarchiczny niemal majestat przyodzianym, byłaby może Billewiczówna zakochała się w nim na śmierć i życie, wbrew testamentowi starego pułkownika, który jej wybór tylko między klasztorem a Kmicicem zostawiał. Lecz była to panna surowa dla siebie samej i dusza bardzo prawa, więc nawet nie dopuściła do głowy ani marzenia o niczem innem, jak o wdzięczności i podziwieniu dla księcia.

Ród jej był zbyt mały, by mogła zostać żoną, a zbyt wielki, by mogła zostać kochanicą Radziwiłła, patrzyła więc na niego, jakby patrzyła na króla, będąc przy dworze. Próżno sam starał się nasuwać inne myśli; próżno sam, zapamiętawszy się istotnie w miłości, częścią z rachuby, częścią z uniesienia, powtarzał nieraz, co swego czasu mówił pierwszego wieczoru w Kiejdanach, że Radziwiłłowie nieraz się z szlachciankami żenili; owe myśli nie czepiały się jej, jak woda nie czepia się piersi łabędziej i pozostała jaką była, wdzięczną, przyjazną, wielbiącą, szukającą ulgi w myśli o bohaterze, lecz w sercu spokojną.

On zaś nie umiał się w jej uczuciach połapać i często wydawało mu się, że jest bliskim celu. Lecz sam ze wstydem i złością wewnętrzną spostrzegał, że nie jest tak śmiałym względem niej, jak bywał względem najpierwszych dam w Paryżu, w Brukseli i w Amsterdamie. Może to było dlatego, że się naprawdę zakochał. a może dlatego, że w tej pannie, w jej twarzy, ciemnych brwiach i surowych oczach

było coś takiego, co nakazywało szacunek. Jeden jedyny Kmicic nie podlegał swego czasu temu wpływowi i ani dbając, śmiało garnął się do całowania tych surowych oczu i dumnych ust, ale Kmicic był jej narzeczonym.

Wszyscy inni kawalerowie, począwszy od pana Wołodyjowskiego, skończywszy na bardzo rubasznej szlachcie pruskiej w Taurogach i samym księciu, mniej byli z nią poufali,. niż z innemi pannami takiej samej kondycji. Księcia unosiła wprawdzie popędliwość, ale gdy raz w karecie nacisnął jej nogę, szepcąc jednocześnie: „Nie bój się...“ — a ona odrzekła, iż właśnie boi się, by nie pożałowała położonej w nim ufności, Bogusław zmieszał się i powrócił do dawnej drogi stopniowego podbijania jej serca.

Lecz wyczerpywała się jego cierpliwość. Powoli zaczął też zapominać o strasznem widziadle, które mu się we śnie pojawiło, coraz częściej rozmyślał nad tem, co Sakowicz radził i nad tem, że Billewiczowie w wojnie wszyscy wyginą; żądze piekły go coraz potężniej, gdy nagle zaszła okoliczność, która bieg rzeczy w Taurogach zupełnie zmieniła.

Pewnego dnia przyszła wieść jak piorun, że Tykocin przez pana Sapiehę wzięty, a książę hetman wielki stracił życie w zwaliskach zamku.

Zawrzało wszystko w Taurogach, sam Bogusław zerwał się i wyjechał tego samego dnia do Królewca, w którym miał widzieć się z ministrami króla szwedzkiego i elektora.

Pobyt jego przedłużał się nad pierwotny zamiar. Tymczasem do Taurogów poczęły ściągać oddziały wojsk pruskich, a nawet i szwedzkich. Poczęto mówić o wyprawie przeciw panu Sapieże. Naga prawda, iż Bogusław był stronnikiem Szwedów, tak jak jego stryj Janusz, wychodziła na wierzch coraz wyraźniej.

Zdarzyło się, że jednocześnie pan miecznik rosieński odebrał wiadomość o spaleniu rodzinnych Billewicz przez oddziały Loewenhaupta, które pobiwszy powstańców żmudzkich pod Szawlami, niszczyły ogniem i mieczem cały kraj.

Wówczas szlachcic zerwał się i pojechał, chcąc szkody

własnemi oczyma zobaczyć, a książę Bogusław wcale go nie wstrzymywał, owszem chętnie wyprawił, rzekłszy tylko na drogę:

— Teraz waszmość rozumiesz, dlaczegom was do Taurogów sprowadził, bo poprostu mówiąc, życie mi zawdzięczacie.

Oleńka została sama z panną Kulwiecówną i natychmiast zamknęła się w swych komnatach, nikogo prócz niektórych niewiast nie widując. Te, gdy jej przyniosły wieść, iż książę gotuje wyprawę przeciw wojskom polskim, nie chciała im zrazu wierzyć, lecz pragnąc się upewnić, kazała prosić do siebie Ketlinga, wiedziała bowiem, iż młody Szkot niczego przed nią nie utai.

Jakoż stawił się natychmiast, szczęśliwy, że go przywołano, że przez chwilę będzie mógł rozmawiać z tą, która opanowała mu duszę.

Billewiczówna poczęła go wypytywać:

— Panie kawalerze, — rzekła — tyle wieści krąży po Taurogach, błądzimy w nich, jako wśród lasu. Jedni mówią, że książę wojewoda swoją śmiercią zmarł; drudzy, że na szablach rozniesion. Jaka jest przyczyna jego śmierci?

Ketling zawahał się przez chwilę; widocznem było, że walczy z wrodzoną nieśmiałością, nakoniec zarumienił się mocno i odrzekł:

— Przyczyną upadku i śmierci księcia wojewody pani jesteś.

— Ja?... — zapytała ze zdumieniem panna Billewiczówna.

— Tak jest, bo książę nasz wolał zostać w Taurogach, niż bratu iść na ratunek. O wszystkiem tu zapomniał... przy tobie, pani.

Teraz ona z kolei zapłonęła jak róża purpurowa.

Nastała chwila milczenia.

Szkot stał z kapeluszem w ręku, ze spuszczonemi oczyma i głową schyloną na piersi. w postawie pełnej czci i usza-

nowania, nakoniec podniósł głowę, strząsnął jasne pukle włosów i rzekł:

— Pani, jeżeli cię obraziły moje słowa, pozwól mi klęknąć przed sobą i na kolanach prosić cię o przebaczenie.

— Nie czyń tego, panie kawalerze — odrzekła żywo panna, widząc, że młody rycerz zgina już kolano. — Wiem, iż coś rzekł, toś rzekł w szczerości serca, bom to zdawna spostrzegła, żeś mi życzliwy. Zali nie tak? Zali mi waćpan nie życzysz?...

Oficer podniósł swe anielskie oczy do góry i położywszy rękę na sercu, głosem tak cichym, jak szmer wiatru, a smutnym, jak westchnienie, rzekł tylko:

— Ach pani! pani!...

I w tej chwili przestraszył się, że za wiele powiedział, więc znów głowę schylił na piersi i przybrał postawę dworzanina, słuchającego rozkazów ukochanej królewny.

— Wśród obcych tu jestem i bez opieki, — rzekła Oleńka — a choć sama potrafię czuwać nad sobą i Bóg mnie od przygody uchroni, przecież i ludzkiej mi pomocy potrzeba. Chceszli waćpan być moim bratem? Chcesz mnie ostrzec w potrzebie, abym wiedziała co czynić i wszelakich sideł uniknąć mogła?

To rzekłszy, wyciągnęła doń rękę, on zaś teraz przyklęknął, mimo, iż mu broniła i ucałował końce jej palców.

— Mów waćpan, co tu się dzieje koło mnie?

— Książę kocha panią — odrzekł Ketling. — Czyś pani tego nie spostrzegła?

Ona zaś zakryła twarz rękoma.

— Widziałam i nie widziałam. Czasem wydawało mi się, że on jeno dobry bardzo...

— Dobry!... — powtórzył jak echo oficer.

— Tak jest. A czasem, gdy mi przyszło do głowy, żem nieszczęsna żądze wzbudzić w nim mogła, tom i tak uspokajała się tem, iż żadna mi od niego nie grozi napastliwość. Byłam mu wdzięczna za to, co dla mnie czynił, choć Bóg

widzi, nie wyglądałam jego nowych łask, bojąc się i tak tych, które już wyświadczył.

Ketling odetchnął.

— Mogęż śmiele mówić? — zapytał po chwili milczenia.

— Mów waćpan.

— Książę dwóch ma tylko powierników: pana Sakowicza i Patersona, a Paterson mnie wielce życzliwy, bo z jednych krajów pochodzim i na ręku mnie nosił. Więc co wiem, to wiem od niego. Książę kocha panią: żądze płoną w nim, jako smoła w pochodni. Wszystko co tu się dzieje, wszystkie owe uczty, łowy, karuzele i ten turniej, po którym dotąd, dzięki książęcej ręce, krew mi się rzuca ustami, dzieje się dla waćpanny. Książę miłuje cię, pani, bez pamięci, ale nieczystym ogniem, bo cię chce pohańbić, nie zaślubić; bo chociażby nie mógł znaleźć godniejszej, królem nawet wszystkiego świata, nie tylko księciem będąc, przecie myśli o innej... Przeznaczona mu jest księżniczka Anna i jej fortuna. Wiem to od Patersona, i Boga wielkiego, jego ewangelię biorę na świadka, że szczerą prawdę mówię. Nie wierz pani księciu, nie ufaj jego dobrodziejstwom, nie ubezpieczaj się jego moderacją, czuwaj, strzeż się, bo ci tu zdradę na każdym kroku gotują. Dech zamiera w piersiach od tego, co mi Paterson mówił. Równego Sakowiczowi zbrodniarza w świecie niema... Nie mogę o tem mówić, poprostu nie mogę mówić! Gdyby nie przysięga, którąm księciu składał, że życia i osoby jego strzec będę, ta ręka, pani, i ta szpada uwolniłaby cię od groźby ustawicznej... Ale pierwszego zabiłbym Sakowicza... Tak jest! jego pierwszego przed wszystkimi ludźmi! przed tymi nawet, którzy w mojej ojczyźnie krew z ojca mego wytoczyli, fortunę zagarnęli i tułacza, jurgieltnika ze mnie uczynili...

Tu Ketling trząść się począł z uniesienia, przez chwilę gniótł tylko ręką gardę szpady, słowa wyrzec nie mogąc, następnie ochłonął i jednym tchem wypowiedział, jakie sposoby podsuwał księciu Sakowicz.

Panna Aleksandra, ku wielkiemu jego zdziwieniu, zachowała się dość spokojnie, ujrzawszy grożącą sobie przepaść, tylko twarz jej pobladła i stała się jeszcze poważniejszą. Nieugięta wola odbiła się w jej surowem spojrzeniu.

— Potrafię się uchronić! — rzekła — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Książę dotychczas nie chciał iść za radą Sakowicza, — dodał Ketling — lecz gdy ujrzy, że droga, którą obrał, do niczego nie prowadzi...

I począł opowiadać o przyczynach, które Bogusława zatrzymywały.

Panna słuchała ze zmarszczoną brwią, ale niezbyt uważnie, bo już poczęła myśleć o tem, jakby się wyrwać z pod tej straszliwej opieki. Lecz że w całym kraju nie było miejsca nieoblanego krwią i plany ucieczki nie przedstawiały się jej jasno, zatem wolała o nich nie mówić.

— Panie kawalerze, — rzekła wreszcie — odpowiedz mi na jedno jeszcze pytanie. Stoili książę Bogusław po stronie króla szwedzkiego, czy polskiego?

— Nikomu z nas nie tajno, — odrzekł młody oficer — że książę nasz pragnie należeć do rozbioru tej Rzeczypospolitej, ażeby Litwę w udzielne księstwo dla siebie zmienić!

Tu umilkł, i rzekłbyś, że jego myśl pobiegła mimowoli śladami myśli Oleńki, bo po chwili dodał:

— Elektor i Szwedzi na usługi księcia, a że całą zajmują Reczpospolitą, więc niema się przed kim gdzie schronić.

Oleńka nie odrzekła nic.

Ketling czekał jeszcze przez chwilę, czy go o co zapytać nie zechce, lecz gdy milczała, ciągle własnemi myślami zajęta, poczuł, że nie należy jej przeszkadzać, więc zgiął się we dwoje w pożegnalnym ukłonie, zamiatając ziemię piórami od kapelusza.

— Dziękuję, panie kawalerze — rzekła wyciągnąwszy doń rękę.

Oficer, nie odwracając się, zaczął cofać się ku drzwiom.

Nagle na twarzy jej pojawiły się lekkie rumieńce, zawahała się przez chwilę, nareszcie rzekła:

— Słowo jeszcze, panie kawalerze.

— Każde jest dla mnie łaską...

— Waćpan znałeś pana... Andrzeja Kmicica...

— Tak jest, pani... z Kiejdan. Ostatni raz widziałem go w Pilwiszkach, gdyśmy z Podlasia w te strony ciągnęli.

— Czy prawda?... czy prawdę książę powiedział, iż mu się pan Kmicic ofiarował na osobę króla polskiego targnąć?...

— Nie wiem, pani... Wiadomo mi jeno, iż się w Pilwiszkach ze sobą naradzali, zaczem książę odjechał z nim w lasy i tak długo nie wracał, że Paterson począł się bać i wysłał wojsko na spotkanie. Ja właśnie prowadziłem ten oddział. Spotkaliśmy księcia, gdy już wracał. Uważałem, że był zalterowan bardzo, jakby wielkie wzruszenie duszy przebył. Rozmawiał też sam z sobą, co mu się nigdy nie zdarza. Słyszałem też, jako rzekł: „Djabełby się na to porwał...“ Zresztą nic więcej nie wiem... Jeno później, gdy książę wspominał o tem, z czem mu się pan Kmicic ofiarował, pomyślałem sobie: jeśli to było, to wtedy być musiało.

Billewiczówna zacisnęła wargi.

— Dziękuję — rzekła.

I po chwili została sama.

Myśl ucieczki opanowała ją zupełnie. Za wszelką cenę postanowiła wyrwać się z tych ohydnych miejsc i z pod władzy tego zdradzieckiego księcia. Ale dokąd się udać? Wsie i miasta były w ręku szwedzkich, klasztory poburzone, zamki zrównane z ziemią, kraj cały roił się od żołdaków i od straszniejszych od nich zbiegów wojskowych, zbójców, wszelkiego rodzaju łotrzyków. Jakiż los mógł czekać dziewczynę, rzuconą na pastwę tej burzy? Kto z nią pójdzie? Ciotka Kulwiecówna, pan miecznik rosieński i kilkunastu jego czeladzi. A czyż siły te ochronią ją?... Poszedłby może i Ketling, możeby nawet znalazł garść wiernych żołnierzy

i przyjaciół, którzyby chcieli mu towarzyszyć, lecz Ketling kochał się w niej zbyt widocznie, więc jakże jej było zaciągać u niego dług wdzięczności, któryby zbyt wielką ceną spłacać następnie przyszło?

Wreszcie, jakież miała prawo zamykać los temu młodzieńcowi, ledwie wyrosłemu z pacholęcia i narażać go na pościg, na zgubę, jeżeli nie mogła nic mu wzamian, prócz przyjaźni ofiarować. Więc pytała sama siebie: co czynić, dokąd uciekać, gdyż tu i tam groziła zguba, tu i tam hańba.

W takiej rozterce dusznej poczęła modlić się gorąco, a szczególnie powtarzała gorliwie jedną modlitwę, do której swego czasu stary pułkownik zawsze się w złych terminach uciekał, zaczynającą się od słów:

Bóg cię dzieciątkiem salwował
Od herodowej złości,
W Aegipcie drogi prostował
Dla Twojej przezpieczności...

Tymczasem powstał wicher mocny i drzewa poczęły w sadzie za oknami szumieć okrutnie. Nagle przypomniały się zamodlonej panience puszcze, na których skraju wychowała się od małego i myśl, że w puszczach znajdzie się jedynie bezpieczne schronisko, przeleciała jej jako błyskawica przez głowę.

Więc odetchnęła głęboko Oleńka, bo znalazła wreszcie, czego szukała. Tak jest! Do Zielonki, do Rogowskiej! Tam nieprzyjaciel nie pójdzie, łotrzyk nie będzie łupu szukał. Tam swój nawet, jeśli się zapamięta, to może zabłądzić i błądzić aż do śmierci, cóż zaś dopiero obcy, dróg nieznający. Tam obronią ją Domaszewicze myśliwi i Stakianowie dymni, a jeśli niemasz ich, jeśli ruszyli wszyscy za panem Wołodyjowskim, toż temi lasami można aż hen! do innych województw, ciągnąć i w innych puszczach spokoju szukać.

Wspomnienie pana Wołodyjowskiego rozweseliło Oleńkę. Takiegoby jej opiekuna! To prawy żołnierz, to

szabla, pod którą i przed Kmicicem i przed Radziwiłłami samymi można się schronić. Tu przypomniało się jej, że on to radził wówczas, gdy Kmicica w Billewiczach schwytał, ażeby w puszczy Białowieskiej spokoju szukać.

I słusznie mówił! Rogowska i Zielonka za blisko Radziwiłłów, a koło Białowieży stoi właśnie ten Sapieha, który dopiero co starł z oblicza ziemi najstraszniejszego Radziwiłła.

Zatem do Białowieży, do Białowieży, choćby dziś, jutro!... Niech tylko miecznik rosieński przyjedzie, nie będzie zwlekała!

Ochronią ją ciemne głębie Białowieży, a później, gdy burza przejdzie, klasztor. Tam jeno spokój prawdziwy być może i zapomnienie wszystkich ludzi, wszystkiego bólu, żalu, pogardy...

ROZDZIAŁ II.

Pan miecznik rosieński wrócił w kilka dni później. Mimo, iż jechał z glejtem bogusławowym, dotarł tylko do Rosień; do samych zaś Billewicz nie było poco jeździć, gdyż nie było ich już na świecie. Dwór. zabudowania, wieś, wszystko zostało do cna spalone w ostatniej bitwie, którą ksiądz Straszewicz, jezuita, stoczył na czele swego oddziału z kapitanem szwedzkim Rossą. Lud był w lasach, lub w partjach zbrojnych. Zostały, na miejscu wsi zamożnej, jeno ziemia i woda.

Drogi przytem pełne były „grasantów“, to jest zbiegów z wojsk rozmaitych, którzy znacznemi kupami chodząc, rozbojem się trudnili, tak, że nawet pomniejsze komendy wojskowe nie były od nich bezpieczne. Nie zdołał się zatem pan miecznik nawet i o tem przekonać, czy zakopane w sadzie solówki ze srebrem i pieniędzmi ocalały, i powrócił do Taurogów wielce zły, zgryziony, z okrutną przeciw niszczycielom w sercu zawziętością.

Ledwie nogą zstąpił z kałamaszki, wciągnęła go Oleńka do swej komnaty i opowiedziała mu wszystko, co jej Hassling-Ketling powiadał.

Zatrząsł się na to stary szlachcic, który nie mając własnego potomstwa, dziewczynę jak córkę kochał. Przez jakiś czas łapał się tylko za głownię szabli, powtarzając: „Bij, kto cnotliwy!“ — wreszcie za głowę się porwał i tak mówić począł:

— Mea culpa, mea maxima culpa! bo mi i samemu czasem do łba przychodziło i ten i ów szeptał, że ów piekielnik w amorach dla ciebie utonął, a ja nie mówiłem nic, jeszczem się w boki brał, myśląc: „nuż się ożeni!“ Gosiewskim krewniśmy, Tyzenhauzom także... Czemu nie mamy być krewni Radziwiłłom? Za pychę to, za pychę Bóg mię karze... Zacne zdrajca pokrewieństwo obmyślił. Takim nam być chciał krewnym... bodaj go zabito!... jako dworski byk wiejskim jałoszkom! Bodaj go zabito. Ale poczekasz! Pierwej ta ręka i ta szabla spróchnieją!...

— Tu o ratunku myśleć trzeba — odrzekła Oleńka.

I nuż przedstawiać swe plany ucieczki.

Pan miecznik, wysapawszy się, słuchał uważnie, nakoniec rzekł:

— Wolej mi poddaństwo zebrać i partję utworzyć! Będę Szwedów podchodził, jako inni podchodzą, jak niegdyś Kmicic Chowańskiego. Bezpieczniej ci będzie w lesie i w polu, niż na tym dworze zdrajcy i heretyka!

— Dobrze — odpowiedziała panna.

— Nietylko się nie sprzeciwiam, — mówił w zapale miecznik — ale tak powiadam: że im prędzej, tem lepiej... A toć poddaństwa, ani kos mi nie brak. Spalili mi rezydencję, mniejsza z tem! to z innych wiosek chłopstwo ściągnę... Wszyscy Billewicze, którzy już są w polu, staną przy nas. Pokażemy ci panku pokrewieństwo... pokażemy co to na honor Billewiczówny nastawać... Tyś Radziwiłł! Nic to! Niemasz hetmanów w billewiczowskim rodzie, ale niemasz

i zdrajców!... Obaczym, za kim cała Żmudź pójdzie!...

Tu zwrócił się do panny:

— Ciebie osadzim w Białowieży, a sami wrócim! Nie może inaczej być! Musi on za ten afront odpokutować, bo to całego stanu szlacheckiego krzywda. Infamis, kto się za nami nie opowie! Bóg pomoże, bracia pomogą, obywatele pomogą, a wonczas ogień a miecz! Dotrzymają Billewicze Radziwiłłom! Infamis, kto nie z nami! infamis, kto zdrajcy szablą przed oczami nie błyśnie. Król, sejmy, cała Rzeczpospolita z nami!

Tu miecznik, czerwony jak krew i ze zjeżoną czupryną, począł pięścią w stół walić.

— Pilniejsza ta wojna, niż szwedzka, bo w nas jest cały stan rycerski, wszystkie prawa, wszystka Rzeczpospolita pokrzywdzona i w najgłębszych fundamentach zachwiana. Infamis, kto nie rozumie! Zginie ta ojczyzna, jeżeli pomsty i kary na zdrajcę nie wymierzym!

I tak grała stara krew coraz gwałtowniej, że aż Oleńce przyszło miecznika uspokajać. Siedział on dotychczas spokojnie, choć się zdawało, że nietylko ojczyzna, lecz i świat cały ginie, ale dopiero gdy Billewiczów dotknięto, w tem ujrzał najstraszniejszą przepaść dla ojczyzny i jak lew ryczeć począł.

Lecz panna, która miała na niego wpływ wielki, zdołała go wkońcu uspokoić, tłómacząc mu, że dla zbawienia ich i dlatego, iżby się ucieczka udała, potrzeba właśnie najgłębszą tajemnicę zachować i nie pokazać księciu, że się czegokolwiek domyślają.

Przyrzekł święcie, iż wedle jej wskazówek postąpi, poczem już radzili o samej ucieczce. Rzecz nie była zbyt trudna, bo zdawało się, że ich nie strzegą wcale. Postanowił tedy pan miecznik wyprawić najprzód pachołka z listami do ekonomów, aby natychmiast chłopstwo ze wszystkich wiosek do niego i do innych Billewiczów należących, zbierali i zbroili.

Następnie sześciu zaufanych czeladzi miało niby ruszyć

do Billewicz po solówki z pieniędzmi i srebrem, a w rzeczy zatrzymać się w lasach girlakolskich i tam na państwo z końmi, tobołami i żywnością czekać. Oni sami ułożyli, że z Taurogów wyjadą z dwoma czeladnikami w saniach, niby tylko do pobliskiej Gawny, poczem na konie wierzchowe przesiądą i z kopyta ruszą. Do Gawny jeździli często do państwa Kuczuków-Olbrotowskich, gdzie czasem zostawali i na noc, spodziewali się zatem, że wyjazd ich nie zwróci niczyjej uwagi i że pogoń za nimi nie pójdzie, chyba we dwa lub trzy dni potem, gdy będą już wśród kup zbrojnych i w głębi niezbrodzonych lasów. Nieobecność księcia Bogusława utwierdzała ich w tej nadziei.

Tymczasem pan Tomasz zajął się bardzo czynnie przygotowaniami. Pacholik z listami wyjechał na drugi dzień. Trzeciego rozmawiał pan miecznik obszernie z Patersonem o swoich zakopanych pieniądzach, których, jak mówił, było nad sto tysięcy i o potrzebie przewiezienia ich do bezpiecznych Taurogów. Paterson uwierzył z łatwością, albowiem szlachcic uchodził za bardzo bogatego i był nim w istocie.

— Niech je przywożą jaknajprędzej, — rzekł Szkot — jeśli potrzeba, to i żołnierzy jeszcze dodam.

— Im mniej ludzi będzie wiedziało co wiozą, tem lepiej. Czeladź moja wierna, a solówki każę im pieńką przykryć, którą często z naszych stron do Prus wożą, albo też klepkami, na które nikt się nie ułakomi.

— Lepiej klepką, — odrzekł Paterson — bo przez konopie szablą albo dzidą można namacać, że coś innego na dnie wozu leży. A pieniądze najlepiej wasza mość księciu panu na skrypt oddaj. Wiem też, że potrzebuje pieniędzy, bo intraty źle dochodzą.

— Chciałbym się księciu tak przysłużyć, aby niczego nie potrzebował — odparł szlachcic.

Na tem skończyła się rozmowa i wszystko zdawało się składać jaknajpomyślniej, gdyż zaraz potem ruszyła czeladź, a miecznik z Oleńką mieli wyjechać nazajutrz.

Tymczasem wieczorem wrócił najniespodziewaniej Bogu-

sław na czele dwóch regimentów rajtarji pruskiej. Sprawy jego nie musiały iść zbyt pomyślnie, bo wrócił zły i zgryziony.

Tego jeszcze dnia zwołał radę wojenną, którą składali pełnomocnik elektorski hr. Sejdewitz, Paterson, Sakowicz i pułkownik rajtarski Kyritz. Obradowali do godziny trzeciej w nocy, a celem obrad była wyprawa na Podlasie przeciw panu Sapieże.

— Elektor i król szwedzki zasilili mnie w miarę wojskiem — mówił książę. — Jedno z dwojga, albo Sapiehę zastaniem jeszcze na Podlasiu i w takim razie musimy go zetrzeć, albo nie: wówczas Podlasie zajmiem bez oporu. Do wszystkiego jednak trzeba pieniędzy, a tych mi elektor, ni jego szwedzki majestat nie dali, bo sami nie mają.

— U kogoż pieniędzy szukać, jeżeli nie u w. ks. mości — odrzekł hr. Sejdewitz. — W całym świecie mówią o nieprzebranych radziwiłłowskich skarbach.

Na to Bogusław:

— Panie Sejdewitz, gdyby mnie dochodziło wszystko, co mi z dziedzicznych dóbr należy, pewniebym miał więcej grosza, niż pięciu waszych niemieckich książąt w kupę wziętych. Ale w kraju wojna, intraty nie dochodzą lub też przez rebelizantów bywają przejmowane. Możnaby gotowizny dostać na skrypty od miast pruskich, wszelako waść najlepiej wiesz, co się w nich dzieje i że chyba dla jednego Jana Kazimierza rozwiązałyby worki.

— A Królewiec?

— Co można było wziąć, tom wziął, ale tego mało.

— Za szczęście sobie poczytuję, że się będę mógł waszej ks. wysokości dobrą radą przysłużyć — rzekł Paterson.

— Wolałbym, żebyś się przysłużył gotówką.

— Warta jej ta rada. Nie dawniej jak wczoraj mówił mi pan Billewicz, że ma zacne kwoty, zakopane w sadzie w Billewiczach i że właśnie chce je tu w bezpieczne miejsce przenieść, aby je waszej ks. wysokości na skrypt oddać.

— A toś mi z nieba spadł i ów szlachcic także! — zawołał Bogusław. — A siłaż tam tego będzie?

— Nad sto tysięcy, prócz sreber i kosztowności, których bodaj, że drugie tyle.

— Srebrer i kosztowności szlachcic nie zechce na gotowiznę zmieniać, ale można je będzie zastawić. Wdzięczenem ci, Paterson, bo w porę mi to przychodzi. Muszę z Billewiczem zaraz jutro pomówić.

— To go uprzedzę, bo właśnie jutro wybiera się z panną do Gawny, do państwa Kuczuków-Olbrotowskich.

— Uprzedź go, by nie wyjeżdżał, nim się ze mną nie obaczy.

— Czeladź już posłana, boję się tylko, czy bezpiecznie dojedzie.

— Można będzie posłać za nimi cały regiment, wreszcie pogadamy. W porę mi to, w porę! A i pocieszna rzecz, jeżeli Podlasie za pieniędze tego regalisty i patrjoty od Rzeczypospolitej oderwę.

To rzekłszy, książę pożegnał radę, bo musiał jeszcze oddać się w ręce pokojowych, których zadaniem było codzień przed nocą kąpielami, maściami i różnemi sztukami, znanemi tylko za granicą, nadzwyczajną jego urodę konserwować. Trwało to zwykle godzinę, a czasem i dwie; książę zaś i bez tego był znużon drogą i późną godziną.

Nazajutrz rano Paterson zatrzymał miecznika i Oleńkę oznajmieniem, iż książę pragnie się z nimi widzieć. Trzeba było wyjazd odłożyć, ale nie zaniepokoili się tem zbytnio, bo Paterson powiedział ó co chodzi.

W godzinę później nadszedł książę. Mimo, iż i pan Tomasz i Oleńka przyrzekli sobie najświęciej, iż przyjmą go po dawnemu i mimo wszelkich wysileń, nie mogli tego dokazać.

Jej twarz zmieniła się, a miecznikowa nabiegła krwią na widok młodego księcia i przez chwilę stali oboje zmieszani, wzbudzeni, próżno usiłując do zwykłej powrócić spokojności.

Książę przeciwnie swobodny był zupełnie, tylko trochę pomizerniał w oczach i twarz miał mniej ubarwioną, niż zwykle, ale właśnie ta jego bladość cudnie odbijała od perłowej rannej szaty, przerabianej srebrem; spostrzegł jednak natychmiast, iż przyjmują go jakoś inaczej i mniej radzi widzą, aniżeli zwyczajnie. Ale pomyślał zaraz, że pewnie tych dwoje regalistów dowiedziało się o jego stosunkach ze Szwedami i stąd ten chłód w przyjęciu.

Postanowił więc sypnąć im natychmiast piaskiem w oczy i po zwykłych komplementach powitalnych, tak zaczął:

— Panie mieczniku dobrodzieju, słyszałeś już zapewne waszmość, jakie nieszczęście mnie spotyka...

— Wasza ks. mość chce mówić o śmierci księcia wojewody? — odparł miecznik.

— Nietylko o śmierci. Cios to okrutny, wszelako już zdałem się na wolę Boga, jak tuszę, wszystkie krzywdy bratu memu hojnie wynagrodził, ale na mnie nowy ciężar zesłał, bo muszę wojnę domową prowadzić, a dla każdego obywatela, miłującego ojczyznę, gorzka to dola...

Miecznik nie odrzekł nic, tylko spojrzał nieco bokiem na Oleńkę.

Książe zaś mówił dalej:

— Moją pracą, moim trudem, a Bóg jeden wie, jakim kosztem, doprowadziłem już pokój do skutku! Prawie o podpisanie traktatów tylko chodziło. Mieli Szwedzi wyjść z Polski, żadnej nagrody nic żądając, prócz przyzwolenia królewskiego i stanów, aby po śmierci Jana Kazimierza Carolus na tron polski był obrany. Wojownik tak wielki i potężny zbawieniem byłby dla Rzeczypospolitej. Co więcej, zaraz teraz miał zostawić posiłki na wojnę ukrainną i na moskiewską. Jeszczebyśmy granice rozszerzyli; ale panu Sapieże to nie na rękę, bo nie mógłby gnębić Radziwiłłów. Wszyscy się już na owe traktaty zgodzili, on jeden się zbrojną ręką przeciwi; za nic mu ojczyzna, byle prywaty mógł dochodzić. Aż przyszło do tego, że trzeba oręża przeciw niemu użyć, którą funkcję właśnie mnie, za tajemną zgodą

Jana Kazimierza i Carolusa, powierzono. Ot, co jest! Nie wybiegałem się nigdy od żadnej służby, więc i tej podjąć się muszę, choć niejeden będzie mnie krzywo sądził i pomyśli, że bratobójczą wojnę z samej tylko zemsty wszczynam.

Na to miecznik:

— Kto waszą książęcą mość poznał tak dobrze, jako my, tego pozory nie uwiodą i zawsze prawdziwe intencje w. ks. mości zrozumieć potrafi.

Tu pan miecznik, zachwycony własną chytrością i polityką, mrugnął tak wyraźnie na Oleńkę, że ta aż przelękła się, by tych znaków nie ujrzał książę.

Ten jednak spostrzegł.

— Nie wierzą mi — pomyślał.

I chociaż gniewu na twarzy nie okazał, przecież ubodło go to w duszy. Był on zupełnie szczerze przekonany, że obrazą jest nie wierzyć Radziwiłłowi, nawet wówczas, gdy mu się spodoba zmyślać.

— Paterson mówił mi, — rzekł po chwili — że wasza mość chcesz gotowiznę swą na skrypt mi oddać. Chętnie w tem waści dogodzę, gdyż przyznaję, że gotowy grosz i mnie teraz na rękę. Gdy spokój nastanie, uczynisz, co zechcesz, albo kwotę odbierzesz, alboli też dam waszmości parę wsi w zastaw, tak, aby to z korzyścią dla cię było.

Tu zwrócił się książę do Oleńki:

— Przebacz waćpanna, że przy tak doskonałej istocie nie o supirach, ani idyllach mówimy. Niesłuszna to rozmowa, jeno czasy takie, iż uwielbieniu i admiracji przystojnej folgi dać nie można.

Oleńka spuściła oczy i chwyciwszy końcami palców za suknię, uczyniła dyg przynależny, nie chcąc nic odpowiadać.

Tymczasem miecznik ułożył sobie w głowie projekt niesłychanie niedołężny, ale który sam za nadzwyczaj przebiegły poczytał.

— I z dziewczyną ucieknę i pieniędzy nie pożyczę — pomyślał.

Zaczem odchrząknąwszy i pogładziwszy kilkakroć czuba, tak rzekł:

— Miło mi będzie waszej ks. mości wygodzić. Nie mówiło się też Patersonowi o wszystkiem, bo i z czerwonemi złotemi półgarncówka się znajdzie, zakopana osobno, aby w razie przygody, całej gotowizny nie utracić. Prócz tego są i innych Billewiczów solówki, ale te podczas mojej nieobecności pod dyrekcją tej oto panny zakopywano i ona jedna potrafi wykalkulować miejsce, bo człowiek, który je nosił, umarł. Pozwólże nam wasza książęca mość jechać obojgu, to przywieziem wszystko.

Bogusław spojrzał na niego bystro.

— Jakto? Paterson powiadał, żeś już waszmość czeladź wysłał. a skoro wyjechała, to musi wiedzieć, gdzie pieniądze.

— Ale o innych nikt nie wie, tylko ona.

— Przecie muszą być zakopane w jakiemś wyraźnem miejscu, które wskazać słowy, albo d e l i n e a r e na papierze łatwo.

— Słowa wiatr, — odrzekł miecznik — a na delineacjach czeladź się nie zna. Pojedziemy oboje, ot, co!

— Dla Boga! toż waść musi znać dobrze swoje sady, więc jedź sam. Poco panna Aleksandra ma jechać?

— Sam nie pojadę! — odrzekł rezolutnie pan miecznik.

Bogusław po raz drugi spojrzał nań badawczo, poczem siadł wygodniej i trzciną, którą trzymał w ręku, począł uderzać się po butach.

— Koniecznie? — rzekł. — A dobrze! Ale w takim razie dam wam dwa regimenty jazdy, które was odwiozą i przywiozą.

— Nie potrzeba nam żadnych regimentów. Sami pojedziem i wrócim. To nasze strony, nic nam tam nie grozi.

— Jako gospodarz czuły na dobro swych gości, nie mogę pozwolić, ażeby panna Aleksandra jechała bez siły zbrojnej, wybieraj więc waść: albo sam, albo oboje z eskortą.

Pan miecznik spostrzegł, że wpadł we własne sidła i do

takiego go to gniewu przywiodło, że zapomniawszy o wszelkich ostrożnościach, zakrzyknął:

— To wasza książęca mość wybieraj: albo pojedziem oboje bez regimentów, albo pieniędzy nie dam!

Panna Aleksandra spojrzała na niego błagalnie, lecz on już poczerwieniał i sapać począł. Był to jednak człowiek z natury ostrożny, nawet nieśmiały, lubiący zgodnie wszystkie sprawy załatwiać, ale za to, gdy raz przebrano z nim miarę, gdy sobie zbytnio przeciw komu na wąs namotał lub gdy o billewiczowski honor chodziło, wówczas z desperacką jakąś odwagą rzucał się do oczu, choćby najpotężniejszemu nieprzyjacielowi.

Więc i teraz porwał się ręką za lewy bok i trzasnąwszy szablą, począł krzyczeć na całe gardło:

— Cóż to tu jassyr? Oprymować chcą wolnego obywatela? kardynalne prawa deptać?

Bogusław oparty plecami o poręcz krzesła, patrzył na niego uważnie, bez widomych oznak gniewu, jeno wzrok jego stawał się z każdą chwilą zimniejszy, a szpicrutą coraz szybciej uderzał się po butach. Gdyby pan miecznik znał go lepiej, wiedziałby, że ściąga na swą głowę groźne niebezpieczeństwo.

Stosunki z Bogusławem były poprostu straszne, dlatego, że nigdy nie było wiadomo, kiedy nad dwornym kawalerem i przywykłym do panowania nad sobą dyplomatą weźmie górę dziki i niepohamowany magnat, depcący z okrucieństwem despoty wschodniego wszelki opór. Świetne wychowanie, ogłada zdobyta na najpierwszych dworach europejskich, rozwaga, której nabrał w stosunkach ludzkich i wykwintność, były jakby cudne a potężne kwiaty, pod któremi tail się tygrys.

Lecz miecznik nie wiedział o tem i w zaślepieniu gniewnem krzyczał dalej:

— Wasza ks. mość nie udawaj dłużej, bo cię znają!... i bacz, że ni król szwedzki, ni elektor, którym obu przeciw ojczyźnie służysz, ni twoje księstwo, przed trybunałem cię

nie osłoni, a szable szlacheckie nauczą moresu... młodziku!

Na to Bogusław wstał, w jednej chwili skruszył trzcinę w żelaznych rękach i cisnąwszy drzazgi pod nogi miecznika, rzekł strasznym, przyciszonym głosem:

— Ot, mi wasze prawa! Ot, wasze trybunały! Ot, wasze przywileje!

— Gwałt okropny! — krzyknął miecznik.

— Milcz, szlachetko! — krzyknął książę — bo cię w proch zetrę!

I szedł ku niemu, by porwać zdumiałego szlachcica za pierś i rzucić nim o ścianę.

Wtem Billewiczówna stanęła między nimi.

— Co wasza ks. mość chcesz uczynić? — rzekła.

Książę zatrzymał się.

Ona zaś stała z rozdętemi nozdrzami, z płonącą twarzą i ogniem w oczach, jak gniewna Minerwa. Pierś jej wzdymała się pod stanikiem, nakształt fali morskiej i tak była cudna w tym gniewie, że Bogusław zapatrzył się w nią, wszystkie żądze wypełzły mu na twarz, jakoby węże w pieczarach duszy zamieszkałe.

Po chwili gniew jego przeszedł, przytomność wróciła, czas jakiś patrzył jeszcze w Oleńkę, nakoniec twarz mu złagodniała, skłonił głowę na piersi i rzekł:

— Przebacz anielska panno!... Duszę mam pełną zgryzot a bólu, więc i sobą nie władnę.

To rzekłszy, wyszedł z komnaty.

Wówczas Oleńka załamała ręce, a miecznik oprzytomniawszy, chwycił się za czuprynę i zakrzyknął:

— Jam to popsował wszystko, jam przyczyną twej zguby!

Książę nie pokazał się przez cały dzień. Obiadował nawet u siebie, samowtór z panem Sakowiczem. Wzburzony do dna duszy, nie mógł myśleć tak jasno, jak zwykle. Trawiła go jakaś gorączka. Była to zapowiedź ciężkiej febry, która miała go niebawem uchwycić z taką siłą, że w czasie jej napadów drętwiał zupełnie, tak, iż musiano go rozcierać.

Ale on przypisywał w tej chwili stan swój nadzwyczajnej sile miłości i rozumował, że albo musi ją zaspokoić, albo umrzeć.

Tymczasem. opowiedziawszy Sakowiczowi całą rozmowę, z miecznikiem, tak mówił:

— Ręce i nogi mnie palą, mrowie chodzi po krzyżach, w gębie czuję gorycz i ogień. A! do wszystkich rogatych djabłów. co to jest?... Nigdy mi się to nie trafiało!...

— Boś wasza ks. mość skrupułami nadziany, jak pieczony kapłon kaszą... Książę kurzejec, książę kurzejec! Cha! cha!

— Głupiś!

— Dobrze!

— Nie konceptów mi twoich trzeba!

— Weź. mości książę, lutnię i pójdź pod okna dziewki, może ci pokaże... pięść... miecznik. Tfu! do licha, takiż to z Bogusława Radziwiłła rezolut?

— Dureń-eś!

— Dobrze! Widzę. że w. ks. mość zaczynasz z sobą rozmawiać i prawdę sobie w oczy gadać. Śmiało, śmiało! Proszę na godność nie uważać!

— Bo widzisz, Sakowicz, że mój Kastor poufali się ze mną. to i tak często go w ziobro nogą kopnę, a ciebie cięższa mogłaby spotkać przygoda.

Sakowicz zerwał się na równe nogi, niby zaperzony, jak niedawno miecznik rosieński, a że miał nadzwyczajny dar udawania, więc począł krzyczeć głosem tak do miecznikowego podobnym, że nie widząc, kto mówi, możnaby się omylić.

— Cóżto jasyr? oprymować chcą wolnego obywatela, kardynalne prawa deptać?

— Daj spokój! daj spokój! — mówił gorączkowo książę, — bo tam ona tego starego bałwana własną osobą zastawiła, a tu niemasz, ktoby cię bronił.

— Kiedy go zastawiła, to trzeba było ją w zastaw

brać!...

— Nie może inaczej być, tylko tu są jakoweś czary. Albo musiała mi coś zadać, albo konstelacje są takowe, że poprostu od zmysłów odchodzę... Żebyś ty ją widział, jak tego parszywego stryjca broniła... Aleś ty kiep! W głowie mi się mąci! Patrz! jako mi ręce gorzeją! Taką miłować, taką przygarnąć, z taką...

— Potomstwo mieć! — dodał Sakowicz.

— A tak! a tak! jakbyś wiedział i musi to być, bo inaczej rozerwą mnie płomienie, jak granat. Dla Boga! co się ze mną dzieje... Ożenię się, czy co, u wszystkich ziemskich i piekielnych djabłów?

Sakowicz spoważniał.

— O tem wasza książęca mość nie powinieneś myśleć!

— Właśnie, że myślę, właśnie, że jak zechcę, to tak uczynię, choćby regiment Sakowiczów powtarzał mi przez cały dzień: „O tem wasza ks. mość nie powinieneś myśleć!“

— Ej, to widzę nie żarty!

— Chorym jest, oczarowany, nie może inaczej być!

— Czemu wasza ks. mość nie idzie w ostateczności za moją radą?

— Chyba pójdę! Niech zaraza porwie wszystkie sny, wszystkich Billewiczów, całą Litwę wraz z trybunałami i Janem Kazimierzem w dodatku. Nie wskóram inaczej... Widzę, że nie wskóram! Dość tego! Co? Wielka rzecz! wielka sprawa! I ja, kiep, ważyłem się dotąd na dwie strony. Bałem się snów, Billewiczów, procesów, chasy szlacheckiej, fortuny Jana Kazimierza. Powiedz mi, żem kiep! Słyszysz? rozkazuję powiedzieć mi, żem kiep!

— A ja nie usłucham, boś teraz właśnie Radziwiłł, a nie kalwiński wikary. Ale chory musisz być wasza ks. mość naprawdę, bom cię w takiej alteracji nigdy nie widział.

— Prawda! aha! W najcięższych terminach jenom ręką machał i pogwizdywał, a teraz czuję, jakoby mi kto ostrogi w boki wpierał.

— Dziwna to jest, bo jeśli ta dziewka umyślnie w. ks.

mości co zadała, to nie dlatego, żeby potem miała uciekać, a przecież z tego, coś mi w. ks. mość mówił, pokazuje się, że oni oboje chcieli się pocichu wynieść.

— Powiadał mi Ryff, że to wpływ Saturna, na którym wyziewy palące w tym właśnie miesiącu się podnoszą.

— Mości książę, wolej Jowisza weź sobie za patrona, bo temu bez ślubów się szczęściło. Wszystko będzie dobrze, tylko o ślubie wasza ks. mość nie wspominaj, chyba o malowanym...

Nagle pan starosta oszmiański uderzył się w czoło.

— Czekajno, w. ks. mość... Słyszałem o podobnym wypadku w Prusiech...

— Szepceli ci djabeł co do ucha, powiadaj?

Lecz pan Sakowicz długo nic nie odpowiadał, wreszcie twarz mu się rozjaśniła i rzekł:

— Podziękuj, mości książę, swojej fortunie, że ci Sakowicza za przyjaciela dała.

— Co nowego? co nowego?

— Ej nic! będę drużbą waszej ks. mości (tu Sakowicz skłonił się), zaszczyt to dla takiego chudopachołka nie mały...

— Nie błaznuj, mów prędko!

— Jest w Tylży niejaki Plaska, czy tam jak, który swego czasu był księdzem w Nieworanach, ale rewokowawszy, luterstwo przyjął, ożenił się i pod protekcję elektora się schronił, a teraz wędzoną rybą ze Żmudzią handluje. Swego czasu starał się nawet biskup Parczewski, żeby go napowrót na Żmudź dostać, gdzieby mu pewnie stosik pod nogi podłożono, ale elektor nie chciał współwiercy wydać.

— Co mnie to obchodzi? Nie marudź!

— Co w. ks. mość to obchodzi? Owóż powinno obchodzić, bo on was zszyje, jako wierzch z podszewką, rozumiesz w. ks. mość? A że kiepski majster i do cechu nie należy, łatwo będzie po nim rozpruć, rozumiesz, mości książę? Tego szycia cechowi za ważne nie uznają, a przecie nie będzie ni gwałtów, ni hałasów. Majstrowi będzie można potem

łeb ukręcić, wasza ks. mość zaś sam będziesz narzekał, że było podejście, rozumiesz? Zaś przedtem: crescite et multiplicamini. Pierwszy daję moje błogosławieństwo.

— Rozumiem i nie rozumiem — rzekł książę. — Djabła tam! pojmuję doskonale. Sakowicz! musiałeś już jak strzyga z zębami na świat się urodzić. Kat cię czeka, nie może inaczej być... O panie starosto!... Ale póki żyję, włos ci z głowy nie spadnie, a kontentacja przystojna nie minie... Ja tedy...

— W. ks. mość oświadczysz się solennie o rękę panny Billewiczówny, jej samej i miecznikowi. Jeśli ci odmówią, jeśli się nie uda, to każ ze mnie skórę ściągnąć, rzemienie do sandałów z niej zrobić i iść na pokutną pielgrzymkę do... do Rzymu. Radziwiłłowi można się najeżyć, gdy zechce pokochać, ale gdy zechcę się żenić, tedy żadnego szlachcica nie będzie potrzebował pod włos głaskać. Musisz tylko w. ks. mość powiedzieć miecznikowi i pannie, że ze względu na elektora i króla szwedzkiego, którzy cię z księżniczką biponcką swatają, małżeństwo musi pozostać sekretne, dopóki pokój nie będzie zawarty. Zresztą intercyzy piszcie, jakie chcecie. Wszystko to oba kościoły muszą uznać za nieważne... A co?

Bogusław milczał przez chwilę, tylko na obliczu pojawiły mu się pod farbą gorączkowe plamy czerwone. Po chwili rzekł:

— Czasu niema, za trzy dni muszę, muszę na Sapiehę wyruszyć.

— To właśnie! Gdyby czasu było więcej, niepodobna byłoby pozorów usprawiedliwić. Jakże? Tylko brakiem czasu wytłómaczysz wasza ks. mość, że pierwszy lepszy ksiądz przyjeżdża, jako w nagłych razach bywa, i na pytel ślub daje. Oni toż samo pomyślą: „Prędko, bo musi być prędko!“ Rycerska to dziewka, więc wasza ks. mość i na wyprawę zabrać ją z sobą możesz... Królu miły, jeślić

Królu miły, jeślić Sapieha pobije, to i tak w połowie wiktorem będziesz.

— Dobrze, dobrze! — rzekł książę.

Lecz w tej chwili uchwycił go pierwszy paroksyzm, tak, iż szczęki mu się zacięły i słowa więcej przemówić nie mógł. Zesztywniał cały, a potem poczęło nim rzucać i drgał, jako ryba wyjęta z wody. Wszelako, nim przestraszony Sakowicz zdołał sprowadzić medyka, paroksyzm przeszedł.

ROZDZIAŁ III.

Po rozmowie z Sakowiczem książę Bogusław udał się nazajutrz po południu wprost do miecznika rosieńskiego.

— Panie mieczniku dobrodzieju! — rzekł na wstępie — zawiniłem ciężko ostatnim razem, bom się uniósł we własnym domu. M e a c u l p a ! i tem większa, żem ten afront uczynił człowiekowi z rodu od wieków zaprzyjaźnionego z Radziwiłłami. Ale przychodzę błagać o przebaczenie. Niech szczere przyznanie waszmości panu za satysfakcję, mnie za pokutę wystarczy. Waszmość znasz oddawna Radziwiłłów, wiesz, żeśmy do przeprosin nie skorzy; wszelako żem to wiekowi i powadze uchybił, pierwszy, nie bacząc, ktom jest, przychodzę z powinną głową. A już też, stary przyjacielu naszego domu, dłoni mi, wierzę, nie umkniesz?

To rzekłszy, wyciągnął rękę, a miecznik, w którego duszy pierwszy impet już przeszedł, nie śmiał mu jej odmówić, choć podał ją ociągając się i rzekł:

— Wasza ks. mość, wróć nam wolność, to będzie najlepsza kontentacja.

— Jesteście wolni i możecie jechać, choćby dziś.

— Dziękuję waszej ks. mości — odrzekł zdziwiony miecznik.

— Jedną tylko stawię kondycję, której, daj Bóg, żebyś nie odrzucił.

— Jakąż to? — spytał z obawą miecznik.

— Ażebyś chciał wysłuchać cierpliwie tego, coć powiem.

— Jeżeli tak, tedy będę słuchał, chociażby do wieczora.

— Nie dawaj mi zaraz responsu, jeno się namyśl godzinę albo i dwie

— Bóg widzi, że bylem wolność odzyskał, pragnę zgody.

— Wolność waćpan dobrodziej odzyszczesz, nie wiem tylko, czy korzystać z niej zechcesz i czy ci pilno będzie opuścić moje progi. Radbym, żebyś mój dom i całe Taurogi za swoje uważał. ale teraz słuchaj. Czy wiesz waszmość. mój dobrodzieju, dlaczegom się sprzeciwiał wyjazdowi panny Billewiczówny? Oto dlatego, żem odgadł, iż uciec poprostu chcecie, a ja takem się w synowicy waszmościnej rozkochał, iż byle ją widzieć, Hellespontbym codzień przepływać gotów, jako ów Leander dla Hery...

Miecznik poczerwieniał na nowo w jednej chwili.

— Mnie to wasza ks. mość śmiesz mówić?...

— Właśnie, waszmości, mój szczególniejszy dobrodzieju.

— Mości książę! Szukaj fortuny u dworek, a szlacheckiej dziewki nie tykaj, boć zasie! Możesz ją więzić, możesz do sklepu zamknąć. ale ci jej pohańbić nie wolno!

— Pohańbić niewolno — odrzekł książę, — ale wolno pokłonić się staremu Billewiczowi i rzec mu: Słuchajcie, ojcze! dajcie mi swoją synowicę za żonę, bo mi żyć bez niej nijak.

Miecznik tak zdumiał, że słowa przemówić nie mógł, przez czas jakiś tylko wąsami ruszał, a oczy wyszły mu na wierzch; potem jął je sobie pięściami przecierać i spoglądać, to na księcia, to wokoło po komnacie, wreszcie rzekł:

— We śnieli to, czy na jawie?

— Nie śpisz, dobrodzieju, nie śpisz ażebyś się jeszcze lepiej przekonał, toć powtórzę c u m o m n i b u s t i t u l i s : Ja, Bogusław książę Radziwiłł, koniuszy wielkiego księstwa litewskiego, proszę ciebie, Tomasza Billewicza,

miecznika rosieńskiego, o rękę synowicy twej panny łowczanki Aleksandry.

— Jakżeto? Dla Boga! czyś wasza ks. mość rozważył?

— Ja rozważyłem, teraz ty rozważ, dobrodzieju, czy kawaler godzien panny...

— Bo ze zdziwienia dech mi zaparło...

— Poznaj, czylim miał jakowe niecnotliwe intencje...

— I wasza ks. mość nie zważałbyś na stan nasz chudopacholski?

— Tacyż to Billewicze tani, także to klejnot wasz szlachecki i starożytność rodu cenisz? Zali to Billewicz mówi?

— Mości książę, wiem, że początków rodu naszego w Rzymie starożytnym szukać należy, ale...

— Ale — przerwał książę, — hetmanów ni kanclerzy nie macie. Nic to! elektorami wszakże jesteście, jako mój wuj brandenburski. Skoro w naszej Rzeczypospolitej szlachcic królem obran być może, to niemasz za wysokich progów na jego nogi. Ja, mój mieczniku, a da Bóg, mój stryjaszku, rodzę się z księżniczki brandenburskiej. ojciec mój z Ostrogskiej, ale dziad, wielkiej pamięci Krzysztof I-szy, ten, którego Piorunem zwali, hetman wielki, kanclerz i wojewoda wileński, żonaty był primo voto z Sobkówną, a dlatego mitra mu z głowy nie spadła, bo Sobkówna była szlachcianka, tak zacnie urodzona, jak i inne. Zato, gdy nieboszczyk rodzic z elektorówną się żenił, to wydziwiano, że na godność nie pamięta, chociaż z panującym domem się łączył. Taka u was djabla szlachecka pycha. No. dobrodzieju, przyznaj, że nie myślisz, żeby Sobek od Billewicza był lepszy? No?...

Tak mówiąc, począł książę klepać z wielką poufałością pana miecznika po łopatce, a szlachcic zmiękł jak wosk i odrzekł:

— Bóg waszej ks. mości zapłać za zacne intencje... Ciężar spada z serca! Ej, mości książę, żeby jeszcze nie różnica wiary!...

— Ksiądz katolicki będzie ślub dawał, innego ja sam nie chcę.

— Całe życie będziem za to wdzięczni, bo tu chodzi o błogosławieństwo Boże, któregoby pewnie Pan Jezus umknął, gdyby jaki paskudnik...

Tu ugryzł się w język pan miecznik, bo zmiarkował, że nieprzyjemną dla księcia rzecz chciał powiedzieć, lecz Bogusław ani zauważył, owszem uśmiechnął się łaskawie i dodał:

— I co do potomstwa nie będę się upierał, bo niemasz takiej rzeczy, którejbym dla tej waszej śliczności nie uczynił...

Miecznika twarz rozjaśniła się, jakby na nią promienie słońca padły.

— Już też Bóg tej błaźnicy nie poskąpił urody... Prawda jest!

Bogusław znów poklepał go po ramieniu i pochyliwszy się szlachcicowi do ucha, począł szeptać:

— A że pierwszy będzie chłopak, to ja ręczę i malowanie, nie chłopak!

— Chi! chi!...

— Bo nie może być inny z Billewiczówny.

— Z Billewiczówny za Radziwiłłem — dodał miecznik, rozkoszując się połączeniem tych nazwisk. — Chi! chi! Ot, będzie huczek na całej Żmudzi... A co panowie Sicińscy, nasi nieprzyjaciele powiedzą, gdy Billewicze tak wyrosną. Wszakżeto oni nawet starego pułkownika nie zostawili w spokoju, choć to był mąż rzymskiego pokroju, od całej Rzeczypospolitej uwielbiany.

— Wyścigamy ich ze Żmudzi, mości mieczniku!

— Boże wielki, Boże miłosierny, niezbadane są wyroki Twoje, ale jeżeli w wyrokach Twoich leży, aby panowie Sicińscy popękali z inwidji... bądź wola Twoja!

— Amen! — dorzucił Bogusław.

— Mości książę! niebierzże za złe, iż się w godność nie obwijam, jako przystoi temu, którego o dziewkę proszą,

i że zbyt jawnie radość okazuję... Lecz owo żyliśmy w strapieniu, nie wiedząc co nas czeka i wszystko najgorzej sobie tłómacząc. Przyszło do tego, żeśmy i waszą ks. mość źle sądzili, aż naraz pokazuje się, że strachy i posądzenia były niesłuszne, i że pierwszemu uwielbieniu folgę dać można. To, mówię waszej ks. mości, jakoby kto brzemię z ramion zdjął...

— Zali i panna Aleksandra tak mnie sądziła?

— Ona? Choćbym Cyceronem był, jeszczebym jej poprzedniej admiracji dla waszej ks. mości godnie opisać nie umiał... Tak myślę, że cnota w niej jeno i przyrodzona jakowaś nieśmiałość afektom stała na przeszkodzie... Ale gdy się dowie o szczerych waszej ks. mości intencjach, tedy jestem pewien, że sercu zaraz cugli popuści, a ono bryknąć na pastwisko miłości z największym impetem nie omieszka.

— Cyceronby tego ozdobniej nie umiał wyrazić! — odrzekł Bogusław.

— Bo przy szczęściu i wymowa się znajdzie. Lecz skoro wasza książęca mość tak wdzięcznie wszystkiego, co prawię, słuchać raczysz, tedy już do ostatka będę szczery.

— Bądź szczery, panie mieczniku...

— Bo choć to dziewka młoda, ale *hic mulier* i przy męskim zgoła umyśle, dziw, jak charakterna. Tam, gdzie niejedenby doświadczony człek się zawahał, ona ani się namyśli. Co złe, to na lewo, co dobre, na prawo... a sama też na prawo. Słodkie to niby, a jak raz sobie drogę obierze, chociażby armaty, na nic! bo już nie zboczy. W dziada i we mnie się wdała; ojciec był żołnierz zawołany, ale człek miękki... matka zasię, Wojniłowiczówna *de domo*, cioteczna siostra Kulwiecówny, także była charakterna.

— Rad to słyszę, mości mieczniku!

— Owóż nie uwierzysz, mości książę, jakie to licho na Szwedów, ba! na wszystkich nieprzyjaciół Rzeczypospolitej zawzięte. Gdyby kogoś o zdradę, choćby najmniejszą, posądzała, jużby abominację nieprzezwyciężoną do niego czuła, choćby to anioł był, nie człowiek... Wasza książęca

mość! wybacz staremu, który ojcem twoim mógłby z wieku, jeśli nie z godności być: porzuć Szweda... Toż to gorszy Tatara ojczyzny ciemięzca! Rusz przeciw takim synom swoje wojska, a nietylko ja, ale i ona pociągnie z tobą w pole! Wybaczaj wasza ks. mość, wybaczaj... Ot powiedziałem, com myślał!

Bogusław przemógł się po chwili milczenia i tak mówić począł:

— Panie mieczniku dobrodzieju! Godziło się wam wczoraj jeszcze przypuszczać, ale dziś już się nie godzi, że wam chcę jeno piaskiem w oczy rzucić, mówiąc, iż po stronie króla i ojczyzny stoję. Owóż pod przysięgą, jako krewnemu, powtarzam, że com o pokoju i o jego kondycjach rzekł, to była szczera prawda. Wolałbym i ja ruszyć w pole, bo mnie do tego natura ciągnie, ale żem widział, iż nie w tem ratunek, z czystej miłości musiałem się innego sposobu chwycić... I to mogę rzec, iżem niesłychanej rzeczy dokazał, bo żeby po straconej wojnie taki pokój zawrzeć, aby zwycięska potęga szła jeszcze na służbę zwyciężonej, tegoby się sam najchytrzejszy z ludzi Mazarin nie powstydził... Nie panna Aleksandra jedna, ale i ja na równi z nią odium do nieprzyjaciół czuję. Co jednak czynić? jako tę ojczyznę ratować? nec Hercules contra plures! Więc pomyślałem sobie tak: miast zginąć, co byłoby łatwiej i pocieszniej, trzeba ją ratować. A iżem się w sprawach tego rodzaju u wielkich statystów ćwiczył, żem to elektora krewny i u Szwedów, za przyczyną brata Janusza, dobrze widziany, wnet począłem rokowania, a jaki był ich cursus i dla Rzeczypospolitej pożytek, to już waszmość wiesz; koniec wojny, uwolnienie z pod opresji katolickiej waszej wiary, kościołów, duchowieństwa, stanu szlacheckiego, pospólstwa, pomoc szwedzka na wojnę moskiewską i kozacką, a bogdaj rozszerzenie granic... Za to zaś wszystko to jedno ustępstwo, że Carolus po Kazimierzu królem ma zostać. Kto więcej w tych czasach dla ojczyzny uczynił, niech mi stanie do oczu!

— Prawda jest... ślepyby zobaczył... jeno stanowi szlacheckiemu okrutnie markotno będzie, że wolna elekcja ustanie.

— A co ważniejsze, elekcja, czy ojczyzna?

— Wszystko jedno, mości książę, boć to kardynalny fundament Rzeczypospolitej... A cóż jest ojczyzna, jeżeli nie zbiór praw, przywilejów i wolności, stanowi szlacheckiemu przysługujących?... Pana i pod obcem panowaniem znaleźć można.

Gniew i nuda przeleciały błyskawicą po obliczu Bogusława.

— Carolus — rzekł — podpisze p a c t a c o n v e n t a, jako i poprzednicy podpisywali, a po jego śmierci obierzem sobie, kogo zechcem... choćby tego Radziwiłła, który się z Billewiczówny narodzi.

Miecznik stał przez chwilę jakoby olśniony tą myślą, nakoniec podniósł rękę w górę i zakrzyknął z wielkim zapałem:

— Consentior!...

— Tak i ja myślę, że się waść zgadzasz, choćby potem tron dziedziczny w naszej rodzinie miał zostać — rzekł ze złośliwym uśmiechem książę. — Tacyście wszyscy! Ale to rzecz późniejsza. Tymczasem trzeba, żeby układy do skutku doszły... Rozumiesz waszmość, panie stryjcu?

— Trzeba, jako żywo, trzeba! — powtórzył z głębokiem przekonaniem miecznik.

— Dojść zaś mogą dlatego, że wdzięcznym jestem jego szwedzkiemu majestatowi pośrednikiem, a wiesz waszmość z jakowych przyczyn?... Oto, Carolus ma jedną siostrę za de la Gardie, a drugą, księżniczkę biponcką, jeszcze panną, i tę chce za mnie wydać, aby się z domem naszym skoligacić i gotową partję mieć na Litwie. Stąd jego dla mnie powolność, do której go i wuj elektor nakłania.

— Jakże to? — spytał zaniepokojony miecznik.

— Tak, mości mieczniku, że za waszego gołąbka oddałbym wszystkie księżniczki biponckie, razem z księstwem

nietylko Dwóch, ale i wszystkich na świecie mostów. Jeno mi drażnić szwedzkiej bestji nie wypada, zaczem udaję powolne dla ich rokowań ucho; ale niech jeno traktat podpiszą, zobaczymy!

— Ba! to gotowi nie podpisać, gdy się dowiedzą, żeś się wasza ks. mość ożenił?

— Mości mieczniku, — rzekł z powagą książę — posądziłeś mnie o nieszczerość dla ojczyzny... Ja zaś, jako prawy obywatel, pytam cię teraz: mamli prawo dla swej prywaty dobro Rzeczypospolitej poświęcić?

Pan Tomasz słuchał.

— Więc, co będzie?

— Pomyśl sam waszmość: co ma być?

— Dla Boga widzę już, że ślub musi być odłożony, a przysłowie mówi: „Co się odwlecze, to i uciecze.“

— Ja serca nie zmienię, bom na całe życie pokochał, a i to trzeba waszmości wiedzieć, że wiernością samą cierpliwą Penelopę mógłbym zawstydzić.

Miecznik przeląkł się jeszcze bardziej, bo właśnie całkiem przeciwne o wierności książęcej miał mniemanie, które i reputacja powszechna potwierdzała, książę zaś jakby na dobitkę dodał:

— Ale masz wasza mość słuszność, że jutra swego nikt niepewien: mogę zachorzeć, ba! nawet zbiera mi się na jakowąś obłożnicę, bom wczoraj tak zdrętwiał, że mnie ledwie Sakowicz odratował; mogę umrzeć, zginąć na wyprawie przeciwko Sapieże, a co będzie mitręgi, molestowań, zmartwień, tegoby na wołowej skórze nie spisał.

— Na rany boskie, radź mości książę!

— Co ja poradzę, — odrzekł ze smutkiem książę — chociaż sambym rad, ażeby klamka jaknajprędzej zapadła,

— Otóż, żeby zapadła... Wziąć ślub, a potem, co będzie, to będzie...

Bogusław zerwał się na równe nogi.

— Na świętą ewangelię! Waszmość ze swoim rozumem kanclerzem litewskim powinienbyś zostać. Przez trzy dni

innyby tego nie wymyślił, co waszmości odrazu do głowy przyszło. Tak jest! tak! wziąć ślub i cicho siedzieć. To głowa! Ja i tak za dwa dni na Sapiehę ruszam, bo mus! Przez ten czas przejście tajemne do komnatki panieńskiej się urządzi, a potem w drogę! To głowa statysty! Dwóch albo trzech konfidentów do tajemnicy przypuścim i za świadków weźmiem, aby ślub odbył się formaliter! Intercyzę spiszem, wiano ubezpieczym, do którego zapis dołączę i do czasu — sza! Mieczniku dobrodzieju! dziękuję! Pójdź w moje objęcia, a potem do mojej śliczności... Będę odpowiedzi jej czekał, jako na węglach! Tymczasem zaś Sakowicza po księdza wyprawię! Bądź zdrów, ojczyku, a da Bóg wkrótce i dziadku Radziwiłła!

To rzekłszy, książę wypuścił zdumionego szlachcica z objęcia i wypadł z komnaty.

— Dla Boga! — rzekł do siebie, ochłonąwszy, miecznik. — Dałem taką rozumną radę, że i Salomonby się nie powstydził, a wolałbym, żeby się bez niej obyło. Tajemnica — tajemnicą... Wszakże, łam głowę, tłucz łbem o ścianę, nie może inaczej być... Hm! nie może inaczej być! ślepy dojrzy!... Bogdaj tych Szwedów mróz ścisnął i wydusił w ostatku!... Żeby nie owe rokowania, to ślub odbyłby się z ceremoniami, jeszczeby cała Żmudź się na weselisko zjechała. A tu do własnej żony mąż musi w wojłokach chodzić, żeby hałasu nie narobić... Tfu, do licha! Nie tak prędko jeszcze Sicińscy popękają, choć Bogu chwała, że ich to nie minie...

To rzekłszy, poszedł do Oleńki.

Książę tymczasem naradzał się w dalszym ciągu z Sakowiczem.

— Tańcował szlachcic na dwóch łapach, jak niedźwiedź — mówił Sakowiczowi — ale też mnie wymęczył! Uf! uścisnąłem go za to, aż mu żebra zatrzeszczały i trząsłem nim tak, iż myślałem, że mu buty razem z wiechciami z nóg zlecą... A com mu powiedział: „stryjcu“, to

aż w oczach pęczniał, jakby się całą faską bigosu udławił. Tfu! tfu! poczekaj! uczynię cię stryjcem, ale takich stryjców mam na kopy po całym świecie... Sakowicz! widzę już jako ona mnie w swojej komnatce czeka i przyjmuje, oczki zamknąwszy i rączęta skrzyżowawszy... Czekaj i ty! wycałuję ja ci te oczki... Sakowicz! weźmiesz dożywociem Prudy za Oszmianą!... Kiedy Plaska może tu stanąć?

— Przed wieczorem! Dziękuję waszej książęcej mości za Prudy...

— Nic to! Przed wieczorem? to znaczy lada chwila... Żeby to można dziś jeszcze, choćby o północy, ów ślub wziąć... Masz gotową intercyzę?

— Mam. Hojny byłem w imieniu waszej książęcej mości. Birżę pannie oprawą zapisałem... Będzie miecznik wył jak pies, gdy mu się to potem odbierze.

— Posiedzi w lochu, to się uspokoi.

— Nie trzeba i tego. Jak ślub pokaże się nieważny, to i wszystko nieważne. A nie mówiłem waszej książęcej mości, że się zgodzą?

— Nie czynił najmniejszych trudności... Ciekawym, co ona powie... Jakoś go nie widać!

— Padli sobie w ramiona i z rozczulenia płaczą, a błogosławią waszą ks. mość, a nad jej dobrocią i urodą się unoszą.

— Nie wiem, czyli nad urodą, bo jakoś mizernie wyglądam. Ciąglem niezdrów i boję się, żeby ona wczorajsza zdrętwiałość znów nie przyszła.

— Ej, byleś wasza ks. mość ciepła zażywał...

Książę już stał przed zwierciadłem.

— Oczy mam podsiniałe i kiep Fouret brwi mi dziś krzywo uczernił. Patrz, czy nie krzywo? Każę mu palce wkręcić w kurek od muszkietu, a małpę zrobię swoim kamerdynerem. Co to jest, że miecznika niema?... Chciałbym już do panny! Przecie pocałować się przed ślubem pozwoli... pocałować... posmakować!... Jak prędko się dziś

ściemnia. Na Plaskę, jeśliby się wzdragał, trzeba obcążki do ognia wsadzić...

— Plaska nie będzie się wzdragał, to szelma spod ciemnej gwiazdy!

— I ślub da po szelmowsku.

— Szelma szelmę po szelmowsku ożeni.

Książę wpadł w dobry humor.

— Gdzie rajfur drużbą, nie może być innego ślubu!

Na chwilę umilkli i poczęli się śmiać obaj, ale rzechotanie ich dziwnie złowrogo rozlegało się po ciemnej izbie. Noc zapadała coraz głębsza.

Książę począł chodzić po pokoju, stukając głośno czekanikiem, którym podpierał się silnie, bo od ostatniego odrętwienia nogi mu jeszcze niezbyt służyły.

Wtem pachołkowie wnieśli kandelabry ze świecami i wyszli, lecz pęd powietrza pochylił płomienie świec tak, iż długo nie mogły się palić prosto, topiąc tymczasem obficie wosk.

— Patrz, jak się świece palą — rzekł książę. — Cóż stąd wróżysz?-

— Że jedna cnota stopi się dziś jak wosk.

— Dziw, jak długo trwa to chybotanie.

— Może dusza starego Billewicza przelatuje nad płomieniami.

— Głupiś! — rzekł porywczo Bogusław — ogromnieś głupi! A wybrał też sobie porę do mówienia o duchach!

Nastała chwila milczenia.

— W Anglii powiadają, — ozwał się książę — że jak duch jakowy jest w izbie, to każda świeca będzie ci się palić błękitno, a te, patrz! płoną żółto, jak zwykle.

— Furda!... — rzekł Sakowicz. — W Moskwie są ludzie...

— Cicho, no!... przerwał Bogusław. — Miecznik nadchodzi... Nie! to wiatr porusza okiennicą. Djabli nadali tę ciotkę dziewczyny... Kulwiec-Hypocentaurówna! Słyszał ktoś o czemś podobnem? Ale też i wygląda na Chimerę.

— Chcesz wasza książęca mość, to się z nią ożenię. Nie będzie wam zawadzać. Plaska nas zlutuje na poczekaniu.

— Dobrze. Dam jej jaworową łopatę na prezent ślubny, a tobie latarnię, żebyś jej miał czem świecić.

— Ale będę twoim wujaszkiem... Bogusiu...

— Pamiętaj na Kastora! — odparł książę.

— Nie gładź Kastora, mój Polluksie pod włos, bo może ugryźć!

Dalszą rozmowę przerwało wejście miecznika i panny Kulwiecówny. Książę postąpił ku nim żywo, podpierając się czekanikiem. Sakowicz wstał.

— A co? można do Oleńki? — spytał książę.

Lecz miecznik tylko ręce rozłożył, a głowę spuścił na piersi.

— Mości książę! Synowica moja powiada, że jej testament pułkownika Billewicza zakazuje losem swym rozporządzać, a gdyby nawet nie zakazywał, tedyby za waszą książęcą mość, nie mając do niej serca, nie wyszła.

— Sakowicz, słyszysz? — ozwał się strasznym głosem Bogusław.

— O tym testamencie i ja wiedziałem, — mówił miecznik — alem w pierwszej chwili nie uważał go za niezwalczone impedimentum.

— Drwię sobie z waszych szlacheckich testamentów! — rzekł książę. — Plwam na wasze szlacheckie testamenta! rozumiesz?!...

— Ale my nie drwim! — odparł zaperzony pan Tomasz — a wedle testamentu, wolno dziewce albo do klasztoru, albo za Kmicica.

— Za kogo, szerepetko? za Kmicica?... Pokażę ja wam Kmiciców!... nauczę was!...

— Kogo to, mości książę, szerepetką nazywasz? Billewicza? !

I miecznik za bok się pochwycił w furji największej, lecz Bogusław w jednej chwili trzasnął go obuchem w piersi, aż w szlachcicu jękło i zwalił się na ziemię, sam zaś, kop-

nąwszy leżącego nogą, aby drogę do drzwi otworzyć, wypadł bez kapelusza z komnaty.

— Jezus! Marja! Józef! — wołała panna Kulwiecówna

Lecz Sakowicz chwycił ją za ramię i przyłożywszy jej kindżał do piersi, mówił:

— Cicho klejnociku, cicho turkaweczko najmilsza, bo ci twoje słodkie gardło poderznę, jako kulawej kurze. Siedź tu spokojnie i nie chodź na górę, bo tam się wesele twej siostrzenicy odprawia.

Lecz w pannie Kulwiecównie płynęła również krew rycerska, więc ledwie usłyszała słowa Sakowicza, natychmiast przestrach jej zmienił się w rozpacz i uniesienie.

— Łotrze! zbóju! poganinie! — krzyknęła — zarznij mnie, bo będę krzyczeć na całą Rzeczpospolitą. Brat zabit! krewna pohańbiona, nie chcę i ja żyć! Bij, zbóju, zarznij! Ludzie! schodźcie cię! patrzajcie!...

Dalsze słowa stłumił Sakowicz, położywszy jej na ustach swą dłoń potężną.

— Cicho, krzywa kądziołko, cicho, zwiędła ruto! — rzekł do niej. — Jać nie będę zarzynał, poco nam dawać djabłu to, co i tak jego, ale żebyś nie mogła jako paw krzyczeć, zanim się uspokoisz, to ci twą wdzięczną buzię własną twoją chustką obwiążę, a sam lutnię wezmę i „wzdychanego" ci zagram. Nie może być inaczej, jeno musisz mnie polubić.

Tak mówiąc, pan starosta oszmiański. z wprawą prawdziwego rzezimieszka, okręcił głowę panny Kulwiecówny chustką, pasem skrępował jej w mgnieniu oka ręce, nogi i rzucił ją na sofę.

Następnie siadł przy niej i wyciągnąwszy się wygodnie, spytał tak spokojnie, jak gdyby zwykłą rozpoczynał rozmowę:

— Jakże waćpanna myślisz? Ja mniemam, że i Boguś równie sobie łatwo poradzi?

Wtem zerwał się na równe nogi, bo drzwi otworzyły się szybko i ukazała się w nich panna Alexandra.

Twarz miała białą jak kreda, włos nieco rozrzucony, brew namarszczoną i zgrozę w oczach.

Ujrzawszy leżącego miecznika, przyklękła nad nim i poczęła ręką dotykać jego głowy i piersi.

Miecznik odetchnął głęboko, otworzył oczy, podniósł się nawpół i jął rozglądać się po komnacie, jakby zbudzony ze snu, następnie, wsparłszy się ręką o ziemię, popróbował wstać, co mu się po chwili, przy pomocy panienki udało, więc doszedł chwiejnym krokiem do krzesła i rzucił się w nie.

Oleńka teraz dopiero dostrzegła pannę Kulwiecównę, leżącą na sofie.

— Czyś ją waść zamordował? — spytała Sakowicza.

— Uchowaj Boże! — odrzekł starosta oszmiański.

— Rozkazujęć rozwiązać!

Tyle było mocy w jej głosie, że Sakowicz nie odrzekł ani słowa, jak gdyby rozkaz wyszedł od samej księżnej Radziwiłłowej i począł rozwiązywać zemdloną pannę Kulwiecównę.

— A teraz, — rzekła panna — idź do twego pana, któren tam leży na górze.

— Co się stało? — krzyknął oprzytomniawszy Sakowicz. — Waćpanna odpowiesz za niego!

— Nie przed tobą, sługo! Precz!

Sakowicz skoczył jak opętany.

ROZDZIAŁ IV.

Sakowicz nie odstępował księcia przez dwa dni, bo drugi paroksyzm cięższy był od pierwszego; szczęki Radziwiłła tak się zwarły, że trzeba je było nożem otwierać, aby do ust wlać lekarstwo trzeźwiące. Zaraz potem odzyskał

przytomność, jednakże trząsł się, dygotał, podskakiwał na łożu, wyprężał się jak zwierz śmiertelnie postrzelony. Gdy i to minęło, przyszło osłabienie ogromne; przez całą noc patrzył w sufit, nic nie mówiąc. Nazajutrz po wzięciu odurzających leków, zapadł w sen twardy i ciężki, a koło południa rozbudził się znowu, zlany potem obfitym.

— Jak się wasza książęca mość czuje? — pytał Sakowicz.

— Lepiej mi. Czy nie przyszły jakowe listy?

— Są od elektora i Steinboka. leżą tu na stole, ale czytanie na później trzeba odłożyć, bo wasza ks. mość sił jeszcze nie masz.

— Dawaj zaraz... słyszysz?

Starosta oszmiański wziął listy i podał, a Bogusław przeczytał je po dwakroć, poczem pomyślał chwilę i rzekł:

— Jutro ruszamy na Podlasie.

— Jutro będziesz, mości książę, w łożu, jako i dzisiaj.

— Będę na koniu, jako i ty!... Milcz, nie przeciw się!...

Starosta umilkł i przez chwilę trwała cisza, którą przerywał tylko poważny i powolny tyk-tak gdańskiego zegara.

— Rada była głupia i pomysł głupi, — rzekł nagle książę — i ja także głupi, żem cię usłuchał...

— Wiedziałem, że jak się nie uda, to wina na mnie spadnie — odrzekł Sakowicz.

— Boś podrwił głową.

— Rada była roztropna, ale jeśli tam jest jaki djabeł na usługach, który o wszystkiem ostrzega, ja za to nie odpowiadam.

Książę podniósł się na łóżku.

— Myślisz?... — rzekł, patrząc bystro na Sakowicza.

— A wasza ks. mość nie zna papistów?

— Znam, znam! I mnie często do głowy przychodziło, że to mogą być czary. Od wczoraj pewien jestem. Utrafiłeś w moją myśl, dlategom cię spytał, zali naprawdę tak mniemasz? Ale które z nich może w komitywę z siłą nieczystą

wchodzić?... Przecie nie ona, bo cnotliwa... i nie miecznik, bo za głupi?...

— A choćby ona ciotka...

— Może to być...

— Dla pewności na krzyż ją wczoraj wiązałem, a przedtem przyłożyłem jej nóż do gardzieli i... imaginuj sobie wasza ks. mość... patrzę dziś, a ostrze, jakoby w ogniu stopnione.

— Pokaż!

— Cisnąłem nóż do wody, choć w rękojeści turkus był zacny. Wolałem tego już więcej nie tykać.

— To ci powiem, co mi się wczoraj przygodziło... Wpadłem do niej, jak oszalały. Com mówił, nie pamiętam... ale to wiem, że dziewka krzyknęła: „W ogień pierwej się rzucę!“ Wiesz, jako tam komin ogromny. I wraz skoczyła! Ja za nią. Porwałem ją wpół. Już się szatki na niej zatliły. Musiałem gasić i trzymać zarazem. Wtem dur mnie schwycił, szczęki mi się ścięły... Rzekłbyś, że mnie kto za żyły w szyi szarpnął... Zaczem wydało mi się, że owe iskry, wedle nas latające, zmieniły się w pszczoły i brzęczą jako pszczoły... Ot, jak mnie tu widzisz, prawda!

— I co później?

— Nic już nie pamiętam, jeno taki strach, jak gdybym w niezmierną studnię zlatywał, w jakąś głębię bezdenną. Co za strach! powiadam ci, co za strach! Teraz jeszcze włosy wstają mi na głowie... I nie sam strach, ale... jakby powiedzieć... i czczość i nuda niezmierna i umęczenie niepojęte... Szczęściem, mocy niebieskie były ze mną, inaczej już bym dziś z tobą nie rozmawiał.

— Wasza ks. mość miałeś paroksyzm... Sama choroba często różne jasełeczka przed oczy stawia, ale dla pewności możnaby kazać nieco lodu na rzece obrąbać i tę babę spławić.

— Jechał ją sęk! I tak jutro ruszamy, a potem przyjdzie wiosna, inne będą zaraz gwiazdy i noce krótkie, wszelką nieczystą siłę debilitujące.

— Skoro mamy jutro ruszać, to już lepiej wasza ks. mość tej dziewki zaniechaj.

— Choćbym nie chciał, muszę... Wcale żądze dziś ode mnie odpadły.

— Puść ich, niech sobie idą do djabła!

— Nie może być!

— Czemu?

— Bo mi się szlachcic do okrutnych pieniędzy przyznał, które są w Billewiczach zakopane. Puszczę ich, to odkopią i pójdą w lasy. Wolę ich tu potrzymać, a pieniądze w rekwizycję wziąć... Teraz wojna, to wolno! Zresztą sam się ofiarował. Każemy sady w Billewiczach skopać piędź przy piędzi; musimy znaleźć. Miecznik zaś, siedząc tu, przynajmniej hałasu i krzyku na całą Litwę nie naczyni, że go zrabowano. Złości mnie biorą, gdy pomyślę, ilem tu pieniędzy napróżno stracił na owe uciechy i turnieje, a wszystko to na nic! na nic!...

— Mnie już dawno i na tę dziewkę złości brały. A mówię waszej ks. mości, że gdy wczoraj przyszła i rzekła mi niby ostatniemu ciurze: „Ruszaj, sługo, na górę, bo tam pan twój leży“ — tylko com jej głowy nie ukręcił jako szpakowi, ile żem myślał, że to ona sama pchnęła waszą ks. mość nożem, czyli ustrzeliła z krucicy.

— Ty wiesz, iż nie lubię, żeby kto u mnie rządził, jak szara gęś... I dobrze, żeś tego nie uczynił, bo kazałbym cię owemi żelazkami szczypać, które na Plaskę były przygotowane... Wara ci od niej...

— Plaskę jużem wyprawił z powrotem. Okrutnie był zdziwiony, nie wiedząc, poco go przywieźli i poco każą precz. Chciał coś za fatygę, że to, powiada „w handlu mam straty“, alem mu rzekł: w nagrodę skórę całą wywozisz!... Zali to naprawdę jutro mamy ruszać na Podlasie?

— Jako Bóg w niebie. A wojska powyprawiane wedle moich rozkazów?

— Rajtarje wyszły już do Kiejdan, skąd mają do Kowna ruszyć i tam czekać... Nasze polskie chorągwie są

jeszcze tu; nie zdało mi się najprzód ich wyprawiać. Ludzie niby pewni, a przecie mogliby się z konfederatami zwąchać. Głowbicz pojedzie z nami, semenowie pod Wrotyńskim także, Karlström ze Szwedy idzie w przedniej straży... Po drodze ma rozkaz rebelizantów, a zwłaszcza chłopstwo wycinać.

— Dobre.

— Kyritz z piechotą ma ciągnąć zwolna, aby w ciężkim terminie było się o kogo oprzeć. Jeśli mamy iść naprzód jako piorun i cały rachunek nasz na szybkości polega, to nie wiem, jeżeli pruskie i szwedzkie rajtarje będą nam przydatne. Szkoda, że nie staje polskich chorągwi, bo mówiąc między nami, niemasz nad naszę jazdę...

— A artylerja wyszła?

— Wyszła.

— Jakże i Paterson?

— Nie! Paterson jest, pilnuje Ketlinga, który własną szpadą zranił się dość szkodliwie. On go bardzo miłuje. Gdybym Ketlinga nie znał, iż odważny oficer, myślałbym, że się umyślnie zakłuł, aby na wyprawę nie iść.

— Trzeba tu będzie ze sto ludzi zostawić, toż w Rosieniach, toż w Kiejdanach. Szwedzkie prezydja szczupłe, a de la Gardie i tak codzień od Loewenhaupta ludzi żąda. Jak jeszcze i my wyjdziemy, rebelia zapomni o szawelskiej klęsce i znów głowę podniesie.

— Rosną oni i tak. Znów słyszałem, iż Szwedów w Telszach wycięto.

— Szlachta? chłopi?

— Chłopi pod przywództwem księdza, ale są i partje szlacheckie, szczególnie wedle Laudy.

— Laudańscy pod Wołodyjowskim wyszli.

— Siła wyrostków i starców zostało. Ci za broń chwytają, bo to wojennicy z rodu.

— Bez pieniędzy nic rebelia nie wskóra.

— A my się w Billewiczach zasilim. Trzeba być ge-

niuszem, jak wasza ks. mość, żeby tak we wszystkiem znaleźć poradę.

Bogusław gorzko się uśmiechnął.

— Lepiej w tym kraju cenią tego, kto się królowej jejmości i szlachcie akomodować umie. Geniusz ni cnota nie popłaca. Szczęście, żem to i książęciem Rzeszy, a za nogę mnie przecie do sosny nie przywiążą. Byle mnie intraty z dóbr, tu położonych, regularnie dochodziły, nie dbam o całą Rzeczpospolitę

— Żeby tylko konfiskować nie chciano?

— Pierwej my skonfiskujemy Podlasie, jeśli nie całą Litwę. Tymczasem zawołaj mi Patersona.

Sakowicz wyszedł i po chwili wrócił z Patersonem. Rozpoczęła się przy łożu książęcem narada, skutkiem której nazajutrz do dnia miano ruszać i nagłemi pochodami ciągnąć na Podlasie. Książę Bogusław wieczorem czuł się już o tyle lepiej, że ucztował razem z oficerami i żartami do późna się bawił, słuchając z przyjemnością rżenia koni i szczęku oręża, gotujących się do pochodu chorągwi.

Chwilami oddychał głęboko i przeciągał się w krześle.

— Widzę, że ta wyprawa zdrowie mi wróci, — mówił do oficerów — bom też wśród tych wszystkich układów i zabaw znacznie pole zależał. Ale w Bogu nadzieja, że poczują rękę moją konfederaci i nasz ekskardynał w koronie.

Na to zaś Paterson ośmielił się odpowiedzieć:

— Szczęście to, że Dalila nie obcięła włosów Samsonowi.

Bogusław popatrzył na niego przez chwilę dziwnym wzrokiem, od którego Szkot już mieszać się począł, ale po chwili oblicze książęce rozjaśniło się strasznym uśmiechem.

— Jeśli filarem jest Sapieha, — odrzekł — to nim tak potrząsnę, że cała Rzeczpospolita na łeb mu runie.

Rozmowa była prowadzona po niemiecku, więc wszyscy cudzoziemscy oficerowie-jurgieltnicy zrozumieli ją doskonale i odpowiedzieli chórem:

— Amen!

Nazajutrz pochód z księciem na czele wyruszył do dnia. Szlachta pruska, którą świetny dwór przywabiał, poczęła zaraz wynosić się do domów.

Za nimi ruszyli do Tylży ci, którzy w Taurogach szukali przed groźbami wojny schronienia, a którym Tylża wydała się teraz bezpieczniejszą. Zostali tylko miecznik, panna Kulwiecówna i Oleńka, nie licząc Ketlinga i starego oficera Brauna, który nad szczupłem prezydjum miał komendę.

Miecznik, po owym uderzeniu obuszkiem, leżał dni kilkanaście, krew od czasu do czasu ustami oddając, że jednak żadna kość nie była złamana, począł zwolna przychodzić do siebie i o ucieczce zamyślać.

Tymczasem nadjechał ciwun z Billewicz z listem od samego Bogusława. Miecznik nie chciał z początku pisma czytać, lecz wkrótce namyślił się inaczej, idąc w tem za radą panienki, która była zdania, że lepiej znać wszystkie zamiary nieprzyjaciela.

„Mnie wielce miłościwy panie Billewicz! C o n c o r d i a r e s p a r v a e c r e s c u n t, d i s c o r d i a m a x i m a e d i l a b u n t u r ! Fata to sprawiły, iżeśmy się nie rozstali tak zgodnie, jakby sobie moje afekta dla wpana i jego wdzięcznej synowicy życzyć mogły, w czem dalibóg nie moja wina, gdyż to wpan wiesz najlepiej, iżeście mnie za moje szczere intencje niewdzięcznością nakarmili. Co się zaś w gniewie czyni, tego wedle amicycyi w rachubę brać nie trzeba, tuszę przeto, że popędliwe me uczynki zechcesz wpan krzywdą, której od was doznałem, zgoła wyekskuzować. Ja wam też z serca odpuszczam, jako mi chrześcijańska miłość nakazuje i do zgody powrócić pragnę. Żeby zaś wpanu dać rękojmię, że urazy w sercu nie zostało, nie osądziłem za rzecz godną odmawiać wpanu tej przysługi, której ode mnie żądałeś i pieniądze wpanowe przyjmuję...“

Tu miecznik przestał czytać, uderzył kułakiem w stół i zakrzyknął:

— Pierwej mnie na marach zobaczy, niż szeląg z mojej szkatuły!...

— Czytaj ojciec dalej — rzekła Oleńka.

Miecznik podniósł znów pismo do oczu.

„...Której gotowizny dobywaniem nie chcąc wpana trudzić, i zdrowia jego w dzisiejszych burzliwych czasach na szwank wystawiać, kazałem sam ją wydobyć i obliczyć...“

W tem miejscu zabrakło panu miecznikowi głosu i list wypadł mu z rąk na podłogę; przez chwilę zdawało się, że mowa została szlachcicowi odjęta, bo palcami tylko chwycił się za czuprynę i targnął ją z całej siły:

— Bij, kto w Boga wierzy! — zakrzyknął wreszcie.

Na to Oleńka:

— Jedna krzywda więcej, kara Boska bliżej, bo miara wkrótce się dopełni...

ROZDZIAŁ V

Rozpacz miecznika była tak wielka, że panna musiała go pocieszać i zapewniać, że tych pieniędzy za przepadłe uważać nie trzeba, bo przecie sam list ów za skrypt starczy, a Radziwiłła, pana tylu dóbr na Litwie i Rusi, jest na czem poszukiwać.

Natomiast, że trudno było przewidzieć, co ich oboje spotkać jeszcze może, zwłaszcza gdyby Bogusław powrócił zwycięsko do Taurogów, poczęli tem gorliwiej myśleć o ucieczce.

Oleńka radziła ją wszelako odłożyć, dopókiby Hassling-Ketling nie wyzdrowiał; bo Braun był to posępny i nieużyty żołdak, pilnujący ślepo rozkazów i niepodobna było go przejednać.

Co do Ketlinga, wiedziała doskonale panienka, że dlatego się zranił, aby przy niej pozostać, zatem wierzyła głęboko, że wszystko dla niej uczynić gotów. Sumienie niepokoiło ją wprawdzie bez ustanku pytaniami, czy ma prawo dla własnego ocalenia poświęcać cudzy los, a może i życie, lecz groźby, które nad nią wisiały w Taurogach, były tak

straszne, że stokroć przewyższały niebezpieczeństwa, na jakie Ketling, z powodu opuszczenia służby, mógł być narażony. Bo przecie Ketling, jako wyborny oficer, wszędy mógł znaleźć służbę i to szlachetniejszą, a z nią razem i potężnych protektorów, jako król, jako pan Sapieha lub pan Czarniecki. I będzie przytem służył dobrej sprawie i znajdzie pole wywdzięczenia się temu krajowi, który go wygnańca przygarnął. Śmierć grozi mu tylko w takim razie, gdyby wpadł w ręce Bogusława, ale przecie Bogusław nie włada jeszcze w całej Rzeczypospolitej.

Panna przestała się wahać i gdy zdrowie młodego oficera polepszyło się już tak znacznie, że mógł służbę odbywać, wezwała go do siebie.

Ketling stanął przed nią blady, wynędzniały, bez kropli krwi w twarzy, ale pełen zawsze czci, uwielbienia i pokory.

Na jego widok łzy zakręciły się w oczach Oleńce, bo przecie była to jedyna życzliwa dusza w Taurogach, a taka przytem biedna i cierpiąca, że gdy Oleńka na powitanie spytała go o zdrowie, młody oficer odrzekł:

— Niestety, pani, wraca, a takby mi było dobrze umrzeć...

— Waćpanu trzeba porzucić tę służbę — odrzekła, patrząc nań ze współczuciem dziewczyna, — bo tak zacnemu sercu trzeba pewności, że zacnej sprawie, zacnemu panu służy.

— Niestety! — powtórzył oficer.

— Kiedy kończy się służba waćpana?

— Za pół roku dopiero.

Oleńka pomilczała chwilę, poczem podniosła na niego swe cudne oczy, które w tej chwili przestały być surowe, i rzekła:

— Słuchaj mnie, panie kawalerze. Będę mówiła jako do brata, jako do serdecznego konfidenta: waćpan możesz i powinieneś się uwolnić.

To rzekłszy, wyznała mu wszystko i zamiar ucieczki i to, że na jego pomoc rachuje. Poczęła mu przedstawiać, że

służbę wszędy może znaleźć, a piękną, jak jego dusza jest piękną. a zaszczytną. jak honor rycerski wymagać może; wreszcie takiemi skończyła słowy:

— Ja waćpanu do śmierci będę wdzięczną. Pod Bożą opiekę chcę się schronić i Bogu w zakonie ślubować, ale gdziekolwiek będziesz, daleko, czy blisko, na wojnie, w pokoju, będę się za waćpana modliła, będę prosiła Boga, by bratu mojemu i dobroczyńcy dał spokój i szczęście, gdy ja, prócz wdzięczności i modlitwy nic mu więcej dać nie mogę...

Tu głos jej zadrżał, a oficer słuchał jej słów, bledniejąc jak chusta, nakoniec klęknął, obie dłonie przyłożył do czoła i głosem do jęku podobnym odrzekł:

— Nie mogę, pani! nie mogę!...

— Waćpan mi odmawiasz? — spytała ze zdumieniem Billewiczówna.

A on, zamiast odpowiedzieć, modlić się począł.

— Boże wielki i miłosierny! — mówił. — Od dziecinnych lat nigdy fałsz nie postał na wargach moich, nigdy nie splamił mnie krzywy uczynek. Wyrostkiem będąc, broniłem tą słabą ręką króla mojego i ojczyzny; za cóż, Panie, karzesz mnie tak często i zsyłasz mękę, do której, sam widzisz, sił mi brakuje!

Tu zwrócił się do Oleńki:

— Pani, ty nie wiesz, co to jest rozkaz dla żołnierza, że w posłuchu nietylko jego obowiązek, ale i jego cześć i honor. Mnie, pani, wiąże przysięga. i więcej, niż przysięga, bo słowo rycerskie, że służby przed terminem nie porzucę i co do niej należy, ślepo spełnię. Jam żołnierz i szlachcic i tak mi dopomóż Bóg, jako nigdy w życiu nie pójdę śladem takich jurgieltników, którzy honor i służbę zdradzają. A nawet na rozkaz, nawet na prośbę twoją, pani, słowa nie złamię, choć w męce to mówię i bólu. Gdybym mając rozkaz nie puszczać nikogo z Taurogów, stał na straży przy bramie i gdybyś wówczas ty sama, pani, przejść ją, wbrew rozkazowi chciała, tedy przeszłabyś, ale po moim trupie. Tyś mnie, pani, nie znała i zawiodłaś się na mnie... Ale zlituj

się, zrozumiej, że ja ci do ucieczki pomagać nie mogę i słuchać nawet o niej nie powinienem, gdyż rozkaz jest wyraźny, gdyż odebrał go Braun i nas pięciu pozostałych tu oficerów. Boże, Boże! gdybym był przewidział taki rozkaz, wolejbym poszedł na tę wyprawę... Ja panią nie przekonam, nie uwierzysz mi, a jednak Bóg widzi, Bóg niech tak mnie sądzi po śmierci, jako prawda, że życie dałbym ci bez wahania... honoru nie mogę, nie mogę!

To rzekłszy, Ketling załamał ręce i umilkł, wyczerpany zupełnie, jeno począł oddychać szybko.

Oleńka nie ochłonęła jeszcze ze zdumienia. Nie miała czasu ni zastanowić się, ni ocenić jak należy tej duszy wyjątkowej w swej szlachetności, czuła tylko, że usuwa się z rąk jej ostatnia deska ratunku, zawodzi ją jedyny sposób wydostania się z nienawistnej niewoli.

Lecz próbowała jeszcze opierać się.

— Panie — rzekła po chwili. — Jestem wnuczką i córką żołnierza; dziad i ojciec mój również honor nad życie cenili, ale właśnie dlatego nie do wszystkich posług daliby się byli ślepo używać...

Ketling wydobył drżącą ręką pismo z kalety, podał je Oleńce i rzekł:

— Sądź pani, czy rozkaz służby nie tyczy?

Oleńka rzuciła okiem na papier i przeczytała co następuje:

„Ponieważ doszło do naszej wiadomości, że urodzony Billewicz, miecznik rosieński, zamierza opuścić skrycie rezydencję naszą w zamiarach nam nieprzyjaznych: mianowicie, aby znajomych, kolligatów, krewnych i klijentów swoich ad rebelionem przeciw jego szwedzkiemu majestatowi i nam excitare, przeto polecamy oficerom, na praesidium w Taurogach zostającym, urodzonego Billewicza wraz z synowicą, jako zakładników i jeńców wojennych strzec i ucieczki ich nie dopuścić, pod utratą honoru i sub poena sądu wojennego...“ etc.

— Rozkaz przyszedł z pierwszego postoju, po wyjeździe księcia — rzekł Ketling, — dlatego jest na piśmie.

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła po chwili milczenia Oleńka. — Stało się!

Ketling czuł, że wypada mu już odejść i nie ruszał się z miejsca. Blade jego wargi poruszały się od czasu do czasu, jak gdyby chciał coś mówić i nie mógł głosu wydobyć.

Dławiło go pragnienie, by paść jej do nóg i żebrać przebaczenia, lecz z drugiej strony czuł, że ona dosyć ma własnego nieszczęścia i znajdował jakowąś dziką rozkosz w tem, że i on cierpi i że będzie cierpiał bez skargi.

Nakoniec skłonił się i wyszedł w milczeniu, ale zaraz w kurytarzu pozrywał bandaże, które miał na świeżej ranie i padł zemdlony, a gdy po upływie godziny straż pałacowa znalazła go leżącego blisko schodów i odniosła do cekhauzu, rozchorował się ciężko i przez dwa tygodnie nie mógł opuścić łoża.

Oleńka po odejściu Ketlinga pozostała czas jakiś jakby odurzona. Spodziewała się prędzej śmierci, aniżeli jego odmowy, dlatego w pierwszej chwili, pomimo całego hartu duszy, zbrakło jej sił, energii, uczuła się słabą. jak zwykła niewiasta, a chociaż nieświadomie powtarzała: „dziej się wola Boża!“ — przecie żal zawodu wziął górę nad rezygnacją i łzy obfite a gorzkie puściły się z jej oczu.

W tej chwili nadszedł miecznik, a spojrzawszy na synowicę, odgadł zaraz, że mu niepomyślną wieść ma zwiastować, więc spytał żywo:

— Dla Boga! co tam znowu?

— Ketling odmawia — odrzekła dziewczyna.

— Wszystko to łotry, szelmy i arcypsy! Jakto? i ten nie chce pomóc?

— Nietylko nie chce on pomóc — odrzekła, skarżąc się, jak małe dziecko, — ale powiada jeszcze, że przeszkodzi, choćby też i polec mu przyszło.

— Czemu! na rany Pańskie! czemu!

— Bo taka już nasza dola! Ketling nie zdrajca, ale

taka już nasza dola, bośmy najniejszczęśliwsi ze wszystkich ludzi!

— Bodaj tych wszystkich heretyków pioruny zatrzasły! — krzyknął miecznik. — Na cnotę nastają, łupią, kradną, więżą... Bodaj wszystko już przepadło! Nie żyć uczciwym ludziom w takich czasach!

Tu począł chodzić śpiesznym krokiem po komnacie i pięściami wygrażać, nakoniec ozwał się, zgrzytnąwszy zębami:

— Wolałem wojewodę wileńskiego, wolę tysiąc razy nawet Kmicica, niż tych uperfumowanych szelmów bez czci i sumienia!

A gdy Oleńka nie odrzekła nic, tylko jeszcze mocniej płakać zaczęła, pan miecznik złagodniał i po chwili tak mówić począł:

— Nie płacz. Kmicic mi do głowy przyszedł jeno dlatego, że tenby nas przynajmniej wyrwać z tej babilońskiej niewoli potrafił. Dałby ci on wszystkim Braunom, Ketlingom, Patersonom i samemu Bogusławowi! Ale zresztą wszyscy zdrajcy jednacy! Nie płacz! Płakaniem nic nie wskórasz, a tu radzić trzeba. Nie chce Ketling pomagać... żeby go skrzywiło!... to się bez niego obejdziem... Męski niby animusz w tobie, a w ciężkim terminie jeno szlochać umiesz... Co powiada Ketling?

— Powiada, że książę kazał nas jako jeńców wojennych strzec, bojąc się, żebyś stryjko partji nie zebrał i do konfederatów nie poszedł.

Pan miecznik wziął się w boki:

— A! a! boi się szelma!... I ma słuszność, bo tak uczynię, jak Bóg w niebie!

— Mając zaś rozkaz, który służby tyczy, Ketling pod czcią musi go spełnić.

— Dobrze!... Obejdziem się bez heretyckiej pomocy!

— Oleńka otarła oczy.

— I stryjko myślisz, że będzie można?

— Myślę, że trzeba, a jak trzeba, to i można, choćbyśmy mieli po powrozach spuszczać się z tych okien.

A panienka zaraz na to:

— Moja wina, żem płakała. Radźmy jaknajprędzej!

Łzy jej całkiem oschły i brwi ściągnęły się znowu od myślenia z dawną stanowczością i energią.

Jakoż pokazało się, że miecznik nie umie rady znaleźć i, że imaginacja panny o wiele w sposoby obfitsza. Lecz ciężko i jej szło, bo to było jasne, że ich tam muszą strzec pilnie.

Postanowili tedy nie prędzej próbować, aż pierwsze wieści od Bogusława przyjdą do Taurogów. W tem całą złożyli nadzieję, spodziewając się kary Boskiej na zdrajcę ojczyzny i bezczestnego człeka. Mógł on przecie polec, mógł obłożnie zachorować, mógł być pobity przez Sapiehę, a wówczas niezawodnie powstałby w całych Taurogach popłoch i nie takby już bacznie bram strzeżono.

— Znam ja pana Sapiehę, — mówił pokrzepiając siebie i Oleńkę, miecznik — wojennik to powolny, ale akuratny i dziw jak zawzięty. Exemplum jego dla majestatu i ojczyzny wierność. Zastawił się, wyprzedał, a taki potęgę zebrał, przy której Bogusławowa jedno nic. Tamto poważny senator, to fircyk, tamto prawy katolik, to heretyk, tamto sama roztropność, to paliwoda! Przy kim może być wiktorja i błogosławieństwo Boże? Ustąpi ta radziwiłłowska noc przed sapieżyńskim dniem, ustąpi! Chybaby kary i sprawiedliwości na tym świecie nie było!... Czekajmy jeno wieści i módlmy się za powodzenie pana sapieżyńskiego oręża.

Poczęli tedy wyczekiwać, ale przeszedł miesiąc, długi, ciężki dla strapionych serc, nim pierwszy goniec przybył, a i to wysłany nie do Taurogów, ale do Steinboka, do Prus królewskich.

Ketling, który od czasu ostatniej rozmowy nie śmiał stanąć przed oczyma Oleńki, przysłał jej zaraz kartę z następującą wiadomością:

„Książę Bogusław zniósł pana Krzysztofa Sapiehę

koło Brańska; kilka chorągwi jazdy i piechoty w pień wyciętych. Idzie na Tykocin, pod którym stoi Horotkiewicz".

Dla Oleńki był to poprostu grom. Wielkość wodza i dzielność rycerska znaczyły dla jej dziewczęcego umysłu jedno i to samo, że zaś widziała Bogusława w Taurogach, pokonywającego z łatwością najdzielniejszych rycerzy, przeto, zwłaszcza po owej wiadomości, wyobraziła go sobie, jako złą, ale niezwyciężoną siłę, której nikt nie sprosta.

Nadzieja, aby Bogusław mógł być pokonany, zgasła w niej zupełnie. Próżno miecznik uspokajał ją i pocieszał tem, że młody książę nie zmierzył się jeszcze ze starym panem Sapiehą, próżno jej zaręczał, że sama godność hetmańska, którą król świeżo pana Sapiehę przyozdobił, musi dać temu ostatniemu stanowczą nad Bogusławem przewagę, nie wierzyła, nie śmiała wierzyć.

— Kto go zwycięży? kto mu sprosta?... odpowiadała ustawicznie.

Dalsze wieści zdawały się potwierdzać jej obawy.

W kilka dni później Ketling znów nadesłał kartkę z doniesieniem o rozbiciu Horotkiewicza i wzięciu Tykocina. „Całe Podlasie (pisał) jest już w ręku księcia, który nie czekając na pana Sapiehę, sam wielkiemi pochodami ciągnie na niego".

— I pan Sapieha zniesion będzie — pomyślała dziewczyna.

Tymczasem nadleciała, niby jaskółka, zwiastunka wiosny, wieść z innych stron. Na te przymorskie brzegi Rzeczypospolitej przyleciała ona późno, ale za to ubrana we wszystkie tęczowe blaski cudownej legendy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, gdy jeszcze święci chodzili po świecie, świadcząc prawdzie i sprawiedliwości.

— Częstochowa! Częstochowa! — powtarzały wszystkie usta.

Z serc lód odtajał i zakwitnęły jako kwiaty w przygrzanej wiosennem słońcem ziemi. „Częstochowa się obroniła, widziano Ją samą, Królowę polską, okrywającą mury

płaszczem niebieskim; granaty zabójcze przypadały pod Jej święte stopy, łasząc się jako psy domowe; Szwedom schły ręce, muszkiety przyrastały do twarzy, aż odstąpili ze wstydem i strachem".

Ludzie sobie obcy, gdy usłyszeli tę wieść, padali sobie w objęcia, płacząc z radości. Inni narzekali, że przyszła tak późno.

— A my tu w płaczu, mówili — a my w bólu, my w męce tyle czasu żyli, gdy nam już weselić się było trzeba!...

Zaczem poczęło huczeć w całej Rzeczypospolitej i roztaczały się te groźne grzmoty od Pontu Euxynu do Bałtyku, aż fale obu mórz drżały; to lud wierny, lud zbożny powstawał jak burza w obronie swej Królowej. We wszystkie serca wstąpiła otucha. wszystkie źrenice zapałały ogniem; to, co się wydawało przedtem strasznem i niezwalczonem, zmalało w oczach.

Kto go pokona? — mówił do dziewczyny pan miecznik — kto mu sprosta? Teraz wiesz kto? Panna Najświętsza!

Oboje z Oleńką krzyżem po całych dniach leżeli, dziękując Bogu za miłosierdzie nad Rzecząpospolitą; zarazem przestali wątpić i o własnem ocaleniu.

O Bogusławie zaś ucichło przez długi czas zupełnie, jakby on sam wraz z całą swą siłą w wodę wpadł. Oficerowie, pozostali w Taurogach, poczęli się niepokoić i przyszłość swą niepewną oglądać. Woleliby wieść o klęsce, niż tę głuchą ciszę. Ale żadna wieść nie mogła nadejść, bo właśnie to wówczas straszliwy Babinicz wysforował się z Tatary przed księcia i wszystkich gońców przejmował.

ROZDZIAŁ VI

Pewnego jednak dnia przybyła do Taurogów z konwojem kilkudziesięciu żołnierzy panna Anna Borzobohata Krasieńska.

Braun przyjął ją bardzo uprzejmie, bo musiał, gdyż mu tak nakazywał list Sakowicza, przez samego Bogusława podpisany, a polecający wszelkie dla respektowej panienki księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej mieć względy. Panienka też była pełna fantazji; od pierwszej chwili przyjazdu poczęła w Braunie świdrować oczkami, aż posępny Niemiec rozruszał się, jakoby go kto ogniem przypiekł; poczęła także komenderować innymi oficerami, słowem rozporządzać się w Taurogach, jak we własnym domu. Tego samego dnia wieczorem poznała się z Oleńką, która patrzyła wprawdzie na nią z nieufnością, lecz przyjmowała ją grzecznie, w nadziei, iż nowin od niej zaczerpnie.

Jakoż Anusia miała ich poddostatkiem. Rozmowa poczęła się od Częstochowy, bo tych wieści najchciwsi byli taurożańscy jeńcy. Miecznik szczególnie pilnie osłaniał uszy rękoma, by żadnego słowa nie uronić, przerywając tylko od czasu do czasu opowiadanie Anusi okrzykami:

— Chwała na wysokości Panu!

— Dziwno mi to, — rzekła wreszcie przyjezdna panienka, — że waćpaństwa dopiero niedawno wiadomość o tych cudach Najświętszej Panienki doszła, bo to już dawna historja i ja byłam jeszcze wtedy w Zamościu i pan Babinicz jeszcze po mnie nie przyjechał, hej! na ileżto tygodni było przedtem... Potem już zaczęli Szwedów wszędy bić i w Wielkopolsce i u nas, a najgorzej pan Czarniecki, przed którego imieniem samem uciekają.

— A! pan Czarniecki! — krzyknął, zacierając ręce miecznik — ten im da pieprzu! Słyszałem jeszcze o nim z Ukrainy, jako o wielkim żołnierzu.

Anusia tylko rączkami strzepnęła sukienkę i tak sobie, jakby o najmniejszą rzecz szło, zawołała z niechcenia:

— Oho! już po Szwedach!

Stary zaś pan Tomasz nie mógł wytrzymać, więc porwawszy ją za rączkę, całkiem pogrążył oną malutką w swych ogromnych wąsach i począł całować zawzięcie, wreszcie zakrzyknął:

— A moje śliczności! Patoka płynie z ust waćpanny, jak mi Bóg miły!... Nie może inaczej być, jeno anioł przyjechał do Taurogów!

Anusia zaraz poczęła kręcić palcami kończyki warkoczyków, obowiązane różowemi wstążeczkami i strzygąc spod czoła oczyma, odrzekła:

— Ej, daleko mnie do aniołów! Ale już i hetmani koronni poczęli Szwedów bić i wszystkie wojsko kwarciane z nimi i wszystkie rycerstwo i uczynili konfederację w Tyszowcach i król do niej przystąpił i wydali uniwersały i nawet chłopstwo Szwedów bije... i Najświętsza Panienka błogosławi...

Tak zaś mówiła, jakoby ptak szczebiotał, ale od tego szczebiotania w mieczniku serce zmiękło zupełnie, więc choć niektóre z tych nowin były już mu wiadome, ryknął wreszcie z radości jak żubr; po twarzy Oleńki poczęły także płynąć łzy ciche a duże.

Widząc to Anusia, a mając od natury serce dobre, skoczyła zaraz ku niej, a objąwszy ją rękoma za szyję, poczęła mówić szybko:

— Nie płacz waćpanna... mnie waćpanny żal i nie mogę na to patrzeć... Czego płaczesz?...

Tyle było szczerości w jej głosie, że nieufność Oleńki znikła zaraz, ale zato rozpłakała się biedna dziewczyna jeszcze serdeczniej.

— Waćpanna taka śliczna... — pocieszała ją Anusia — czego płaczesz?

— Od radości, — odrzekła na to Oleńka, — ale i ze strapienia, bo my tu w ciężkiej niewoli jesteśmy, dnia niepewni, ani godziny...

— Jakże to? U księcia Bogusława?

— U tego zdrajcy! u tego heretyka! — huknął pan miecznik.

Na to Anusia:

— To samo i mnie się przygodziło, a dlatego nie płaczę.

Nie neguję waćpanu dobrodziejowi, że książę zdrajca i heretyk, ale dworny kawaler i płeć naszą respektujący.

— Bodaj go tak samo w piekle respektowali! — odparł miecznik. — Panna go jeszcze nie znasz, bo na waćpannę tak nie nastawał, jako na tę dziewczynę. Arcy to szelma jest, a ów Sakowicz drugi! Dałby Bóg, żeby pan hetman Sapieha obu pogrążył!

— Że pogrąży, to pogrąży... Książę Bogusław chory okrutnie i potęgę ma niewielką. Prawda, że nagle nastąpił i kilka chorągwi zniósł i Tykocin zagarnął i mnie, ale nie jemu mierzyć się z pana sapieżyńską siłą. Możecie mi waćpaństwo wierzyć, bom obie potęgi widziała... Przy panu Sapieże najwięksi kawalerowie się znajdują, którzy sobie z księciem Bogusławem wnet poradzą.

— A widzisz! nie mówiłem ci? — rzekł miecznik, zwracając się do Oleńki.

— Księcia Bogusława znam zdawna, — mówiła dalej Anusia — bo to obojga księstwa Wiśniowieckich i państwa Zamoyskich powinowaty; przyjeżdżał on raz do nas do Łubniów, wtedy, kiedy sam książę Jeremi na Tatarów w Dzikie Pola chodził. Dlatego i teraz mnie szanować kazał, bo pamiętał, iżem tam domową była i księżnej pani najbliższą. Ot, taka, taka jeszcze byłam malutka; nie to, co dziś!... Mój Boże! ktoby się to wtedy spodział, że z niego zdrajca będzie. Ale nie frasujcie się i tak mili państwo, bo albo on już nie wróci, albo też my się jako stąd wydostaniemy.

— Już my tego próbowali — odrzekła Oleńka.

— I nie udało się wam?

— Jak się miało udać — rzekł miecznik. — Spuściliśmy się ze sekretu przed jednym oficyjerem, o którym rozumieliśmy, że nam sprzyja, a pokazało się, że on gotów przeszkodzić, nie pomóc. Najstarszy nad nimi jest tu Braun, tego zaś i sam djabeł nie przejedna.

Anusia spuściła oczki.

— Możeby mnie się udało. Trzeba tylko, żeby pan Sapieha tu przyszedł, aby było się do kogo schronić.

— Daj go Boże jak najprędzej — odpowiedział pan Tomasz, — bo też i między jego ludźmi siła mamy krewnych, znajomych i przyjaciół... Ba! tamże przecie są i dawni towarzysze spod wielkiego Jeremiego, panowie Wołodyjowski, Skrzetuski i Zagłoba.

— Znam ich — odrzekła ze zdziwieniem Anusia, — ale ich u pana Sapiehy niemasz. Ej, żeby to byli! a zwłaszcza pan Wołodyjowski (bo pan Skrzetuski żonaty), toby mnie tu nie było, gdyż pan Wołodyjowski nie dałby się ogarnąć, jako pan Kotczyc.

— Wielki to kawaler! — zawołał miecznik.

— Chluba całego wojska! — dodała Oleńka.

— Dla Boga! czy tylko nie polegli, żeś ich waćpanna nie widziała?

— Ej, nie! — odrzekła Anusia — przecieby głośno było o śmierci takich rycerzy, a nie mówiono mi nic... Waćpaństwo ich nie znacie... Nie dadzą się oni nigdy... chyba kula może ich zabić, bo żaden człowiek im nie poradzi, ani panu Skrzetuskiemu, ani panu Zagłobie, ani panu Michałowi. Chociaż pan Michał mały, ale pamiętam, co książę Jeremi o nim powiadał, że gdyby los całej Rzeczypospolitej zawisł od bitwy jednego z jednym, toby pana Michała do niej wybrał. Onże Bohuna usiekł... O nie! pan Michał zawsze sobie da rady.

Miecznik kontent, że ma z kim gawędzić, począł chodzić szerokiemi krokami po komnacie zapytując:

— Proszę, proszę! To waćpanna znasz tak dobrze pana Wołodyjowskiego?

— Bośmy tyle lat razem razem byli.

— Proszę!... To pewno się i bez afektów nie obeszło?

— Ja temu nie winna — rzekła Anusia, przybierając skromną postawę, — ale do tej pory pewnie i pan Michał się ożenił.

— A właśnie, że się nie ożenił.

— Choćby się i ożenił... toż mi wszystko jedno!...

— Daj wam Boże, abyście się zeszli... Ale to mnie

martwi, co mi waćpanna mówisz, że ich u pana hetmana niemasz, bo z takimi żołnierzami wiktorje łatwiejsze.

— Jest tam ktoś, co za nich wszystkich stanie.

— Któż to taki?

— Pan Babinicz z Witebskiego... Waćpaństwo o nim nie słyszeli?

— Nic, co mi i dziwno.

Anusia poczęła opowiadać historję swego wyjazdu z Zamościa i wszystko, co się jej w drodze przygodziło. Pan Babinicz zaś wyrósł w jej opowiadaniu na tak wielkiego bohatera, że miecznik w głowę zachodził, ktoby to był taki.

Toż ja znam całą Litwę — mówił. — Są tu wprawdzie domy podobnie się nazywające, jak: Babonaubków, Babiłłów, Babinowskich, Babińskich i Babskich, ale o Babiniczach nie słyszałem... i mniemam, że to musi być nazwisko przybrane, bo tak wielu czyni z tych, którzy są w partjach, ażeby zaś nieprzyjaciel nie mścił się na substancji i rodzinach. Hm! Babinicz!... Ognisty to jakiś kawaler, skoro i pana Zamoyskiego umiał tak splantować.

— Oj! jak ognisty! Ach! — zawołała Anusia.

Miecznik wpadł w dobry humor.

— Także to? — spytał, stając przed Anusią i biorąc się w boki.

— Bo waćpan dobrodziej może sobie Bóg wie co suponujesz?

— Boże uchowaj, nic nie suponuję!

— A pan Babinicz, ledwośmy z Zamościa wyjechali, zaraz mi powiedział, że jego serce kto inny w dzierżawie trzyma... i chociaż mu tenuty nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myśli...

— I waćpanna temu wierzysz?

— Jużci, że wierzę — odparła z wielką żywością Anusia, — musi on być po uszy zakochany, skoro przez tyle czasu... skoro... skoro...

— Oj, jakoś nieskoro! — odrzekł, śmiejąc się pan miecznik.

— A ja mówię, że skoro — odrzekła, tupiąc nóżką, — bo skoro o nim usłyszymy...

— Daj to Bóg!

— I powiem waćpanu dlaczego... Oto, ile razy pan Babinicz o księciu Bogusławie wspomniał, to mu aż twarz bielała, a zębami tak skrzypiał, jak drzwiami.

— To już będzie nasz przyjaciel!... odrzekł pan miecznik.

— Pewnie!... I do niego uciekniemy, byle się pokazał!

— Bylem się stąd wyrwał, będę miał własną partję i waćpanna zobaczysz, że mi także wojna nie pierwszyzna i że ta stara ręka jeszcze się na coś przyda.

— To idź waćpan pod komendę pana Babinicza

— Waćpanna masz większą ochotę iść pod tę komendę...

Długo jeszcze przekomarzali się w ten sposób i coraz weselej, tak, że i Oleńka, zapomniawszy o swych zgryzotach, rozweseliła się znacznie, a Anusia poczęła wkońcu parskać na miecznika, jak kotka. Że zaś była wypoczęta, bo na ostatnim noclegu w niedalekich Rosieniach wyspała się dobrze, odeszła więc dopiero późną nocą.

— Złoto nie dziewka! — rzekł po jej odejściu pan miecznik.

— Szczere jakoweś serce... i myślę, że prędko przyjdziemy do konfidencji — odpowiedziała mu Oleńka.

— A postawiłaś jej oto w początku kozła na czole?

— Bom mniemała, że to ktoś nasłany. Czy ja wiem wreszcie? Wszystkiego się tu boję!

— Ona nasłana?... chyba przez dobre duchy!... A wykrętne to licho, jak łasica... Żebym tak był młodszy, nie wiem do czegoby przyszło, choć i tak człek jeszcze jary...

Oleńka rozweseliła się zupełnie i wsparłszy rączki na kolanach, przekręciła na bok główkę, naśladując Anusię i patrząc zukosa na miecznika.

— Tak to, stryjaszku! Stryjnę mi chcecie z tej mąki wypiec?

— No cicho! no! — odrzekł miecznik.

Ale uśmiechnął się i począł całą garścią wąsa w gór
podkręcać.

Po chwili zaś dodał:

— Przecie i takową sensatkę, jak ty, rozruszała. Pewie
jestem, że się okrutna amicycja między wami pocznie.

Jakoż nie mylił się pan Tomasz, bo w niedługim
czasie zawiązała się przyjaźń między dziewczętami bardz
żywa i rosła coraz bardziej, może dlatego właśnie, że obie
stanowiły zupełne względem siebie przeciwieństwo. Jedna
miała powagę w duszy, głębokość uczuć, niezłomną wol
i rozum; druga, przy dobrem sercu i czystości myśli, był
dzierlatką. Jedna ze swej cichej twarzy, jasnych warkoczów
z niewysłowionego spokoju i uroku wysmukłej postawy, d
starożytnej Psyche była podobną; druga, istna czarnuszka
przypominała raczej chochlę, która nocami na wertepy ludz
wyprowadza i z frasunku ich się śmieje. Oficerów pozosta
łych w Taurogach, którzy na obie codzień patrzyli, brał
ochota całować Billewiczówny nogi, Anusi usta.

Ketling, mający duszę szkockiego górala, zatem melan
cholii pełną, czcił i ubóstwiał Olenkę, a od pierwszego wej
rzenia począł nie znosić Anusi, która zresztą wypłacała m
się wzajemnością, wetując poniesione straty na Braun
i wszystkich pozostałych, nie wyłączając samego pana miec
nika rosieńskiego.

Oleńka w krótkim czasie uzyskała wielką przewagę na
swą przyjaciółką, która z całą szczerością serca mawiała d
pana Tomasza:

— Ona w dwóch słowach więcej powie, niż ja przez cał
dzień wytrajkoczę.

Z jednej wszelako przywary nie mogła poważna pann
wyleczyć swej pustej przyjaciółki, mianowicie z zalotnośc
Bo niech jeno Anusia usłyszy brzęk ostróg na kurytarzu
wnet udaje, że czegoś zapomniała, że chce obaczyć, czy
nowiny o panu Sapieże nie przybyły, wpada na korytarz
leci wichrem i wpadłszy na oficera, wykrzykuje:

— Ach! jak mnie pan przestraszył!

Poczem wszczyna się rozmowa przeplatana kręceniem fartuszka, spoglądaniem spod czoła i rozmaitemi innemi minkami, za pomocą których najtwardsze serce męskie snadnie pogrążone być może.

I tem bardziej brała jej za złe Oleńka owo bałamuctwo, że Anusia po kilku dniach znajomości przyznała się jej do cichego afektu dla pana Babinicza. Nieraz z sobą o tem rozmawiały.

— Inni jako dziady żebrali — mówiła zatem Anusia, — a ten smok wolał na swoich Tatarów, niż na mnie spoglądać, a zaś nie mówił inaczej, jak rozkazując: „Waćpanna wysiądź! waćpanna jedz, waćpanna pij!“ Żeby przytem był grubian, ale nie był; żeby nie był troskliwy, ale był! W Krasnymstawie zaraz powiedziałem sobie: „Nie patrzysz na mnie — czekaj!...“ A to już w Łęcznej mnie samą tak rozebrało, że strach. Tu powiem ci, żem mu w te siwe oczy jeno patrzała, a gdy się roześmiał, to już i mnie radość brała, jakobym owo niewolnicą jaką była...

Oleńka zwiesiła głowę, bo i jej siwe oczy przyszły na pamięć. I tamtenby tak samo mówił i tamten komendę wiecznie miał na ustach, dzielność w obliczu, jeno sumienia nie miał, ni bojaźni Bożej.

A Anusia idąc za własną myślą, mówiła dalej:

— Kiedy z buzdyganem na koniu po polach latał, to myślałam, że orzeł, albo hetman jaki. Tatarowie się go gorzej ognia bali. Gdzie przyjechał, posłuch musiał być, a jak się bitwa zdarzyła, to ognie na niego z ochoty na krew biły. Siła ja godnych kawalerów w Łubniach widziałam, ale takiego, żeby mnie strach przed nim brał, nigdym nie widziała.

— Jeżeli ci go Pan Bóg przeznaczył, to go dostaniesz, żeby zaś ciebie nie lubił, temu się wierzyć nie chce...

— Lubić, to on mnie lubił... troszeczkę... ale inną więcej. Sam mi nieraz mówił: Szczęście to waćpanny, że ni zapomnieć, ni odkochać się nie mogę, bo inaczej lepiejby wilkowi kozę powierzyć, aniżeli mnie taką dziewczynę.

— Cóżeś mu na to?

— Mówiłam mu tak: Skądże waćpan wiesz, żebym mu była wzajemną? A on odpowiadał: „Jabym nie pytał!“ I rób tu co chcesz z takim!... Głupia tamta, która go nie pokochała i samą zatwardziałość musi mieć w sercu. Pytałam go, jak jej imię, nie chciał powiedzieć. „Lepiej — mówił — tego nie tykać, bo to bolączka, a druga (powiada) bolączka to Radziwiłły... zdrajcy!“ I zaraz tak straszną twarz czynił, że byłabym wolała do mysiej jamy się schować. Poprostu bałam się go!... Ale co tam! nie dla mnie on, nie dla mnie!

— Proś o niego świętego Mikołaja; wiem od ciotki, że najlepszy to w takich terminach protektor. Bacz jeno, byś go nie obraziła, innych bałamucąc.

— Już nigdy nie będę! jeno tyle! odrobinkę!

Tu Anusia pokazywała na palcu, ile sobie pozwoli i małą sobie wyznaczała porcję, co najwięcej na pół paznogcia, by świętego Mikołaja nie obrazić.

— Ja nie przez pustą swawolę to czynię — tłómaczyła się panu miecznikowi, który także począł jej bałamuctwo do serca brać, — ale muszę, bo jeżeli nam ci oficyjerowie nie pomogą, to się nigdy stąd nie wydostaniem.

— Ba! Braun nigdy nie dopuści.

— Braun pogrążon! — odrzekła cienkim głosikiem i spuszczając oczy.

— A Fitz-Gregory?

— Pogrążon! odrzekła jeszcze cieniej.

— A Ottenhagen?

— Pogrążon!

— A von Irben?

— Pogrążon!

— Niechże waćpannę las ogarnie!... To widzę z jednym Ketlingiem tylko nie umiałaś sobie dać rady...

— Nie cierpię go! Ale kto inny da sobie z nim rady. Zresztą obejdzie się bez jego pozwolenia.

— I waćpanna myślisz, że jak zechcemy uciekać, to

oni nie przeszkodzą?

— Pójdą z nami!... — odrzekła, wyciągając główkę i mrużąc oczy Anusia.

— Dla Boga! to czemu tu siedzimy? Dziśbym chciał być daleko!

Ale z narady, która zaraz nastąpiła, wypadło, że należy czekać, póki się losy Bogusławowe nie rozstrzygną i póki pan podskarbi, albo pan Sapieha, nie zbliżą się w okolice Żmudzi. Inaczej groziła sroga zguba nawet od swoich. Towarzystwo cudzoziemskich oficerów nietylko nie stanowiłoby obrony, ale powiększało jeszcze niebezpieczeństwo, lud bowiem prosty tak strasznie był na cudzoziemców zawzięty, że każdego, kto polskich szat nie nosił, mordował bez miłosierdzia. Polscy bowiem dygnitarze, noszący obce suknie, nie mówiąc o dyplomatach austrjackich i francuskich, nie mogli podróżować inaczej, chyba pod osłoną potężnych oddziałów wojskowych.

— Waćpaństwo mi wierzcie, bom ja przejechała cały kraj — mówiła Anusia — w pierwszej lepszej wsi, w pierwszym lepszym lesie, grasanci wymordują nas, nim spytają ktośmy tacy. Nie można inaczej uciekać, jeno do wojsk.

— Ba, będę miał własną partję.

— Nim ją waćpan zbierzesz, nim do znajomej wsi dojedziesz, szyję stracisz.

Wieści o księciu Bogusławie powinny wkrótce nadejść.

— Panu Braunowi kazałam, by zaraz mi wszystko donosił.

Braun jednak przez długi czas nic jej nie donosił.

Ketling natomiast począł odwiedzać Oleńkę, bo pierwsza, spotkawszy go pewnego dnia, wyciągnęła doń rękę. Młody oficer źle wróżył z tej głuchej ciszy. Wedle niego, książę ze względu na elektora i Szwedów, nie zamilczałby o najmniejszem powodzeniu i raczejby je przesadzał, aniżeli milczeniem znaczenie rzeczywistych przewag osłabiał.

— Nie przypuszczam, żeby miał być już zniesiony ze

szczętem — mówił młody oficer, — ale pewnie znajduje się w ciężkiem położeniu, z którego wyjścia znaleźć trudno.

— Wszystkie wieści przychodzą tu tak późno — odrzekła Oleńka, — a najlepszy dowód na Częstochowie, o której cudownej obronie dowiedzieliśmy się szczegółów dopiero od panny Borzobohatej.

— Ja, pani, wiedziałem już o tem dawniej, ale nie rozumiejąc, jako cudzoziemiec, waloru, który dla Polaków ma to miejsce, nawet nie wspominałem pani o tem. Bo, że się w tak wielkiej wojnie jakowyś zameczek na czas obroni i kilka szturmów odeprze, to się zawsze zdarza i zwykle nie przywiązuje się do tego wagi.

— A przecie byłaby to dla mnie najmilsza nowina.

— Widzę istotnie, że źle uczyniłem, bo z tego, co jak teraz słyszę, po owej obronie zaszło, miarkuję, że to rzecz ważna, która na całą wojnę wpłynąć może. Wszelako, wracając do podlaskiej księcia ekspedycji, to inna sprawa. Częstochowa daleko, Podlasie bliżej. A gdy księciu powodziło się początkowo, pamiętasz pani, jak prędko przychodziły nowiny... Wierzaj mi pani: jestem młodym człowiekiem, ale od czternastego roku życia żołnierzem i doświadczenie mi mówi, że owa cisza źle wróży.

— Raczej dobrze — odrzekła panna.

Na to Ketling:

— Niech będzie dobrze!... Za pół roku kończy się moja służba! ... Za pół roku rozwiązuje się moja przysięga!...

W kilku dni po tej rozmowie nowiny nareszcie nadeszły.

Przywiózł je pan Bics herbu Kornia, zwany na dworze Bogusławowym Cornutusem. Był to szlachcic polski, ale zcudzoziemczały zupełnie, bo od pacholęcych niemal lat w wojskach zagranicznych służąc, prawie po polsku zapomniał, a przynajmniej mówił, jak Niemiec. Duszę miał także zcudzoziemczałą, dlatego wielce do osoby księcia był przywiązany. Jechał on z ważną misją do Królewca, w Taurogach zaś zatrzymał się tylko dla wypoczynku.

Braun z Ketlingiem przyprowadzili go zaraz do Oleńki i Anusi, które obecnie mieszkały już i sypiały razem.

Braun stanął frontem przed Anusią, poczem zwrócił się do pana Biesa i rzekł:

— To jest krewna pana Zamoyskiego, starosty kałuskiego, zatem i księcia pana, dla której kazał wszelkie mieć atencje, a która życzy sobie nowiny z ust naocznego świadka posłyszeć.

Pan Bies skolei wyprostował się jak po służbie i czekał pytania.

Anusia nie zaprzeczała pokrewieństwa z Bogusławem, bo bawiły ją hołdy wojskowych, więc skinęła ręką na pana Biesa, by usiadł, co gdy uczynił, spytała:

— Gdzie książę obecnie się znajduje?

— Książę cofa się ku Sokółce, daj Boże szczęśliwie! — odrzekł oficer.

— Mów waćpan szczerą prawdę, jak mu idzie?

— Powiem szczerą prawdę — odrzekł oficer — i nic nie zataję, mniemając, że jej dostojność znajdziesz w duszy swej fundament do wysłuchania nowin mniej pomyślnych.

— Znajdę — odrzekła Anusia, stukając pod suknią korkiem o korek z ukontentowania, że ją zwą jej dostojnością i że nowiny są „mniej pomyślne.“

— Z początku wszystko nam szło dobrze — mówił pan Bies. — Starliśmy po drodze kilka kup rebelizantów, rozbiliśmy pana Krzysztofa Sapiehę i wycięliśmy dwie chorągwie jazdy oraz regiment piechoty dobrej, nikogo, nie żywiąc... Zaczem znieśliśmy pana Horotkiewicza, iż sam ledwie uszedł, a inni powiadają, że zabit... Zaczem zajęliśmy ruiny tykocińskie...

— To już wszystko wiemy, powiadaj prędko waćpan niepomyślne nowiny — przerwała nagle Anusia.

— Racz tylko pani wysłuchać ich spokojnie. Doszliśmy do Drohiczyna i tam naraz odwinęła się karta... Mieliśmy wieść, że pan Sapieha jeszcze daleko; tymczasem dwa nasze podjazdy jakoby w ziemię wpadły. Nie wrócił ni świadek

klęski. Wtem pokazało się, że jakieś wojska idą w przodku przed nami. Wielka stąd powstała konfuzja. Książę pan począł myśleć, że wszystkie poprzednie relacje były fałszywe i że pan Sapieha nietylko nastąpił, ale i drogę przeciął. Poczęliśmy się tedy cofać, bo w ten sposób można było przydybać nieprzyjaciela i do walnej bitwy, której koniecznie chciał książę, go zmusić... Ale nieprzyjaciel nie dawał pola, jeno ciągle napadał i napadał. Poszły znów podjazdy i wróciły poszarpane. Odtąd poczęło nam wszystko w ręku topnieć, nie mieliśmy spokoju we dnie, ni w nocy. Drogi nam psuto, groble przecinano, przejmowano wiwendę. Poczęły chodzić słuchy, że sam pan Czarniecki nas gnębi; żołnierz nie jadł, nie spał, duch upadł; w samym obozie ginęli ludzie, jakoby ich ziemia pożerała. W Białymstoku nieprzyjaciel zachwycił znów cały podjazd, kredensy i karoce książęce i działa. Nigdy nic podobnego nie widziałem. Nie widziano też tego w poprzednich wojnach. Książę wpadł w alterację. Chciał jednej walnej bitwy, a musiał staczać codzień po dziesięć mniejszych... i przegrywać. Ład rozprzęgał się. A cóż dopiero wyrazić zdoła naszą konfuzję i strach, gdyśmy się dowiedzieli, że sam pan Sapieha jeszcze nie nastąpił, i że to tylko potężny podjazd przedostał się przed nas i tyle niewypowiedzianych klęsk nam zadał... W podjeździe tym były wojska tatarskie...

Dalsze słowa oficera przerwał pisk Anusi, która, rzuciwszy się nagle Oleńce na szyję, zakrzyknęła:

— Pan Babinicz!

Oficer zdumiał się, usłyszawszy nazwisko, ale sądził, że to przestrach i nienawiść wyrwały dostojnej pannie z piersi ten okrzyk, więc dopiero po chwili tak mówić począł:

— Komu Bóg dał wielkość, dał mu i siłę do zniesienia ciężkich terminów, więc racz się pani uspokoić! Tak istotnie zowie się ten piekielnik, który los całej wyprawy podkopał i nieobliczonych jeszcze szkód stał się przyczyną. Nazwisko jego, które jej dostojność z taką zdumiewającą bystrością

odgadłaś, powtarzają teraz wszystkie usta z przerażeniem i wściekłością w naszym obozie...

— Tego pana Babinicza widziałam w Zamościu — odrzekła prędko Anusia — i gdybym była odgadła...

Tu umilkła i nikt nie dowiedział się, coby w takim razie zaszło?

Oficer, po chwili milczenia, tak znowu mówić począł:

— Nastały odwilże i ciepła, wbrew, można rzec, przyrodzonemu natury porządkowi, bo mieliśmy wiadomość, iż na południu Rzeczypospolitej zima trzyma się jeszcze tęga, a my zasie brodziliśmy w roztopach wiosennych, które naszą ciężką jazdę do ziemi przykuły. On zaś, mając ludzi lekkich, tem bardziej dojeżdżał. Co krok roniliśmy wozy i działa, tak, że wkońcu komunikiem iść przyszło. Mieszkaniec okoliczny w ślepej zaciekłości swej jawnie sprzyjał napastnikom... Będzie, co Bóg zdarzy, ale w desperackim stanie zostawiłem cały obóz i samego księcia pana, którego w dodatku febra złośliwa nie opuszcza i po całych dniach sił pozbawia. Bitwa jeneralna wszakże nastąpi wkrótce, ale jak się to obróci, Bóg wie... i pokieruje... Cudów należy się spodziewać.

— Gdzieś waćpan zostawił księcia?

— Na dzień drogi od Sokółki; książę ma zamiar okopać się w Suchowoli lub tamtejszym Janowie i bitwę przyjąć. Pan Sapieha jest o dwa dni drogi. Gdym wyjeżdżał, mieliśmy trochę wolniejszego oddechu, bo od schwytanego języka dowiedzieliśmy się, że sam Babinicz odjechał do głównego obozu, bez niego zaś Tatarowie nie śmieją tak następować, kontentując się szarpaniem podjazdów. Książę, który jest wódz niezrównany, wszystkie nadzieje na walnej bitwie gruntuje, ale to gdy zdrów, a gdy go febra chwyci, musi inaczej myśleć, czego najlepszy dowód w tem, iż mnie wysłał do Prus.

— Po co tam waćpan jedziesz?

— Albo książę bitwę wygra, albo przegra. Jeżeli przegra, całe Prusy elektorskie pozostaną bez obrony i snadnie może się zdarzyć, że pan Sapieha przejdzie granice, aby

elektora do decyzji skłonić... Owóż (mówię to, gdy tajemnicy niema żadnej) jadę ostrzec, by jakowąś obronę tamtym prowincjom obmyślono, bo nieproszeni goście mogą w zbyt licznej kompanii nadciągnąć. Elektora to sprawa i Szwedów, z którymi książę pan jest w przymierzu i od których również ma prawo ratunku wyglądać.

Oficer skończył.

Anusia zarzuciła go jeszcze mnóstwem pytań, z trudnością utrzymując należytą powagę, zato, gdy wyszedł, dała sobie folgę zupełną, poczęła rękoma po jubce uderzać, na korkach się jak fryga okręcać, Oleńkę po oczach całować, pana miecznika za wyloty ciągnąć i wołać:

— A co? a co mówiłam? Kto zgnębił księcia Bogusława? może pan Sapieha?... figę pan Sapieha! Kto Szwedów tak samo zgnębi? kto zdrajców wypleni? kto największy kawaler, największy rycerz? pan Andrzej! pan Andrzej!...

— Jaki pan Andrzej?... — spytała nagle, blednąc, Oleńka.

— To ci nie mówiłam, że jemu Andrzej na imię? Sam mi to powiadał. Pan Babinicz! pan Babinicz! Niech żyje pan Babinicz!... Już i pan Wołodyjowski lepiejby nie potrafił!... Co tobie, Oleńko?

Billewiczówna otrząsnęła się, jakby pragnąc zrzucić z siebie brzemię ciężkich myśli.

— Nic! Myślałam, że to imię sami zdrajcy noszą. Bo był ktoś, który króla podejmował się żywego lub umarłego Szwedom, albo księciu Bogusławowi sprzedać i na imię miał także... Andrzej.

— Niech go Bóg potępi! — huknął miecznik. — Co tam zdrajców przed nocą wspominać. Radujmy się lepiej, gdy jest czego!

— Niech tylko tu pan Babinicz nadciągnie! — dodała Anusia. — Otóż tak! Będę, będę, umyślnie będę jeszcze bardziej Brauna bałamuciła, by całe prezydjum pobuntował i z ludźmi, z końmi i z nami razem, do pana Babinicza przeszedł.

— Uczyń to waćpanna, uczyń! — zawołał rozochocony miecznik.

— A później figa tym wszystkim Niemcom... Może też on o tej niegodnej zapomni i mnie po... ko...

Tu znowu pisnęła cieniuteczko, zakryła oczy rękoma, nagle gniewna myśl musiała jej przyjść do głowy, b uderzyła piąstką w piąstkę i rzekła:

— Jak nie, to za pana Wołodyjowskiego pójdę!

ROZDZIAŁ VII.

We dwa tygodnie później zawrzało w całych Taurogach. Pewnego wieczora nadciągnęły bezładne kupy wojsk Bogusławowych, po trzydzieści lub czterdzieści koni, nędzne, obdarte, do mar podobniejsze, niż do ludzi i przyniosły wieść o klęsce Bogusławowej pod Janowem. Stracono w niej wszystko: armię, armaty, konie, tabór. Sześć tysięcy najświetniejszego ludu wyszło z księciem na tę wyprawę, wróciło zaś ledwo czterystu rajtarów, których sam książę wyprowadził z pogromu.

Z Polaków nie wróciła, prócz Sakowicza, jedna żywa dusza, wszyscy bowiem, którzy nie polegli w boju, których nie poznosił na podjazdach straszny Babinicz, przeszli do pana Sapiehy. Wielu także cudzoziemskich oficerów wolało dobrowolnie stanąć przy rydwanie zwycięzcy. Słowem, nigdy jeszcze żaden z Radziwiłłów nie powracał z wojennej wyprawy bardziej sterany, zniszczony i pobity.

A jak poprzednio dworackie pochlebstwo nie znało miary w wynoszeniu Bogusława, jako wodza, tak teraz wszystkie usta brzmiały nieustającą skargą przeciw niedołężnemu prowadzeniu wojny; w resztkach żołnierzy trwało nieustające wzburzenie, które w ostatnich dniach odwrotu sprowadziło zupełny bezład i doszło do tego stopnia, że książę osądził za rzecz roztropniejszą pozostać nieco w tyle.

Obaj z Sakowiczem zatrzymali się w Rosieniach.

Hassling, dowiedziawszy się o tem od żołnierzy, poszedł natychmiast z nowiną do Oleńki.

— Główna rzecz, — rzekła mu, wysłuchawszy relacji — czy pan Sapieha i ów Babinicz ścigają księcia i czy zamierzają wojnę przenieść w te strony?

— Z zeznań żołnierzy nic nie można wydobyć, — odpowiedział oficer — bo przestrach przesadza wszelkie niebezpieczeństwa, są więc tacy, którzy mówią, że pan Babinicz tuż. Z tego jednak, iż książę z Sakowiczem pozostali, wnoszę, iż pościg nie może być szybki.

— Ale wszakże musi nastąpić? Wszakże trudno inaczej mniemać? Któżby po zwycięstwie nie ścigał pobitego nieprzyjaciela?

— To się pokaże. O czem innem chciałem z panią pomówić. Książę wskutek choroby i niepowodzeń musi być rozdrażniony, zatem jako desperat do gwałtownych uczynków skłonny... Nie rozłączaj się pani teraz z ciotką i panną Borzobohatą; nie zgadzaj się na to, by pana miecznika do Tylży wyprawiono, jako ostatnim razem przed wyprawą się stało.

Oleńka nie odrzekła nic; miecznika oczywiście nigdy do Tylży nie wyprawiano, tylko gdy po uderzeniu go obuszkiem przez księcia, chorzał dni kilka, Sakowicz, by ukryć przed ludźmi książęcy uczynek, umyślnie rozpuścił wieść, że stary do Tylży wyjechał. Oleńka wolała o tem przed Ketlingiem zamilczeć, bo dumnej dziewczynie wstyd było wyznawać, że ktoś jednego z Billewiczów, jak psa, poterał.

— Dziękuję waćpanu za ostrzeżenie — rzekła po chwili milczenia.

— Uważałem za swój obowiązek...

Lecz jej serce wezbrało znów goryczą. Przecież przed niedawnym czasem od Ketlinga zależało, by to nowe niebezpieczeństwo nie zawisło nad jej głową, przecież gdyby się był zgodził na ucieczkę, byłaby już daleko, raz na zawsze od Bogusława wolna.

— Panie kawalerze, — rzekła — szczęście prawdziwe

dla mnie, że to ostrzeżenie nie tyczy pańskiego honoru, ani że książę nie wydał rozkazu, ażebyś pan mnie nie ostrzegał.

Ketling zrozumiał przymówkę i odrzekł mową, której się Oleńka po nim nie spodziewała:

— Co się służby mojej żołnierskiej tyczy i czego strzec mi honor nakazuje, to spełnię, albo życiem przypłacę. Innego wyboru nie mam i mieć nie chcę. Poza służbą wolno mi niegodziwościom zapobiegać. Więc jako prywatny człowiek zostawiam pani tę krucicę i mówię: broń się, bo niebezpieczeństwo bliskie, w razie potrzeby — zabij! Wówczas moja przysięga będzie rozwiązana i z ratunkiem ci pośpieszę.

To rzekłszy, skłonił się i zwrócił ku drzwiom, lecz Oleńka zatrzymała go.

— Panie kawalerze, uwolnij się od tej sużby, broń dobrej sprawy, broń skrzywdzonych, boś tego godzien, boś zacny, bo szkoda cię dla zdrajcy...

Na to Ketling:

— Byłbym się dawno uwolnił i do dymisji podał, gdyby nie to, żem mniemał, iż pozostając tu, tobie, pani, mogę być pożytecznym. Dziś zapóźno. Gdyby książę wracał zwycięzcą, nie zawahałbym się chwili... gdy wraca zwyciężony, gdy być może, iż nieprzyjaciel za nim następuje, byłoby tchórzostwem żądać dymisji, póki sam kończący się termin mnie nie uwolni. Napatrzysz się pani dowoli, jak ludzie małego serca tłumem opuszczają pobitego, ale mnie między nimi nie obaczysz... Żegnam panią. Krucica ta nawet pancerz z łatwością przebije...

Ketling wyszedł pozostawiwszy broń na stole, którą Oleńka schowała natychmiast. Na szczęście, przewidywania młodego oficera i jej własne obawy okazały się płonnemi.

Książę nadjechał wieczorem wraz z Sakowiczem i Patersonem, ale tak pognębiony i chory, że ledwie na nogach mógł się utrzymać. Do tego sam dobrze nie wiedział, czyli pan Sapieha nie następuje, lub czy nie ekspedjował na pościg Babinicza z lekkiemi chorągwiami.

Bogusław obalił był wprawdzie tego ostatniego w ata wraz z koniem, ale nie śmiał się spodziewać, iż go zabił, gd zdawało mu się, że koncerz obsunął mu się w cięciu po b biniczowej misiurce. Wreszcie raz on już przecie strze mu w samą twarz z pistoletu i na nic się to nie przydało.

Bolało księcia serce na myśl, co taki Babinicz uczy z jego włościami, gdy się raz do nich ze swymi Tatary s stanie. A bronić ich nie miał czem! I nietylko włości, a nawet własnej osoby. Między jego jurgieltnikami nie by takich wielu jak Ketling i należało się spodziewać, że pierwszą wieść o zbliżaniu się wojsk sapieżyńskich opuszc go wszyscy co do jednego.

Książę też nie zamierzał zabawić w Taurogach dłu nad dni dwa lub trzy, musiał bowiem śpieszyć do Prus k lewskich, do elektora i Steinboka, którzy go mogli zaop trzyć w nowe siły i użyć bądź do zdobywania miast pruski bądź wysłać w pomoc samemu królowi, zamierzającemu w prawę w głąb Rzeczypospolitej.

W Taurogach wypadło zostawić tylko kogoś z oficeró któryby ład w rozbite resztki wojsk wprowadził, opędzał partjom chłopskim i szlacheckim, osłaniał dobra obu Ra wiłłów i porozumiewał się z Loewenhauptem, głównodo dzącym siłami szwedzkiemi na Żmudzi.

W tym celu, po przybyciu do Taurogów i po przespa nocy, książę wezwał na naradę Sakowicza, któremu jedne mógł ufać i zupełnie serce otworzyć.

Dziwne było owo pierwsze „dzień dobry" w Taurogac jakie sobie powiedzieli dwaj przyjaciele po nieszczęśl wyprawie. Czas jakiś patrzyli na siebie bez słowa. Przem wił pierwszy książę:

— A no! djabli wzięli!

— Wzięli! — powtórzył Sakowicz.

— Musiało tak być przy takiej aurze. Gdybym m więcej lekkich chorągwi lub gdyby licho nie przynio tego Babinicza... Do dwóch razy sztuka! Przerwał się

sielec. Nie powiadajże o tem nikomu, żeby mu jeszcze sławy nie przysparzać.

— Ja nie powiem... Ale czy oficerowie nie będą trąbili, nie zaręczam, boś przecie książę prezentował go u swoich butów, jako chorążego orszańskiego.

— Oficerowie Niemcy nie rozumieją się na polskich nazwiskach. Im wszystko jedno: Kmicic, czy Babinicz. A! na rogi lucypera żebym go dostał! A miałem go... i jeszcze szelma ludzi mi pobuntował, głowbiczowski oddział odprowadził... Musi to być jakiś bastard po naszej krwi, nie może inaczej być!... Miałem go, miałem... i uszedł!... Więcej mnie to gryzie, aniżeli ta cała stracona wyprawa.

— Miałeś go książę, ale za cenę mojej głowy.

— Jasiu! powiem ci szczerze: niechby cię tam byli ze skóry obdarli, bylebym z Kmicicowej bęben mógł zrobić!

— Dziękuję ci, Bogusiu. Mniej po twojej przyjaźni nie mogłem się spodziewać.

Książę rozśmiał się:

— A skierczałbym na sapieżyńskim ruszcie... Wszystkieby twoje szelmostwa z ciebie wytopili. Ma foi! chciałbym to widzieć!

— Ja zaś chciałbym cię widzieć w ręku Kmicica, twojego miłego krewniaka. Twarz masz inną, ale z postawy jesteście do siebie podobni i nogi macie jednej miary i do jednej dziewki wzdychacie, tylko że ona, nie doświadczywszy, zgaduje, że tamten zdrowszy i że żołnierz lepszy.

— Takim dwom, jak ty, dałby rady, ale ja przejechałem mu po brzuchu... A gdybym był miał dwie minuty czasu, mógłbym ci teraz parol dać, że mój kuzynek nie żyje. Zawsześ był głupowaty i dlategom cię polubił, ale w ostatnich czasach zjełczał ci dowcip do reszty.

— Zawsześ miał dowcip w piętach i dlatego takeś przed Sapiehą zmiatał, ażem cię znielubił i sam gotówem pójść do Sapiehy.

— Na powróz!

— Na ten, którym Radziwiłła zwiążą.

— Dosyć!

— Sługam waszej ks. mości!

— Trzebaby kilku z tych rajtarów rozstrzelać, którzy najwięcej krzyczą i ład wprowadzić.

— Kazałem dziś rano sześciu powieść. Już i ostygli; a tańcują na sznurach zawzięcie, bo wiatr okrutny.

— Dobrześ zrobił. Słuchajno! Czy chcesz zostać na załodze w Taurogach, bo muszę tutaj kogoś zostawić?

— I chcę i proszę o tę funkcję. Nikt się tu lepiej nie sprawi. Żołnierz boi się mnie więcej, niż innych, bo wie, że żartów ze mną niema. Z uwagi na Loewenhaupta, lepiej, że zostanie ktoś poważniejszy od Patersona.

— Daszże sobie z rebelizantami rady?

— Upewniam waszą ks. mość, że sosny żmudzkie będą rodziły łońskiego roku cięższe od szyszek owoce. Z chłopstwa ze dwa regimenty piechoty uczynię i po mojemu wyćwiczę. Na włości będę miał oko, a jeśli rebelizanci którą napadną, wnet rzucę podejrzenie na jakiego bogatszego szlachcica i wycisnę go jak ser w worku. Na początek potrzebaby mi tyle tylko pieniędzy, żeby lafę zaspokoić i piechoty przybrać.

— Co będę mógł, zostawię.

— Z posażnych?

— Jakto?

— To się znaczy z billewiczowskich, które z góry sam sobie wypłaciłeś.

— Żebyś mógł jako politycznie skręcić łeb temu miecznikowi, dobrzeby było, bo to się lekko mówi, a szlachcic skrypt ma.

— Postaram się. Jeno w tem rzecz, czy skryptu gdzie nie wysłał, albo czy go dziewka w koszulę nie zaszyła. Wasza książęca mość nie życzyłbyś sobie sprawdzić?

— Przyjdzie do tego, ale teraz muszę jechać i przytem sił mnie ta przeklęta febris całkiem zbawiła.

— Zazdrość mi wasza ks. mość, że w Taurogach zostaję.

— Jakąś masz dziwną ochotę. Tylko... Czybyś ty czasem... Hakami kazałbym cię rozerwać... Czemu to tak tej funkcji się napierasz?

— Bo się chcę żenić.

— Z kim? — spytał książę, siadając na łóżku.

— Z panną Borzobohatą Krasieńską.

— To jest dobra myśl, to jest przednia myśl! — rzekł po chwili milczenia Bogusław. — Słyszałem o jakimś zapisie...

— Tak jest, po panu Longinie Podbipięcie. Wasza ks. mość wiesz, jaki to możny ród, a onego Longina majętności w kilku powiatach leżą. Wprawdzie jedne z nich, jakieś tam dziewiąte wody po kisielu zagarnęły, w drugich moskiewskie wojska stoją. Będzie procesów, bitek i zwad i zajazdów bez liku, ale ja dam sobie rady i jednego wyczółka nikomu nie ustąpię. Przytem dziewka okrutnie mi się nadała, bo gładka i wabna. Jużem to zauważył zaraz potem, kiedyśmy ją to zabrali, że udawała strach, a okiem ku mnie strzygła. Niech jeno tu jako komendant zostanę, z samego próżniactwa zaczną się amory...

— Jedno ci zapowiadam. Żenić się nie będę ci zabraniać, wszelako, słuchajno dobrze, żadnych ekscesów rozumiesz? Bo to dziewka od Wiśniowieckich, samej księżnej Gryzeldy zaufana, a ja księżnej nie chcę obrazić przez estymę, ani pana starosty kałuskiego także.

— Nie trzeba ostrzegać — odpowiedział Sakowicz, bo skoro się chcę żenić regularnie, to i starać się muszę regularnie.

— Chciałbym, żeby cię odpaliła.

— Znam kogoś, kogo odpalili, chociaż jest księciem, ale tak myślę, że mnie się to nie przygodzi. Dziwnie mi ono strzyżenie oczyma dodaje otuchy.

— Nie przymawiajże temu, komu odpalono, aby cię rogaczem nie uczynił. Wyrobię ci w dodatku do herbu rogi, albo przydomek do nazwiska przybierzesz: Sakowicz Rogaty! Ona z domu Borzobohata, a on bardzorogaty. Dobrana

z was będzie para. Owszem, żeń się Jasiu, żeń, a daj znać o weselu, będę drużbą.

Srogi gniew wystąpił na straszne i bez tego lica Sakowicza. Oczy przez chwilę zaszły mu jak dymem, ale wkrótce się opamiętał i w żart obracając słowa książęce, odrzekł:

— Nieboże! na schody o własnej mocy ci niesporo, a grozisz. Masz tu swoją Billewiczównę, dalej chuchraku! dalej! Będziesz ty jeszcze Babiniczowe dzieci piastował!

— Bodajżeś język złamał, taki synu! To z choroby się naigrawasz, która o włos mnie nie pogrążyła? Bodaj i ciebie tak oczarowano!

— Co tam czary! Czasem, gdy spojrzę, jak wszystko idzie naturalnym rzeczy porządkiem, to myślę, że czary głupstwo.

— Sameś głupi! Cicho bądź, nie wywołuj licha! Brzydniesz mi coraz więcej.

— Bodajbym nie był ostatnim Polakiem, który waszej ks. mości wierny pozostał, bo za moją wierność samą niewdzięcznością mnie karmią. Wrócę oto w domowe pielesze i będę siedział spokojnie, końca wojny wyglądając.

— Och, daj spokój! Wiesz, że cię miłuję.

— Ciężko mi to zmiarkować. Djabeł mi ten afekt dla waszej ks. mości wszczepił. Jeśli w czem są czary, to w tem.

Sakowicz prawdę mówił, bo rzeczywiście Bogusława kochał; książę wiedział o tem i dlatego płacił mu, jeśli nie głębszem przywiązaniem, to wdzięcznością, jaką ludzie próżni żywią zawsze dla tych, którzy ich uwielbiają.

Dlatego chętnie zgodził się na jego zamiary względem Anusi Borzobohatej i sam osobiście dopomóc mu postanowił.

W tym celu koło południa, gdy się czuł najzdrowszy, kazał się ubrać i poszedł do Anusi.

— Przyszedłem po dawnej znajomości dowiedzieć się o zdrowiu waćpanny, — rzekł i spytać się, czyli się waćpannie pobyt w Taurogach podobał?

— Kto jest w niewoli, temu się wszystko musi podobać — odrzekła wzdychając, Anusia.

Książę rozśmiał się.

— Waćpanna nie jesteś w niewoli. Zagarnięto cię razem z sapieżyńskimi żołnierzami, to prawda i kazałem waćpannę tu odesłać, ale tylko dla bezpieczeństwa. Włos ci tu z głowy nie spadnie. Wiedz o tem waćpanna, że ja mało kogo tak szanuję, jak księżnę Gryzeldę, której serca bliską jesteś. I Wiśniowieccy i Zamoyscy moi koligaci. Waćpanna tu znajdziesz wszelką wolność i wszelką opiekę, ja zaś przychodzę, jako życzliwy przyjaciel i mówię tak: chcesz, to jedź, dam ci eskortę, choć samemu mi żołnierzy szczupło, ale radzęć zostać. Waćpannę, ilem słyszał, wysłano dla odzyskania majętności zapisanych. Wiedzże, iż teraz nie czas o tem myśleć i że nawet w spokojnych czasach protekcja pana sapieżyńska na nic, bo on jeno w witebskiem może wskórać, tu nic. Zresztą sam się tą sprawą nie zajmie, jeno przez komisarzy... Waćpannie trzebaby człowieka życzliwego a obrotnego, którby strach i estymę u ludzi miał. Taki, gdyby się zajął, pewne nie dałby sobie słomy, zamiast ziarna w garść wetknąć.

— Gdzie ja sierota znajdę takiego opiekuna?! — zawołała Anusia.

— Właśnie, że w Taurogach.

— Wasza ks. mość raczyłby sam...

Tu Anusia złożyła rączki i spojrzała tak ślicznie w Bogusławowe oczy, że gdyby książę nie był tak umęczon i sterany, pewnieby zaraz mniej szczerze począł o sakowiczowskiej sprawie myśleć, lecz że mu amory nie były w głowie, więc odrzekł prędko:

— Gdybym jeno mógł, nikomubym tak wdzięcznej funkcji nie powierzał; ale ja wyjeżdżam, bo muszę. Na mojem miejscu zostaje komendantem w Taurogach pan starosta oszmiański, Sakowicz, kawaler wielki, żołnierz sławny i człek tak obrotny, jak drugiego na całej Litwie niemasz. Owóż, powtarzam, ostań się waćpanna w Taurogach, bo

jechać nie masz gdzie, gdy wszędzie pełno grasantów i łotrzykowie a rebelizanci wszystkie drogi infestują. Sakowicz ci tu da opiekę. Sakowicz cię obroni. Sakowicz rozpatrzy się, co można dla wywindykowania tych majętności uczynić, a gdy się tylko do tego raz weźmie, zaręczam, że nikt w świecie prędzej do pomyślnego końca nie doprowadzi. Mój to przyjaciel, więc go znam i tyle tylko o nim waćpannie powiem, że gdybym ja sam majętności waćpanny zagarnął, a potem dowiedział się, że Sakowicz przeciwko mnie występuje, tobym się wolał ich zrzec dobrowolnie, bo z nim niebezpiecznie się spierać.

— Byleby tylko pan Sakowicz zechciał sierocie przyjść w pomoc...

— Nie bądź mu jeno krzywa, a dla waćpanny wszystko on uczyni, bo mu twoje śliczności głęboko w serce zapadły. Już on tam chodzi i wzdycha...

— Gdzie jabym tam komu mogła wpaść w serce!

— Szelma dziewczyna! — pomyślał książę.

Głośno zaś dodał:

— Niechże Sakowicz wytłomaczy, jak się to stało, a waćpanna nie bądź mu tylko krzywa, bo to człek zacny i ze znamienitego rodu, więc takim nie życzę pogardzać.

ROZDZIAŁ VIII.

Nazajutrz rano książę odebrał wezwanie od elektora, aby co prędzej pośpieszył do Królewca dla objęcia komendy nad świeżo zaciągniętemi wojskami, które miały iść pod Malborg lub pod Gdańsk. List zawierał także wiadomości o śmiałej wyprawie Karola Gustawa w dół Rzeczypospolitej aż do krajów ruskich. Elektor przewidywał zły koniec tej wyprawy, ale właśnie dlatego pragnął stanąć na czele sił jaknajwiększych, aby w razie potrzeby, jednej lub drugiej stronie stać się niezbędnym, drogo się sprzedać i losy wojny

przeważyć. Z tych powodów zalecał młodemu księciu wszelki możliwy pośpiech, tak dalece zaś chodziło mu o uniknięcie mitręgi, że za pierwszym gońcem wysłał drugiego, który przybył we dwanaście godzin później.

Książę więc nie miał ani chwili do stracenia i niedość czasu do odpoczynku, febra bowiem wróciła znowu z dawną siłą. Jednak trzeba było jechać. Zaczem zdawszy władzę Sakowiczowi, rzekł mu:

— Być może, iż przyjdzie miecznika i dziewczynę przewieść do Królewca. Tam łatwiej przyjdzie się pocichu z nieprzyjaznym człekiem uporać; dziewkę zaś, bylem był zdrów, wezmę z sobą do obozu, bo dość mi tych ceremonii.

— Dobrze, to się i komput wojsk może powiększyć — odparł na pożegnanie Sakowicz.

W godzinę później nie było już księcia w Taurogach. Został Sakowicz, jako pan samowładny, uznający nad sobą jedną tylko władzę: władzę Anusi Borzobohatej. I proch przed jej stopami zaczął zdmuchiwać, jak niegdyś sam książę przed stopami Oleńki. Hamując dziką swą naturę, był dwornym, uprzedzającym chęci, zgadującym myśli, a zarazem trzymał się zdala, z całym szacunkiem, z jakim powinien być światowy kawaler dla panny, o której rękę i serce się stara.

Jej zaś, trzeba wyznać, spodobało się owo królowanie w Taurogach; miło jej było pomyśleć, że gdy wieczór nadchodzi, w dolnych salach, na korytarzach, w cekhauzie, w sadzie, jeszcze zimowym szronem okrytym, rozlegają się wzdychania starszych i młodszych oficerów, że nawet astrolog wzdycha, patrząc w gwiazdy ze swej samotnej wieży, że nawet stary miecznik westchnieniami przerywa wieczorny różaniec.

Najlepszą będąc dziewczyną, była przecie rada, że nie ku Oleńce idą owe afekta strzeliste, ale ku niej; była rada i ze względu na Babinicza, bo czuła swoją moc i przychodziło jej do głowy, że jeśli nigdy nikt się jej nie oparł, to musiała i na jego sercu trwałe oczyma wypalić znaki.

— O tamtej zapomni, nie może inaczej być, bo niewdzięcznością go tam karmią, a gdy się to stanie, wie gdzie mnie szukać i poszuka... rozbójnik jeden!

Zaraz potem odgrażała się w duszy:

— Czekaj! odpłacę ja ci, nim pocieszę...

Sakowicza tymczasem, niezbyt nawet lubiąc, mile widziała. Prawda, że usprawiedliwił się jej w oczach z zarzutu zdrady, w ten sam sposób, w jaki miecznikowi wytłumaczył się Bogusław. Zatem mówił, że ze Szwedem już był pokój zawarty, już Rzeczpospolita odetchnąć i zakwitnąć miała, gdy pan Sapieha dla swej prywaty wszystko popsował.

Anusia niezbyt się na tych sprawach znając, puszczała te słowa mimo uszu. Lecz natomiast uderzyło ją coś innego w opowiadaniach pana starosty oszmiańskiego.

— Billewicze, — mówił — krzycząc w niebogłosy na swą krzywdę i niewolę, a przecież nic im się tu nie stało i nie stanie. Nie puszczał ich książę z Taurogów, prawda, ale to dla ich dobra, bo o trzy staje za bramą zginąć już od grasantów lub leśnych osaczników mogli. Nie puszczał ich i dlatego, że pannę Billewiczównę pokochał i to prawda! Któż wszelako go nie usprawiedliwi? kto czułe serce mając i wzdychaniami obarczone piersi, inaczejby postąpił? Gdyby miał mniej zacne intencje, pewnieby, jako pan tak potężny, mógł wodzów sobie popuścić, lecz on chciał się żenić, chciał wynieść tę oporną pannę do swego książęcego stanu, szczęśliwościami ją obsypać, koronę radziwiłłowską na jej głowę włożyć i za to inwektywy nań ci niewdzięczni ludzie rzucają, sławy mu i zacności ujmując...

Anusia, niezbyt wierząc, spytała zaraz tego samego dnia Oleńki, czy prawda, że książę chciał się z nią ożenić? Oleńka zaprzeczyć nie mogła, a że były już z sobą poufałe, więc przytoczyła swoje racje. Wydały się one Anusi słuszne i dostateczne, ale przecie pomyślała sobie, że Billewiczom nie było znów tak ciężko w Taurogach ani książę z Sakowiczem nie byli takimi zbrodniarzami, za jakich ich pan miecznik rosieński ogłosił.

To też, gdy nadeszły wieści, że pan Sapieha z Babiniczem nietylko nie zbliżają się ku Taurogom, ale pociągnęli wielkimi pochodami na króla szwedzkiego, aż hen ku Lwowu, Anusia wpadła najprzód w złość, a potem jęła rozumować, że gdy ich niema, to na nic uciekać z Taurogów, bo można życie stracić lub w najlepszym razie spokojny pobyt zmienić w pełną niebezpieczeństw niewolę.

Przyszło z tego powodu do sporów między nią, a Oleńką i miecznikiem; lecz i oni nawet przyznać musieli, że odejście pana Sapiehy wielce ucieczkę utrudnia, jeżeli całkiem niepodobną jej nie uczyni, tem bardziej, że w kraju wrzało coraz bardziej i nikt z mieszkańców jutra pewien być nie mógł. Zresztą chociażby i nie przyznawali racji anusinych, ucieczka bez jej pomocy, wobec czujności Sakowicza i innych oficerów, była niemożliwą. Ketling jeden był im oddany, ale do żadnego układu przeciwnego służbie wciągnąć się nie dawał, przytem często bywał nieobecny, bo go Sakowicz jako doświadczonego żołnierza i zdolnego oficera rad używał przeciwko zbrojnym kupom konfederatów i grasantów, zaczem często z Taurogów wysyłał.

A Anusi coraz było w nich lepiej.

Sakowicz oświadczył jej się w miesiąc po wyjeździe księcia, ale zwodnica dała mu chytrą odpowiedź, że go nie zna, że różnie o nim mówią, że nie miała czasu jeszcze go polubić, że bez pozwolenia księżnej Gryzeldy wychodzić za mąż nie może, a nakoniec, że chce go na rok próby wystawić.

Starosta zżuł gniew, kazał dać tego dnia jednemu rajtarowi za błahe przewinienie trzy tysiące rózeg, po których pochowano biednego żołdaka, lecz musiał się na Anusine kondycje zgodzić. Ona zaś zapowiedziała pankowi, że jeżeli będzie służył jeszcze wierniej, pilniej i pokorniej, to za rok i tak dostanie tylko tyle, ile będzie jej łaska.

W ten sposób igrała z niedźwiedziem, lecz tak już zdążyła go opanować, że stłumił nawet mruczenie, odrzekł jej tylko:

— Z wyjątkiem zdrady księcia, wszystkiego waćpanna ode mnie wymagaj, choćby tego, bym na kolanach chodził...

Gdyby Anusia wiedziała, jak straszne Sakowiczowego zniecierpliwienia skutki spadają na całą okolicę, możeby go tak nie drażniła. Żołnierze i mieszczanie w Taurogach drżeli przed nim, bo karał ciężko całkiem bez winy, nad wszelką miarę. Jeńcy konali w łańcuchach z głodu lub przypiekani żelazem.

Nieraz zdawało się, że dziki starosta chce ochłodzić wzburzoną i spiekłą żarem miłości duszę w krwi ludzkiej, bo zrywał się nagle i sam chodził na wyprawy. A zwycięstwo chodziło najczęściej jego śladem. Wycinał w pień kupy rebelizantów; wziętym do niewoli chłopom kazał dla przykładu ucinać prawe ręce i puszczał do domów wolno.

Groza jego imienia opasała tu jakby murem Taurogi; znaczniejsze nawet oddziały patrjotów nie ośmielały się zapuszczać dalej, jak pod Rosienie.

Cisza stała się wszędzie, a on z powsinogów niemieckich, z miejscowego chłopstwa, formował za pieniądze wyciśnięte z okolicznych mieszczan i szlachty coraz nowe pułki i rósł w siły, ażeby ich swemu księciu w razie ciężkiej potrzeby dostarczyć.

Wierniejszego i straszniejszego sługi nie mógł Bogusław znaleść.

W Anusię za to patrzył Sakowicz coraz tkliwiej swemi strasznemi blado-niebieskiemi oczyma i na lutni jej grywał.

Płynęło tedy życie w Taurogach dla Anusi wesoło i zabawnie, dla Oleńki ciężko i jednostajnie. Z jednej szły promienie wesołości, jak owo światełko, które nocami bije od świętojańskiego robaczka; drugiej twarz stawała się coraz bledszą, poważniejszą, surowszą, czarne brwi ściągały się coraz mocniej na białem czole, tak, że wkońcu przezwano ją zakonnicą. I miała w sobie coś z mniszki. Poczęła się oswajać z tą myślą, że nią zostanie, że ją sam Bóg, przez ból, przez zawody, za kratę do spokoju prowadzi.

Nie ta to już była dziewczyna ze ślicznemi rumieńcami

na twarzy i szczęściem w oczach, nie ta Oleńka, która niegdyś, jadąc w saniach z narzeczonym, panem Andrzejem Kmicicem, krzyczała: „Hej! hej!“ na bory i lasy!

Wiosna czyniła się na świecie. Rozpętane z lodu wody Bałtyku począł kołysać wiatr duży a ciepły, potem drzewa zakwitły, strzeliły kwiaty surowych liściastych obsłon, potem słońce zaczęło bywać znojne, a biedna dziewczyna próżno wyglądała końca taurożańskiej niewoli, bo i Anusia nie chciała uciekać i w kraju coraz straszniej było.

Miecz i ogień srożył się tak, jakby nigdy zmiłowanie Boże nastąpić nie miało. Owszem, kto nie chwycił szabli lub dzidy zimą, ten schwytał ją wiosną, śnieg śladów nie zdradzał, gdy bór dawał lepsze schronienie i ciepło wojnę czyniło łatwiejszą.

Wieści jako jaskółki nadlatywały do Taurogów, czasem groźne, czasem pocieszające, I jedne i drugie święciła czysta dziewczyna modlitwą, a oblewała łzami smutku lub radości.

Więc najprzód mówiono o okropnem całego narodu powstaniu. Ile było drzew w borach Rzeczypospolitej, ile kłosów kołysało się na jej łanach, ile gwiazd świeciło po nocach między Tatarami a Bałtykiem, tyle wstało przeciw Szwedom wojowników, którzy szlachtą będąc, do miecza a wojny z woli Bożej i przyrodzonego rzeczy porządku się rodzili; którzy skiby pługiem krając, obsiewali ziarnem tę krainę; którzy handlem i rzemiosły po miastach się parali; którzy żyli w puszczach z pszczelnej pracy, z wypalania smoły, z topora lub strzelby; którzy nad rzekami siedząc, rybactwem się trudnili; którzy na stepach koczowali ze stadami — wszyscy chwycili za broń, aby najezdnika z kraju wyżenąć.

Już Szwed tonął w tej liczbie, jako w rzece wezbranej. Ku podziwowi całego świata, bezsilna jeszcze niedawno Rzeczpospolita znalazła więcej szabel w swojej obronie, niż mógł ich mieć cesarz niemiecki lub król francuski.

Potem przyszły wieści o Karolu Gustawie, jako szedł

coraz wgląb Rzeczypospolitej z nogami we krwi, z głową w dymach i płomieniach, bluźniąc. Spodziewano się lada chwila usłyszeć wieść o jego śmierci i zagubie wszystkich wojsk szwedzkich.

Imię Czarnieckiego rozlegało się coraz potężniej od ściany do ściany, przejmując strachem nieprzyjaciół, wlewając otuchę w serca polskie.

— Zbił pod Kozienicami! — mówiono jednego dnia,— zbił pod Jarosławiem! — powtarzano w kilka tygodni później. — zbił pod Sandomierzem! — powtarzało dalekie echo. Dziwiono się temu tylko, skąd się jeszcze bierze tyle Szwedów po takich pogromach.

Nakoniec przyleciały nowe stada jaskółek, a z niemi fama o uwięzieniu króla i całej armji szwedzkiej w widłach rzecznych. Zdawało się, że koniec tuż, tuż.

Sam Sakowicz w Taurogach przestał chodzić na wyprawy, jeno listy po nocach pisywał i w różne strony rozsyłał.

Miecznik był jakoby obłąkany. Codzień wieczorem wpadał z wieściami do Oleńki. Czasem gryzł ręce, gdy sobie wspomniał, że trzeba siedzieć w Taurogach. Tęskniła w pole stara żołnierska dusza. Wkońcu zaczął się zamykać w swojej stancji i nad czemś po całych godzinach rozmyślać. Raz chwycił niespodzianie Oleńkę w ramiona, zaryczał wielkim płaczem i rzekł jej:

— Miłaś ty, dziewczyno, córuchno jedyna, ale ojczyzna milsza.

I nazajutrz skoro dzień znikł, jakoby w ziemię się zapadł.

Oleńka znalazła tylko list, a w nim słowa następujące:

„Bóg cię błogosław, dziecko kochane. Rozumiałem ja ci dobrze, że ciebie, a nie mnie strzegą i że samemu mi łatwiej wymknąć się przyjdzie. Niechże mnie Bóg sądzi, jeślim ja to, niebogo sieroto, z zatwardziałości serca i braku ojcowskiego afektu dla ciebie uczynił. Ale męka była od pacjencji większa i nie mogłem, na rany Chrystusa Pana

przysięgam, nie mogłem już dłużej wysiedzieć. Bo jakem pomyślał, że się tam najszczersza krew polska rzeką pro patria et libertate leje, a mojej ni kropli w tej rzece niemasz, tedy mi się wydało, że mnie anieli niebiescy za to potępią... Nie rodzić mi się było na świętej Żmudzi naszej, gdzie żywie amor patriae i męstwo, nie rodzić mi się było szlachcicem, ni Billewiczem, tobym przy tobie został i ciebie strzegł. Ale ty, mężem będąc, uczyniłabyś to samo, więc i mnie odpuścisz, iżem cię, jako Daniela, samą w jaskini lwów porzucił. Którego, że Bóg w miłosierdziu Swojem konserwował, tak też mniemam, że i nad tobą będzie lepsza od mojej, Najświętszej Panny, Królowej naszej, protekcja".

Oleńka łzami oblała pismo, ale pokochała stryjca za ten postępek jeszcze lepiej, bo jej serce dumą wezbrało. Tymczasem uczynił się w Taurogach hałas niemały. Sam Sakowicz wpadł do dziewczyny z furją wielką i nie zdejmując czapki z głowy, spytał:

— Gdzie stryj waćpanny?

— Gdzie wszyscy, prócz zdrajców, są!... W polu!

— Waćpanna wiedziałaś o tem!... — krzyknął starosta.

A ona, zamiast się stropić, postąpiła kilka kroków ku niemu i mierząc go oczyma z niewypowiedzianą pogardą, odrzekła:

— Wiedziałam — i cóż?

— Waćpanna... ej! gdyby nie książę!... Waćpanna przed księciem odpowiesz!...

— Ni przed księciem, ni przed jego pachołkiem. A teraz proszę!...

I palcem wskazała mu drzwi.

Sakowicz zgrzytnął zębami i wyszedł.

Tego samego dnia zagrzmiało w całych Taurogach o zwycięstwie wareckiem i taka trwoga padła na wszystkich stronników szwedzkich, że sam Sakowicz nie śmiał karać księży, którzy publicznie odśpiewali w okolicznych kościołach: Te Deum.

Wielki też ciężar spadł mu z serca, gdy w kilka tygodni później przyszło z pod Malborga pismo Bogusławowe z doniesieniem, iż król wymknął się z rzecznego saku. Lecz inne nowiny były wielce niepocieszne. Książę żądał posiłków i nie kazał zostawiać w Taurogach więcej wojsk, niżby tego konieczna obrona wymagała.

Gotowe rajtarje wyszły na drugi dzień, a z niemi Ketling, Oettingen, Fitz-Gregory, słowem wszyscy znamienitsi, prócz Brauna, który koniecznie był Sakowiczowi potrzebny.

Taurogi opustoszały jeszcze bardziej, niż po wyjeździe księcia.

Anusia Borzobohata poczęła się nudzić i tem bardziej Sakowiczowi dokuczać. On zaś myślał, czyby się do Prus nie przenieść, bo ośmielone odejściem wojsk partje jęły znowu przesuwać się za Rosienie i zbliżać do Taurogów. Sami Billewicze zebrali do pięciuset koni z obywatelstwa, drobnej szlachty i chłopów. Porazili oni znacznie pułkownika Bützowa, który przeciw nim wyciągnął i przepłókiwali bez miłosierdzia wszystkie wsie radziwiłłowskie.

Ludność garnęła się do nich chętnie, bo żaden ród, sami nawet Chlebowiczowie, nie cieszyli się taką między pospólstwem czcią i powagą. Sakowiczowi żal było zostawiać Taurogi na łaskę nieprzyjaciół, wiedział także, że w Prusach trudno mu będzie o pieniądze, o posiłki, że tu rządzi, jak chce, tam władza jego zmaleć musi, jednakże tracił coraz bardziej nadzieję, czy się potrafi utrzymać.

Pobity Bützow schronił się pod jego opiekę, a wieści, które przywiózł o potędze i wzroście rebelji, skłoniły ostatecznie Sakowicza na stronę pruską.

Jako zaś człowiek stanowczy i lubiący prędko doprowadzić do skutku to, co zamierzył, w dziesięć dni ukończył przygotowania, wydał rozkazy i miał ruszyć.

Nagle trafił on na niespodziewany opór, i to ze strony, z której najmniej go się spodziewał, bo ze strony Anusi Borzobohatej.

Anusia nie myślała do Prus jechać. W Taurogach było

jej dobrze. Postępy konfederackich „partyj“ nie przestraszały jej bynajmniej i gdyby Billewicze uderzyli na same Taurogi, jeszczeby była rada. Rozumowała sobie przytem, że na obczyźnie, między Niemcami, zostawałaby zupełnie na łasce Sakowicza, że łatwiejby tam mogło przyjść do jakowychś zobowiązań, do których nie miała ochoty, więc postanowiła upierać się przy pozostaniu. Oleńka, której wyznała swoje przyczyny, nietylko potwierdziła ich słuszność, ale najmocniej, ze łzami w oczach, poczęła ją błagać, aby oparła się wyjazdowi.

— Tu zbawienie może jeszcze przyjść, nie dziś, to jutro, — mówiła, — tam zginiemy obie.

Anusia zaś jej na to:

— A widzisz! A małoś to mnie nałajała za to, że i pana starostę chciałam pogrążyć, choć ja o niczem nie wiedziałam, jak księżnę Gryzeldę kocham, tylko to jakoś to samo z siebie przyszło. A teraz zważałliby on na mój opór, gdyby nie był pogrążon? A co?

— Prawda, Anusiu, prawda! — odrzekła Oleńka.

— Nie turbujże się, kwiatuszku najśliczniejszy! Nogą się z Taurogów nie ruszymy, jeszcze Sakowiczowi dokuczę w dodatku okrutnie.

— Dajże Boże, byś co wskórała.

— Jabym nie miała wskórać?... Wskóram raz dlatego, że mu chodzi o mnie, a po wtóre, jak mniemam, o moje majętności. Pogniewać mu się ze mną łatwo, a nawet szablą mnie zranić, ale w takim razie wszystkoby przepadło.

I pokazało się, że ma słuszność. Sakowicz przyszedł do niej wesół i pewien siebie, ona zaś przywitała go z minką wielce pogardliwą.

— Podobno — spytała — waćpan ze strachu przed panami Billewiczami do Prus chcesz uciekać?

— Nie przed panami Billewiczami — odrzekł, marszcząc brwi — i nie ze strachu, jeno się tam przenoszę z roztropności, abym więcej przeciw tym zbójom mógł ze świeżemi siłami dokazać.

— To szczęśliwej drogi.

— Jakto? Zali myślisz. że bez ciebie pojadę. moja nadziejo najmilejsza?

— Kogo tchórz oblatuje, niech w ucieczce ma nadzieję, nie we mnie. Zbytnioś waćpan poufały, ja zaś, gdybym potrzebowała konfidenta, pewniebyś nie waćpan nim został.

Sakowicz pobladł z gniewu. Dałby on jej, gdyby nie była Anusią Borzobohatą! Lecz bacząc przed kim stoi, pomiarkował się, straszną swą twarz ocukrzył i odrzekł, niby żartując:

— Ej, nie będę pytał! Wsadzę do kolaski i powiozę!

— Tak? — spytała dziewczyna. — Tom widzę, wbrew intencjom księcia, w niewoli tu trzymana? Wiedzże waćpan o tem, że jeśli to uczynisz, słowa więcej w życiu do waćpana nie przemówię, tak niech mi Pan Bóg dopomoże, bo ja w Łubniach chowana i dla tchórzów największą mam pogardę. Bodajem nie była wpadła w takie ręce!... Bodaj mnie pan Babinicz do sądnego dnia na Litwę wiózł, bo ten się nie bał nikogo!

— Dlaboga! — krzyknął Sakowicz. — Powiedzże mi przynajmniej, czemu do Prus nie chcesz jechać?

Lecz Anusia poczęła udawać płacz i desperację.

— Wzięli mnie jako Tatarzyni w niewolę, choć ja księżnej Gryzeldy wychowanka i nikt do mnie nie miał prawa. Wzięli i więżą, za morza gwałtem wywożą, na wygnanie mnie skazują, rychło patrzeć, jak kleszczami będą szarpali! o Boże! o Boże!

— Bójże się waćpanna tego Boga, którego wzywasz! — zawołał pan starosta. — Kto cię kleszczami będzie szarpał?

— Ratujcie mnie wszyscy święci! — powtarzała łkając Anusia.

Sakowicz sam nie wiedział. co ma czynić; dusiła go wściekłość, gniew; chwilami myślał, że zwarjuje, albo, że Anusia zwarjowała. Nakoniec rzucił się jej do nóg i przyrzekł, że w Taurogach zostanie. Wówczas ona zaczęła go prosić, iżby odjechał, jeśli się boi, czem go do ostatniej

doprowadziła rozpaczy, tak, że się zerwał i wychodząc, rzekł:

— Dobrze! Zostajem w Taurogach, a czy się boję panów Billewiczów, to się wkrótce pokaże.

I tego samego dnia, zebrawszy resztki pobitych wojsk Bützowa i swoje własne, poszedł, ale nie do Prus, tylko za Rosienie, przeciw panom Billewiczom, którzy w lasach girlakolskich stali obozem. Nie spodziewali się oni żadnego napadu, bo już wieść o zamierzonem wyjściu wojsk z Taurogów powtarzano od kilku dni w okolicy, więc starosta napadłszy nieubezpieczonych, rozniósł ich na szablach i kopytach. Sam miecznik, pod którego dowództwem stał oddział, ocalał z pogromu, ale dwóch Billewiczów z innej linji poległo; z nimi trzecia część żołnierzy; pozostali rozpierzchli się na cztery świata strony. Kilkudziesięciu jeńców przyprowadził starosta do Taurogów i stracić wszystkich rozkazał, zanim Anusia mogła wystąpić w ich obronie.

O opuszczeniu Taurogów nie było już mowy i nie potrzebował pan starosta tego czynić, bo po tem nowem zwycięstwie partje nie śmiały przechodzić na tę stronę Dubisy.

Sakowicz spanoszał i chełpił się niezmiernie, że byle mu Loewenhaupt przysłał tysiąc dobrych koni, on w całej Żmudzi rebelję zetrze. Ale Loewenhaupta nie było już w tych stronach; Anusia zaś źle przyjęła starościńską chełpliwość.

— To z panem miecznikiem — rzekła — łatwo się udało... Ale niechby tam był ten, przed którym obaście z księciem precz umykali, pewnie byłbyś waćpan i beze mnie do Prus za morze wyjechał.

Starostę ubodły te słowa do żywego.

— Najprzód, nie imaginuj sobie waćpanna, żeby Prusy były za morzem, bo za morzem jest Szwecja, a po wtóre: przed kimżeśmy to tak z księciem umykali?

— Przed panem Babiniczem! — odrzekła, dygając z wielką ceremonją.

— Bodajem go kiedyś na długość szabli spotkał!

— Pewniebyś waćpan na głębokość szabli leżał w ziemi... Ale nie wywołuj wilka z lasu!

Sakowicz rzeczywiście nieszczerze tego wilka wywoływał, bo lubo był człowiekiem niezrównanej odwagi, jednakże przed Babiniczem czuł on jakiś strach, prawie zabobonny, tak okropne zostały mu po nim z ostatniej wojny wspomnienia. Nie wiedział przytem, jak prędko już to groźne nazwisko usłyszy.

Nim jednak rozebrzmiało po całej Żmudzi, przyszła w czas jakiś inna, dla jednych najradośniejsza z radosnych, dla Sakowicza zaś straszliwa wieść, którą w dwóch słowach powtarzały wszystkie usta w całej Rzeczypospolitej:

— Warszawa wzięta!

Zdawało się, że ziemia rozstępuje się pod nogami zdrajców, lub że całe niebo szwedzkie wali się na ich głowy wraz ze wszystkiemi bóstwami, które na niem świeciły dotychczas jako słońca. Uszy nie chciały wierzyć, że kanclerz Oxenstierna w niewoli, Erskin w niewoli, Loewenhaupt w niewoli, Wrangel w niewoli, Wittemberg, sam wielki Wittemberg, który całą tę Rzeczypospolitą krwią oblał, który połowę jej jeszcze przed nadejściem Karolowem podbił, w niewoli! że król Jan Kazimierz triumfuje, a po zwycięstwie sąd będzie czynił nad grzesznymi.

A wieść biegła jakby na skrzydłach, huczała jak granat nad całą Rzecząpospolitą, szła przez wsie, bo chłop powtarzał ją chłopu; szła przez pola, bo łan zbożowy nią szumiał; szła przez lasy, bo sosna powtarzała ją sośnie, orły krakały o niej w powietrzu — i tem bardziej kto żyw, chwytał za broń.

W mig zapomniano koło Taurogów o girlakolskiej klęsce. Straszny niedawno Sakowicz zmalał we wszystkich, ba, nawet we własnych swoich oczach; partje poczęły na nowo wpadać na oddziały szwedzkie; Billewicze, ochłonąwszy po ostatnim pogromie, przeszli znów Dubisę na czele swych chłopów i resztek szlachty laudańskiej.

Sakowicz sam nie wiedział, co począć, gdzie się obrócić, skąd wyglądać ratunku. Oddawna nie miał wieści od księcia Bogusława i próżno łamał głowę, gdzie on, przy jakich wojskach może się znajdować? I chwilami niepokój ogarniał go śmiertelny, czy książę nie dostał się także do niewoli?

Z przerażeniem przypominał sobie, iż książę mówił mu, że tabor skieruje ku Warszawie i że jeżeli uczynią go komendantem nad załogą w stolicy, to woli tam być, gdyż łatwiej się stamtąd na wszystkie strony oglądać.

Nie brakło też ludzi, którzy twierdzili na pewno, że książę musiał wpaść w ręce Jana Kazimierza.

— Gdyby księcia nie było w Warszawie, — mówiono, — pocóżby miłościwy pan nasz w amnestji, którą wszystkim Polakom przy załodze zostającym zgóry udzielił, jego jednego wyjmował? Musi on już być w mocy królewskiej, a że wiadomo, iż głowa księcia Janusza na pień była przeznaczona, przeto i Bogusławowa pewno spadnie.

Skutkiem rozmyślań, doszedł Sakowicz do tego samego przekonania i borykał się z rozpaczą, bo raz, że księcia kochał, a po wtóre wiedział, że w razie śmierci tego potężnego protektora, łatwiej najdzikszy zwierz zdoła uchronić głowę w tej Rzeczypospolitej, niż on, który był prawą ręką zdrajcy.

Zdawało mu się, że pozostaje jedno tylko: nie zważać już na Anusin opór i uciec do Prus, tam szukać chleba, służby.

— Lecz co będzie, — pytał się nieraz sam siebie starosta, — gdy i elektor ulęknie się gniewu polskiego majestatu i wszystkich zbiegów wyda?

Nie było wyjścia, a schronienie chyba za morzem, w Szwecji samej.

Na szczęście, po tygodniu tych niepewności i męki, przybył od księcia Bogusława goniec z długim listem własnoręcznym:

„Warszawa odjęta Szwedom — pisał książę. — Tabor mój i rzeczy przepadły. Recedere już za późno, bo taka

na mnie tam zawziętość, żem był od amnestji wyłączon. Ludzi moich u samych bram Warszawy poszarpał Babinicz. Ketling w niewoli. Król szwedzki, elektor i ja, razem ze Steinbokiem i wszystkiemi siłami idziemy pod stolicę, gdzie walna bitwa niebawem nastąpi. Carolus klnie się, że ją wygra, chociaż biegłość Kazimierzowa w prowadzeniu wojny konfunduje go niepomału. Ktoby się spodziewał, że w eks-jezuicie tak wielki strategos siedzi? Ale jam to poznał jeszcze pod Beresteczkiem, bo tam wszystko się działo jego i Wiśniowieckiego głową. Mamy nadzieję w tem, że pospilite ruszenie, którego przy Kazimierzu było na kilkadziesiąt tysięcy, rozlezie się do domów, albo że pierwszy zapał ostygnie i bić się tak dobrze nie będzie. Daj Bóg popłoch jakowy między tą chasą, wówczas Carolus walną może klęskę zadać, choć, co po niej będzie, niewiadomo i sami jenerałowie powiadają sobie pocichu, że ta rebelja, to hydra, której coraz nowe głowy rosną. Mówi się: „Najprzód odebrać znów Warszawę". Gdym to z ust Karola usłyszał, pytałem, co potem? Nie rzekł nic. A tu siły nasze kruszeją, ich zaś rosną. Nowej wojny zaczynać niema z czem. I animusz już nie ten i nikt się z naszych nie chwyci tak Szwedów, jak na początku. Wuj elektor milczy, jak zwykle, ale to widzę dobrze, że jeśli bitwę przegramy, pocznie Szwedów nazajutrz bić, aby się w łaski Kazimierzowi wkupić. Ciężko uderzać w pokorę, ale musimy! Daj tylko Bóg, żeby mnie przyjęto i żebym cały wyszedł, substancji wszystkiej nie straciwszy. W Bogu tylko ufność, ale bojaźni trudno się uchronić i trzeba złe przewidywać. Dlatego, co można z majętności za gotowy grosz zastawić albo i przedać, to uczyń, choćby z konfederatami pocichu w praktyki wejść. Sam z całym taborem jedź do Birż, jako że stamtąd do Kurlandji bliżej. Radziłbym ci do Prus, ale tam wkrótce przed ogniem i mieczem nie będzie bezpieczno, bo zaraz po wzięciu Warszawy ordynowano Babinicza, aby przez Prusy na Litwę szedł rebelję ekscytować, a po drodze palił i ścinał. A wiesz, że on to potrafi. Chcieliśmy go złowić u Buga

i sam Steinbok wysłał nań znaczny podjazd, z którego ni zwiastun klęski nie wrócił. Nie bierz tego na się, abyś miał się z Babiniczem mierzyć, bo nie zdużasz, jeno do Birż pośpieszaj.

Febris opuściła mnie zupełnie, ile że tu wszędy wysokie i suche równie, nie takie paludes, jako na Żmudzi. Bogu cię polecam etc.“.

O ile pan starosta uradował się, iż książę żyw i zdrowy, o tyle zatroskały go wielce nowiny. Jeżeli bowiem książę przewidywał, że nawet wygrana walna bitwa nie zdoła zbyt poprawić zachwianej fortuny szwedzkiej, to czego należało się spodziewać w przyszłości? Być może, że książę zdoła się uchronić od zagłady pod płaszczem chytrego elektora, a on, pan Sakowicz, pod książęcym, lecz co czynić tymczasem? Iść do Prus?

Pan Sakowicz nie potrzebował rad książęcych, aby nie wchodzić w drogę Babiniczowi. Brakło mu do tego zarówno sił, jak chęci. Pozostawały Birże, ale i to zbyt późno! Na drodze do nich leży partja billewiczowska, leży kopa innych, szlacheckich, chłopskich, księżych i Bóg wie nie jakich, które na samą wieść połączą się i rozniosą go, jak wicher suche liście, a choćby się nie połączyły, choćby uprzedzić je szybkim, a śmiałym pochodem, trzeba po drodze w każdej wsi, na każdem bagnie, w każdem polu i lesie staczać nową bitwę. Jakieżby siły mieć należało, by choć w trzydzieści koni dojść do Birż? Więc zostać w Taurogach? I to źle, bo tymczasem przyjdzie na czele potężnego tatarskiego zastępu straszny Babinicz; wszystkie partje zlecą się do niego i zaleje Taurogi jak powódź i zemstę taką wywrze, a jakiej ludzie dotąd nie słyszeli.

Pierwszy raz w życiu poczuł zuchwały doniedawna starosta, że brak mu rady w głowie, mocy w przedsięwzięciu, wyboru w niebezpieczeństwie.

I na drugi dzień zwołał na radę Bützowa, Brauna i kilku znaczniejszych oficerów.

Postanowiono zostać w Taurogach i czekać na nowiny z pod Warszawy.

Lecz Braun z tej narady udał się wprost na inną, mianowicie do Anusi Borzobohatej.

Długo, długo naradzali się ze sobą, nakoniec Braun wyszedł z twarzą wielce poruszoną. Anusia zaś wpadła, jak burza, do Oleńki.

— Oleńka! przyszedł czas! — krzyknęła zaraz w progu. — Musimy uciekać!

— Kiedy? — spytała dzielna dziewczyna, bladnąc nieco, lecz wstając zaraz, na znak natychmiastowej gotowości.

— Jutro, jutro! Braun ma komendę, a Sakowicz będzie spał w mieście, bo go pan Dzieszuk na ucztę zaprosi. Pan Dzieszuk dawno namówion i do wina czegoś mu namiesza. Braun powiada, że sam pójdzie i pięćdziesiąt koni wyprowadzi. Oj, Oleńka! Oleńka, jaka ja szczęśliwa! jaka ja szczęśliwa!

Tu Anusia rzuciła się na szyję Billewiczówny i poczęła ją ściskać z takim wybuchem radości, że aż ta zdziwiona spytała:

— Co ci jest, Anusiu? Wszakże mogłaś Brauna dawno do tego skłonić?

— Mogłam skłonić? Tak, mogłam! To ja ci jeszcze nic nie mówiłam? O Boże! Boże! Nic nie wiesz? Pan Babinicz tu idzie! Sakowicz ze strachu mrze i wszyscy oni!... Pan Babinicz idzie! pali! ścina! Podjazd jeden zniósł zeszczętem, samego Steinboka poraził i idzie wielkiemi pochodami jakby się śpieszył! A do kogóż on się tu może śpieszyć? Powiedz, czy ja nie głupia?

Tu łzy błysnęły w Anusinych źrenicach, Oleńka zaś złożyła ręce jak do modlitwy i wzniósłszy oczy, rzekła:

— Do kogokolwiek się śpieszy, niech Bóg prostuje drogi jego, niech go błogosławi i chroni!

ROZDZIAŁ IX.

Pan Kmicic, chcąc się przedostać od Warszawy ku Prusom Książęcym i Litwie, rzeczywiście niełatwe miał zaraz w początkach zadanie, bo nie dalej jak w Serocku stała wielka potęga szwedzka. Karol Gustaw kazał jej swego czasu umyślnie tam stanąć, aby przeszkadzała oblężeniu Warszawy, lecz ponieważ Warszawa była już wzięta, przeto armja ta nie miała tymczasem nic lepszego do roboty, jak nie puszczać oddziałów, które Jan Kazimierz chciałby na Litwę lub do Prus posłać. Stał na jej czele Duglas, biegły wojownik, wyćwiczony jak żaden ze szwedzkich jenerałów w doraźnej wojnie, i dwóch zdrajców polskich: Radziejowski i Radziwiłł. Było z nimi dwa tysiące wybornej piechoty, a drugie tyle jazdy i artylerji. Wodzowie, zasłyszawszy o ekspedycji Kmicica, gdy i tak trzeba im było zbliżyć się ku Litwie dla ratowania na nowo obleganego przez Mazurów i Podlasian Tykocina, rozciągnęli szeroko na pana Andrzeja sieci, w trójkącie nad Bugiem, między Serockiem z jednej, Złotoryją z drugiej i Ostrołęką na szczycie.

Kmicic zaś musiał przez ów trójkąt przechodzić, bo spieszył się, a tamtędy była mu droga najbliższa. Wcześnie też pomiarkował się, że jest w sieci, ale że przywykł do tego sposobu wojowania, więc się nie zrażał. Liczył na to, że sieć ta zbyt jest rozciągnięta i dlatego oka w niej tak szerokie, iż się w razie potrzeby przedostać przez nie zdoła. Co więcej: jakkolwiek polowano na niego pilnie, on nietylko kluczył, nietylko się wymykał, ale i sam polował. Najprzód przeszedł Bug za Serockiem, dotarł brzegiem rzeki do Wyszkowa, w Brańszczyku zniósł zeszczętem trzysta koni wysłanych na podjazd, tak, iż jak książę pisał, ni zwiastun klęski nie został. Sam Duglas nacisnął go w Długosiodle, lecz on rozbiwszy jazdę, przedostał się poza nią i zamiast umykać co duchu, szedł im na oczach aż do Narwi, którą wpław przebył. Duglas został nad jej brzegiem, czekając na promy, ale nim je sprowadzono, Kmicic głuchą nocą wrócił

się znów przez rzekę i uderzywszy na przednie straże szwedzkie, wzniecił popłoch i zamieszanie w całej Duglasowej dywizji.

Zdumiał się tym postępkiem stary jenerał, lecz nazajutrz zdumienie jego jeszcze było większe, gdy dowiedział się, iż Kmicic obszedł armję i wróciwszy na miejsce, z którego ruszono go jak zwierza, zagarnął w Brańszczyku podążające za wojskiem wozy szwedzkie wraz z łupami i kasą, wyciąwszy przytem pięćdziesiąt piechoty konwoju.

Upływały czasem całe dnie, że Szwedzi widzieli jego Tatarów gołem okiem na krańcu widnokręgu, a dosięgnąć ich nie mogli. Zato pan Andrzej co chwila coś urywał. Żołnierz szwedzki nużył się, a polskie chorągwie, które trzymały się jeszcze przy Radziejowskim, lub z dysydentów złożone, służyły nieszczerze. Natomiast ludność wysługiwała się z zapałem głośnemu partyzantowi. Wiedział o każdym ruchu, o najmniejszym podjeździe, o każdym wozie, który wyruszał naprzód lub pozostawał wtyle. Częstokroć zdawało się, że igra ze Szwedami, ale były to igraszki tygrysie. Jeńców nie żywił, kazał ich wieszać Tatarom, gdyż tak samo zresztą czynili w całej Rzeczypospolitej Szwedzi. Chwilami, rzekłbyś, napadała go wściekłość niepohamowana, bo ze ślepem zuchwalstwem rzucał się na przeważne siły.

— Warjat dowodzi tym oddziałem — mówił o nim Duglas.

— Albo wściekły pies! — odpowiedział Radziejowski.

Bogusław był zdania, że jedno i drugie, ale podszyte znamienitym żołnierzem. Z chlubą też opowiadał jenerałom, że tego kawalera po dwakroć własną ręką zwalił na ziemię.

Jakoż na niego najzacieklej następował pan Babinicz. Szukał go widocznie; sam ścigany, ścigał.

Duglas odgadł, że musi być w tem jakaś prywatna nienawiść.

Książę nie zapierał, chociaż objaśnień żadnych nie dawał. Płacił też Babiniczowi równą monetą, bo idąc za przykładem Chowańskiego, wyznaczył cenę na jego głowę,

a gdy to nie pomogło, zamyślił skorzystać z jego ku sobie nienawiści i właśnie przez nią w potrzask go wprowadzić.

— Wstyd nam już porać się tak długo z tym rozbójnikiem, — rzekł do Duglasa i Radziejowskiego, — kręci się on koło nas, jak wilk koło owczarni i z pomiędzy palców wymyka. Pójdę mu tedy z niewielkim oddziałem na przynętę, a gdy na mnie uderzy, póty go na sobie zatrzymam, dopóki wasze dostojności nie nadciągniecie; wówczas nie wypuścim raka z kobieli.

Duglas, któremu gonitwa dawno się już uprzykrzyła, mały tylko stawiał opór, twierdząc, że nie może i nie powinien życia tak wielkiego dostojnika i krewnego królów dla schwytania jednego grasanta azardować. Lecz gdy książę nalegał, zgodził się.

Ułożono, że książę pójdzie z oddziałem pięciuset jeźdźców, ale każdemu rajtarowi wsadzi za plecy piechura z muszkietem. Fortel ten miał posłużyć do wprowadzenia w błąd Babinicza.

— Nie wytrzyma on, gdy usłyszy o pięciuset tylko rajtarach i uderzy niezawodnie; — mówił książę — tymczasem, gdy mu piechota w oczy plunie, rozproszą się jego Tatarzy jak piasek... i sam polegnie lub żywcem go dostaniem...

Plan ów przeprowadzono szybko i z wielką dokładnością. Najprzód puszczano przez dwa dni wieść, iż podjazd z pięciuset koni ma być pod Bogusławem wysłany. Jenerałowie liczyli na pewno, że miejscowa ludność uwiadomi o tem Babinicza. Jakoż tak się stało.

Książę ruszył głęboką i ciemną nocą ku Wąsowu i Jelonce, przeszedł w Czerewinie rzekę i zostawiwszy jazdę w gołem polu, zasadził piechotę w pobliskich zagajnikach, aby niespodzianie wychylić się mogła. Tymczasem Duglas miał się posuwać brzegiem Narwi, udając, że idzie ku Ostrołęce. Radziejowski zaś zachodzić miał z lżejszemi chorągwiami jazdy od Księżopola.

Wszyscy trzej wodzowie nie wiedzieli dobrze, gdzie w tej chwili jest Babinicz, bo od chłopów niepodobna się było

dowiedzieć, rajtarowie zaś nie umieli chwytać Tatarów. Przypuszczał jednak Duglas, że główna siła Babiniczowa stoi w Śniadowie i chciał ją otoczyć tak, aby, jeśli Babinicz ruszy na księcia Bogusława, zajść mu od granicy litewskiej i przeciąć odwrót.

Wszystko zdało się sprzyjać szwedzkim zamiarom. Kmicic istotnie był w Śniadowie i zaledwie doszła go wiadomość o Bogusławowym podjeździe, zapadł natychmiast w lasy, aby niespodzianie wynurzyć się z nich pod Czerewinem.

Duglas, zawróciwszy od Narwi, trafił po kilku dniach na ślady tatarskiego pochodu i szedł tym samym szlakiem, zatem już ztyłu za Babiniczem. Upał mordował straszliwie konie i ludzi poprzybieranych w żalazne blachy, lecz jenerał szedł naprzód, nie zważając na te przeszkody, pewien już zupełnie, że zejdzie Babiniczową watahę niespodzianie i w chwili bitwy.

Nakoniec po dwóch dniach pochodu dotarł tak blisko Czerewina, że dymy chałup widać było. Wówczas stanął i poobsadzawszy wszystkie przejścia, najmniejsze ścieżki, czekał.

Niektórzy oficerowie chcieli iść na ochotnika i zaraz uderzać, lecz on wstrzymał ich, mówiąc:

— Babinicz po uderzeniu na księcia, gdy pozna, że nie z samą jazdą ale i z piechotą ma do czynienia, cofać się musi... a może wracać tylko dawnym szlakiem... wówczas zaś wpadnie nam, jakby w otwarte ramiona.

Jakoż pozostawało tylko nadstawiać ucha, rychło odezwą się wycia tatarskie i pierwsze strzały muszkietów.

Tymczasem upłynął jeden dzień i w lasach czerewińskich cicho było, jak gdyby nigdy nie postała w nich noga żołnierska.

Duglas począł się niecierpliwić i pod noc wysłał maleńki podjazd ku polom, przykazawszy mu największą ostrożność.

Podjazd wrócił głęboką nocą, nic nie widziawszy i ni-

czego nie sprawdziwszy. Świtaniem ruszył sam Duglas z całą siłą naprzód.

Po kilku godzinach drogi dotarł do miejsca, na którem pełno było śladów żołnierskiego postoju. Znaleziono resztki sucharów, potłuczone szkło, kawałki ubioru i pas z ładunkami, jakich używali piechurowie szwedzcy; niewątpliwie więc stała w tem miejscu Bogusławowa piechota, lecz nigdzie nie było jej widać. Dalej na mokrej łące przednia straż Duglasowa spostrzegła mnóstwo wycisków ciężkich rajtarskich koni, na brzegu zaś ślady tatarskich bachmatów; jeszcze dalej leżało padło jednego konia, z którego wilcy świeżo wyciągnęli wnętrzności. O staję stamtąd znaleziono strzałę tatarską bez grotu, ale z całkowitą brzechwą i bełtem. Widocznie Bogusław cofał się, a Babinicz szedł za nim.

Duglas zrozumiał, że musiało zajść coś niezwykłego.

Lecz co? Na to nie było odpowiedzi. Duglas zamyślił się. Nagle zadumę przerwał mu oficer z przedniej straży.

— Wasza dostojność! — rzekł. — Przez zarośla widać o staję kilku ludzi w kupie. Nie ruszają się, jakby wartownicy. Wstrzymałem straż, by waszej dostojności o tem donieść.

— Jezdni, czy piesi? — spytał Duglas.

— Piesi, jest ich czterech, czy pięciu w kupie, dobrze policzyć nie można, bo gałęzie zasłaniają. Ale migają się żółto, jakby nasi muszkietnicy.

Duglas ścisnął kolanami konia, szybko popędził do pierwszej straży i ruszył z nią naprzód. Przez rzednące zarośla w dalszym głębokim lesie widać było grupę żołnierzy zupełnie nieruchomą stojącą pod drzewem.

— Nasi, nasi! — rzekł Duglas. — Książę musi być w pobliżu.

— Dziw! — ozwał się po chwili oficer — stoją na warcie i żaden się nie ozwie, choć hałaśliwie idziemy. — Wtem zarośla skończyły się i odsłonił się las niepodszyty. Wówczas nadjeżdżający ujrzeli czterech ludzi stojących w kupie, tuż jeden obok drugiego, jakby patrzyli czegoś

w ziemię. Od głowy podnosiło się każdemu czarne pasmo prosto ku górze.

— Wasza dostojność! — rzekł nagle oficer — ci ludzie wiszą!

— Tak jest! — odpowiedział Duglas.

I przyśpieszywszy kroku, stanęli na chwilę tuż koło trupów. Czterech piechurów wisiało na pętlach razem, jak kupa drozdów, z nogami ledwie na cal wyniesionemi nad ziemię, bo na niskiej gałęzi.

Duglas popatrzył na nich dość obojętnie, poczem rzekł jakby do samego siebie:

— To wiemy, że i książę i Babinicz tędy przechodzili.

I zamyślił się znowu, bo sam dobrze nie wiedział, czy ma iść dalej tym leśnym szlakiem, czy się przebrać na wielki gościniec ostrołęcki.

Tymczasem w pół godziny później odkryto znów dwa trupy. Widocznie byli to maruderowie lub chorzy, których babiniczowscy Tatarzy schwytali, postępując za księciem.

Lecz czemu książę się cofał?

Duglas znał go zbyt dobrze, to jest zarówno jego odwagę, jak doświadczenie wojenne, ażeby chociaż na chwilę przypuścił, że książę nie miał dostatecznych przyczyn. Musiało tam coś zajść koniecznie.

Na drugi dzień dopiero sprawa się wyjaśniła. Mianowicie przyjechał z podjazdem w trzydzieści koni pan Bies Kornia od księcia Bogusława, z doniesieniem, iż król Jan Kazimierz wyprawił za Bug przeciw Duglasowi pana hetmana polnego Gosiewskiego w sześć tysięcy litewskich i tatarskich koni.

— Dowiedzieliśmy się o tem, — mówił pan Bies, — zanim Babinicz nadciągnął, bo szedł bardzo ostrożnie i często przypadał, zatem marudnie. Pan Gosiewski jest w czterech lub pięciu milach. Książę powziąwszy wiadomość, cofać się śpiesznie musiał, aby się z panem Radziejowskim połączyć, który łatwo mógł być zniesion. Ale szybko idąc, połączyliśmy się szczęśliwie. Zaraz też książę podjazdy ordynował po

kilkanaście koni we wszsytkie strony, z doniesieniem do waszej dostojności. Siła ich wpadnie w tatarskie albo chłopskie ręce, ale w takiej wojnie nie może inaczej być.

Gdzie są książę i pan Radziejowski?

— W dwóch milach stąd. u brzegu.

— Książę całą-li siłę wprowadził?

— Piechotę zostawić musiał, która się przebiera co najgęstrzemi lasami, by się od Tatarów uchronić.

— Taka jazda jak tatarska, by i największemi gąszczami iść umie. Nie spodziewam się już ujrzeć tej piechoty. Ale niczyjej w tem winy niema i książę postąpił jako wódz doświadczony.

— Książę rzucił jeden znaczniejszy podjazd ku Ostrołęce, aby pana podskarbiego litewskiego w błąd wprowadzić. Ruszą oni tam nie mieszkając, w tej myśli, że całe nasze wojsko na Ostrołękę poszło.

— To dobrze! — rzekł ucieszony Duglas. — Damy panu podskarbiemu rady.

I nie tracąc chwili, nakazał pochód, aby się z księciem Bogusławem i Radziejowskim połączyć. Nastąpiło to tego samego dnia, ku wielkiej uciesze, zwłaszcza pana Radziejowskiego, który niewoli gorzej od samej śmierci się obawiął. wiedział bowiem, że jako zdrajca i sprawca wszystkich nieszczęść Rzeczypospolitej srodze odpowiadaćby musiał.

Teraz wszelako, po połączeniu się z Duglasem, armja szwedzka wynosiła przeszło cztery tysiące ludzi, zatem mogła stawić skuteczny opór siłom pana hetmana polnego. Miał on wprawdzie sześć tysięcy jazdy, lecz Tatarzy, prócz Babiniczowych, bardzo wyćwiczonych. użyci być we wstępnym boju nie mogli, a i sam pan Gosiewski, lubo wojownik biegły i uczony, nie umiał śladem Czarnieckiego natchnąć ludzi takim zapałem, przeciw któremu nic ostać się nie zdołało.

Duglas jednak w głowę zachodził, w jakim celu Jan Kazimierz mógł wysłać hetmana polnego za Bug. Król szwedzki wraz z elektorem szedł na Warszawę, walna bitwa

musiała więc tam prędzej później nastąpić. A lubo Kazimierz stał już na czele potęgi, liczebnie od Szwedów i Brandenburczyków większej, jednakże sześć tysięcy bitnego ludu stanowiło zbyt wielki zasiłek, aby się król polski miał go dobrowolnie pozbawiać.

Prawda, że i pan Gosiewski wyrwał Babinicza z toni, ale przecie na ratunek Babinicza nie potrzebował król całej dywizji wysyłać. Był zatem w tej wyprawie jakiś cel ukryty, którego jenerał szwedzki, mimo całej przenikliwości, odgadnąć nie umiał.

W liście króla szwedzkiego, nadesłanym w tydzień później, znać było wielki niepokój i jakoby przerażenie z powodu tej ekspedycji, ale kilka słów wyjaśniało jej przyczyny. Wedle zdania Karola Gustawa, pan hetman nie poto był posłany, by na Duglasową armję uderzać, by iść na Litwę, tamtejsze powstanie wspomagać, bo tam i tak Szwedzi już nastarczyć nie mogli, ale poto, żeby Prusom Książęcym, mianowicie wschodniej ich części, całkowicie wojsk pozbawionej, zagrozić.

„Obliczono na to, — pisał król, — by elektora w wierności dla malborskiego traktatu i dla nas zachwiać, co łatwo może się stać, gdyż on z Chrystusem przeciw djabłu i z djabłem przeciw Chrystusowi jednocześnie wejść w sojusz gotowy, aby od obydwu skorzystać“.

List kończył się poleceniem, aby Duglas starał się wszelkiemi siłami pana hetmana do Prus nie dopuścić, który jeśli w ciągu kilku tygodni wkroczyć tam nie zdoła, niechybnie pod Warszawę wracać musi.

Duglas uznał, że zadanie, jakie nań włożono, wcale sił jego nie przechodzi. Jeszcze niedawno stawiał on z pewnem powodzeniem czoło samemu Czarnieckiemu, dlatego Gosiewski nie był mu straszny. Nie spodziewał się wprawdzie znieść jego dywizji, ale był pewien, że potrafi ją osadzić i wszelkie jej ruchy zahamować.

Jakoż od tej chwili poczęły się bardzo sztuczne pochody obu armij, które unikając wzajemnie walnej bitwy,

starały się obejść jedna drugą. Obaj wodzowie godnie współzawodniczyli ze sobą, jednakże doświadczony Duglas o tyle był górą, że wyżej niż do Ostrołęki pana hetmana polnego nie puścił.

Zaś ocalony od Bogusławowego podejścia pan Babinicz wcale się także z połączeniem z litewską dywizją nie śpieszył, albowiem z wielką gorliwością zajął się ową piechotą, którą Bogusław w śpiesznym swym pochodzie ku Radziejowskiemu musiał po drodze zostawić. Tatarzy jego, prowadzeni przez miejscowych leśników, szli za nią dzień i noc, łuszcząc co chwila nieostrożnych lub tych. którzy pozostawali wtyle. Brak żywności zmusił nakoniec Szwedów do podzielenia się na małe oddziały, które łatwiej o spyżę starać się mogły, ale tego tylko czekał pan Babinicz.

Podzieliwszy swą watahę na trzy komendy. pod dowództwem własnem, Akbah-Ułana i Soroki, w kilka dni wygniótł większą część owych piechurów. Była to jakby nieustająca obława na ludzi po gąszczach leśnych, łozach i trzcinach. pełna hałasu, wrzasków, nawoływań. strzałów i śmierci.

Szeroka rozławiła ona imię Babinicza między Mazurami. Watahy zebrały się i połączyły z panem Gosiewskim dopiero pod samą Ostrołęką, kiedy pan hetman polny, którego wyprawa była tylko demonstracją. odebrał już rozkaz królewski ciągnienia zpowrotem pod Warszawę. Krótko tylko mógł pan Babinicz cieszyć się znajomymi, mianowicie panem Zagłobą i Wołodyjowskim. którzy na czele laudańskiej chorągwi towarzyszyli hetmanowi. Witali się jednak bardzo serdecznie, bo już była wielka przyjaźń i zażyłość pomiędzy nimi. Obu młodym pułkownikom markotno było wielce, że nie mogli tym razem nic wskórać przeciw Bogusławowi, ale pan Zagłoba pocieszał ich, dolewając im gęsto do szklanic i tak mówiąc:

— Nic to! Już moja głowa od maja pracuje nad fortelami. a nigdy jeszcze nadarmo jej nie łamałem. Mam

kilka gotowych, bardzo przednich, jeno do aplikowania już czasu niema, chyba pod Warszawą, dokąd wszyscy ruszymy.

— Ja muszę do Prus! — odrzekł Babinicz — i pod Warszawą nie będę.

— Zali się do Prus dostać zdołasz? — spytał Wołodyjowski.

— Jak Bóg na niebie, tak się przemknę i to święcie wam przyrzekam, że bigosu narobię niepośledniego, bo jużci powiem moim Tatarom: „Hulaj dusza!“ Radziby oni i tu nożami po gardłach ludziom przeciągać, alem im zapowiedział, że za każdy gwałt powróz! Zato w Prusiech i własnej ochocie pofolguję. Zaśbym nie miał się przemknąć! Wyście nie mogli, ale to inna rzecz, bo łatwiej większej sile drogę zagrodzić, niżli takiej wataże, jako jest moja, z którą ukryć się łatwo. Nieraz ja już w trzcinach siedział, a Duglasowi przechodzili tuż tuż, ani o tem wiedząc. Duglas też pójdzie pewnie za wami i mnie tu pole wolne odsłoni.

— Aleś go też, słyszę, zmachał! — rzekł z zadowoleniem Wołodyjowski.

— Ha, szelma! — dodał pan Zagłoba. — Codzień musiał koszulę brać, tak się pocił. Jużeś waćpan i Chowańskiego sprawniej nie podchodził i to ci muszę przyznać, że sambym lepiej nie potrafił, gdybym się na waćpanowem miejscu znajdował, chociaż jeszcze pan Koniecpolski powiadał, że do podjazdowej wojny niemasz nad Zagłobę.

— Widzi mi się, — rzekł do Kmicica Wołodyjowski, — iż jeśli Duglas wróci, to Radziwiłła tu zostawi, by na cię następował.

— Daj to Bóg! Tę samą mam nadzieję — odparł żywo Kmicic. — Jakbym ja zaczął jego szukać, a on mnie także, tobyśmy się przecie znaleźli. Trzeci raz już przeze mnie nie przejdzie, a jeśli przejdzie, to się chyba więcej nie podniosę. Twoje arkana pamiętam dobrze i wszystkie sztychy łubiańskie mam jako pacierz w pamięci. Codzień ich też z Soroką próbuję, ażeby sobie rękę wkładać.

— Co tam fortele! — zawołał Wołodyjowski — szabla grunt!

Dotknęła nieco ta maksyma pana Zagłobę. który też zaraz odrzekł:

— Każdy wiatrak myśli, że grunt skrzydłami machać, a wiesz Michałku czemu? Bo ma plewy pod dachem, alias w głowie. Sztuka wojenna także na fortelach polega, inaczej Roch mógłby być hetmanem wielkim, a ty polnym.

— A co pan Kowalski porabia? — spytał Kmicic.

— Pan Kowalski? Już żelazny hełm na głowie nosi i słusznie, bo kapusta z sagana najlepsza. Obłowił się okrutnie w Warszawie, zdobył się na poczet zacny i poszedł do husarzów, do kniazia Połubińskiego, a wszystko dlatego, żeby móc kopją się do Carolusa złożyć. Przychodzi do nas codzień pod namiot i ślipiani łypie, czyli szyja od gąsiora ze słomy nie wygląda. Nie mogę tego chłopca od pijaństwa odzwyczaić. Nanic dobry przykład. Alem mu prorokował, że mu na złe wyjdzie to chorągwi laudańskiej opuszczenie. Szelma! niewdzięcznik! za tyle dobrodziejstw, którem mu wyświadczył, opuścił mnie taki syn dla kopji!

— Waćpanżeś jego chował?

— Mój mosanie! nie czyńże mnie niedźwiednikiem. Panu Sapieże, któren mnie o to pytał, powiedziałem, że jednego z Rochem mieli praeceptora, ale nie mnie, bo ja za młodych lat byłem bednarzem i klepki umiałem dobrze wstawiać.

— Najprzód, tegobyś waćpan panu Sapieże nie śmiał powiedzieć, — odpowiedział Wołodyjowski, — a po wtóre, niby mruczysz na Kowalskiego, a miłujesz go jako źrenicę oka.

— Wolę go od ciebie, panie Michale, gdyż chrabąszczów nigdy znosić nie mogłem, ani kochliwych mydłów, którzy na widok pierwszej łepszej niewiasty koziołki zaczynają zaraz przewracać, jako niemieckie muce.

— Albo jako te małpy u Kazanowskich, z któremi waćpan wojował!

— Śmiejcie się, śmiejcie, będziecie drugi raz sami Warszawę zdobywali!

— Toś to niby waćpan ją zdobył?

— A kto Krakowską bramę expugnavit? Kto niewolę dla jenerałów obmyślił. Siedzą teraz na chlebie i wodzie w Zamościu, a co Wittemberg spojrzy na Wrangla to powiada: „Zagłoba nas tu wsadził!“ — i oba w płacz. Żeby pan Sapieha nie był chory i żeby tu był obecny, powiedziałby wam, kto szwedzkiego kleszcza z warszawskiej skóry najpierwszy wyciągnął.

— Dlaboga! — rzekł Kmicic — uczyńcież to dla mnie i przyszlijcie mi wiadomość o onej bitwie, na którą się pod Warszawą zbiera. Dnie i noce będę na palcach liczył i spokoju nie zaznam, póki się czego pewnego nie dowiem.

Zagłoba przyłożył palec do czoła.

— Posłuchajcie mojej polityki, — rzekł, — bo co powiem, to się tak pewno spełni... jako i to jest pewne, że ta szklanica stoi przede mną... Czy nie stoi? co?

— Stoi, stoi! Mów waść!

— Tę bitwę walną albo przegramy, albo wygramy...

— To każdy wie! — wtrącił Wołodyjowski.

— Milczałbyś, panie Michale, i uczył się. Suponując, że tę bitwę przegramy, wiesz, co dalej będzie?... Widzisz! nie wiesz, bo już swemi szydełkami pod nosem, jak zając, ruszasz... Otóż ja mówię wam, że nic nie będzie...

Kmicic, który był bardzo żywy, zerwał się, stuknął szklanką o stół i zawołał:

— Marudzisz waść!

— Mówię, że nic nie będzie! — odparł Zagłoba. — Młodziście, to tego nie rozumiecie, że jako teraz rzeczy stoją, nasz król, nasza miła ojczyzna, nasze wojska mogą pięćdziesiąt bitew jedna po drugiej przegrać... i po staremu wojna pójdzie dalej, szlachta będzie się zbierała, z nią i wszystkie podlejsze stany... I nie uda się raz, to uda się drugi, dopóki moc nieprzyjacielska nie stopnieje. Ale jak Szwedzi jedną batalję większą przegrają, to ich djabli bez

ratunku wezmą a elektora z nimi w dodatku.

Tu ożywił się Zagłoba, wychylił szklankę, palnął nią o stół i mówił dalej:

— Słuchajcie, bo tego z lada gęby nie usłyszycie, bo nie każdy umie patrzyć generalnie. Nie jeden myśli: co tu nas jeszcze czeka? ile bitew, ile klęsk, o które, wojując z takim Carolusem, nietrudno... ile łez? ile krwi wylanej? ile ciężkich paroksyzmów? I niejeden wątpi i niejeden przeciw miłosierdziu Bożemu i Matce Najświętszej bluźni... A ja wam powiadam tak: Wiecie, co nieprzyjaciół onych wandalskich czeka? — zguba; wiecie, co nas czeka? — zwycięstwo! Pobiją nas jeszcze sto razy... dobrze... ale my pobijemy sto pierwszy i będzie koniec.

Rzekłszy to pan Zagłoba, przymknął na chwilę oczy, lecz zaraz je otworzył, spojrzał błyszczącemi źrenicami przed siebie i nagle zakrzyknął całą siłą piersi:

— Zwycięstwo! zwycięstwo!

Kmicic aż zaczerwienił się z radości.

— Dalibóg, ma rację! dalibóg, słusznie mówi! Nie może inaczej być! Musi taki przyjść koniec!

— Już to trzeba waści przyznać, że ci tu nie brakuje!— rzekł Wołodyjowski, palnąwszy się w głowę. — Rzeczpospolitą można zająć, ale dosiedzieć w niej nie lża... i tak wkońcu trzeba się będzie wynieść.

— Ha! co? nie brakuje! — rzekł uradowany z pochwały Zagłoba. — Kiedy tak, to wam jeszcze będę prorokował. Bóg przy sprawiedliwych! Waćpan (tu zwrócił się do Kmicica) zdrajcę Radziwiłła pokonasz, do Taurogów pójdziesz, dziewczynę odbierzesz, za żonę ją pojmiesz, potomstwo wychowasz... Niech pypcia na języku dostanę, jeżeli tak nie będzie, jakom rzekł... Dlaboga! tylko nie uduś!

Słusznie zastrzegał się pan Zagłoba, bo pan Kmicic porwał go w swoje ramiona, podniósł w górę i tak ściskać począł, że aż oczy staremu wyszły na wierzch ledwie zaś stanął na własnych nogach, ledwie odsapnął, już pan Wołodyjowski, rozochocony wielce, chwycił go za rękę.

— Moja kolej! Mów waćpan, co mnie czeka?

— Boże ci błogosław, panie Michale!... Wywiedzie ci twoja misterna dzierlatka całe stadko... nie bój się. Uf! Vivat! — krzyknął Wołodyjowski.

— Ale pierwej ze Szwedami koniec uczynim — dodał Zagłoba.

— Uczynim! uczynim! — zawołali, trzaskając szablami młodzi pułkownicy.

— Vivat! zwycięstwo!

ROZDZIAŁ X.

W tydzień później przedostał się pan Kmicic w granice Prus elektorskich pod Rajgrodem. Przyszło mu to dość łatwo, gdyż przed samem odejściem pana hetmana polnego zapadł w lasy tak skrycie, iż Duglas był pewien, że i jego wataha pociągnęła razem z całą dywizją tatarsko-litewską pod Warszawę i małe tylko załogi po zameczkach do obrony tych stron zostawił.

Duglas odszedł także wślad za Gosiewskim, z nim i Radziejowski i Radziwiłł.

Kmicic dowiedział się o tem jeszcze przed przejściem granicy i zgryzł się srodze, że nie będzie się mógł oko w oko ze swym śmiertelnym wrogiem spotkać i że kara może Bogusława dojść z innych rąk, mianowicie z rąk pana Wołodyjowskiego, który także przeciw niemu ślubował.

Zaczem, nie mogąc wywrzeć zemsty za krzywdy Rzeczypospolitej i swoje na osobie zdrajcy, wywarł ją w straszliwy sposób na posiadłościach elektorskich.

Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zaczerwieniło się łunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi, deptanych stopą wojny. Kto polską mową o litość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany; ale natomiast niemieckie osady, kolonje, wsie i miasteczka zmieniały się w rzekę ognia, a przerażony mieszkaniec szedł pod nóż.

I nie tak prędko oliwa rozlewa się po morzu, gdy ją żeglarze dla uspokojenia fal wyleją, jak rozlał się ów czambuł Tatarów i wolentarzy po spokojnych i ubezpieczonych dotąd stronach. Zdawało się, iż każdy Tatar umiał się dwoić i troić, być naraz w kilku miejscach, palić, ścinać. Nie oszczędzano nawet łanów zbożowych, nawet drzew w sadach.

Tyle przecież czasu trzymał pan Kmicic na smyczy swych Tatarów, że wreszcie, gdy ich puścił nakształt stada drapieżnych ptaków, prawie zapamiętali się wśród rzezi i zniszczenia. Jeden przesadzał się nad drugiego, a że jasyru brać nie mogli, więc pławili się od rana do wieczora we krwi ludzkiej.

Sam pan Kmicic, mający w sercu niemało dzikości, dał jej folgę zupełną i choć własnych rąk we krwi bezbronnych nie walał, przecie patrzył z zadowoleniem na płynącą. Na duszy zasię był spokojny i sumienie nic mu nie wyrzucało, bo była to krew niepolska i w dodatku heretycka, więc nawet sądził, że miłą rzecz Bogu, a zwłaszcza świętym Pańskim czyni.

Przecie elektor, lennik, zatem sługa Rzeczypospolitej, z dobrodziejstw jej żyjący, pierwszy podniósł świętokradzką rękę na swą królową i panią, więc należała mu się kara, więc pan Kmicic był tylko narzędziem gniewu Bożego.

Dlatego co wieczora spokojnie odmawiał różaniec przy blasku płonących osad niemieckich, a gdy krzyki mordowanych zmyliły mu rachunek, tedy zaczynał od początku, aby duszy grzechem niedbalstwa w służbie bożej nie obciążyć.

Nie same jednak okrutne uczucia w sercu hodował, bo oprócz pobożności, ożywiały je różne wzruszenia, związane pamięcią z dawnemi laty. Często więc przychodziły mu na myśl owe czasy, w których Chowańskiego z tak wielką sławą podchodził i dawni kompanjonowie stawali mu jakby żywi przed oczyma: Kokosiński, olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus, raby Ranicki z senatorską krwią w żyłach, Uhlik na

czekaniku grywający. Rekuć, na którym krew ludzka nie ciężyła i Zend, ptastwo i wszelkiego zwierza biegle naśladujący.

— Wszyscy oni, prócz może jednego Rekucia, w piekle skwierczą, a ot! użyliby teraz, otby się we krwi ubabrali, grzechu na duszę nie ściągając i z pożytkiem dla Rzeczypospolitej!...

Tu wzdychał pan Andrzej na myśl, jak zgubną rzeczą jest swawola, skoro w zaraniu młodości drogę do pięknych uczynków na wieki wieków zamyka.

Lecz najwięcej wzdychał do Oleńki. Im bardziej zapuszczał się w granice pruskie, tem srożej paliły go rany serca, jakby owe pożary, które rozniecał i dawną miłość zarazem podsycały. Codzień też prawie mówił w swem sercu do dziewczyny:

— Gołąbku najmilszy, możeś tam już o mnie zapomniał, a jeżeli wspomnisz, to jeno niechęć ci serce zaleje; ja zaś daleki, czy bliski, w nocy i we dnie, w pracy dla ojczyzny i trudzie, o tobie ciągle myślę i dusza leci ku tobie przez bory i wody, jak zmęczony ptak, aby zaś u nóg twoich się położyć. Rzeczypospolitej i tobie oddałbym wszystką krew moją, ale gorze mi, jeśli w sercu na wieki banitem mnie ogłosisz!

Tak rozmyślając, szedł coraz wyżej ku północy pasem granicznym, palił i ścinał, nikogo nie żywił. Tęsknota dławiła go okrutna. Chciałby jutro być w Taurogach, a tymczasem droga była jeszcze tak daleka i tak trudna, bo wreszcie poczęło bić we wszystkie dzwony w całej prowincji pruskiej.

Kto żyw chwytał za broń, by dać opór strasznym niszczycielom; sprowadzano prezydja nawet z bardzo odległych miast, formowano pułki nawet z pachołków miejskich i wkrótce wszędy mogło stanąć ze dwudziestu chłopa przeciw jednemu Tatarowi.

Kmicic rzucał się na owe komendy, jak piorun, gromił, rozpraszał, wieszał, wywijał się, krył i znów wypływał na

fali ognia, ale jednak nie mógł już iść tak szybko, jako wprzódy. Nieraz trzeba było tatarskim sposobem zapadać i taić się całemi tygodniami w gąszczu lub trzcinach nad brzegami jezior. Ludność wysypywała się coraz gęściej, jakby na wilka, a on kąsał też jak wilk, co jednem uderzeniem kłów śmierć zadaje i nietylko się bronił, ale zaczepnej wojny nie zaniechał.

Miłując pracę rzetelną, czasem, mimo pościgu, tak długo nie ruszał się z jakiejś okolicy, póki jej mieczem i ogniem na kilka mil nie zniszczył. Nazwisko jego dostało się niewiadomo jakim sposobem do ust ludzkich i grzmiało okryte zgrozą i przerażeniem, aż do brzegów Bałtyku.

Mógł wprawdzie pan Babinicz wejść napowrót w granice Rzeczypospolitej i mimo komend szwedzkich, śpieszniej ruszyć do Taurogów, ale nie chciał tego uczynić, bo pragnął nie sobie tylko, lecz Rzeczypospolitej służyć.

Tymczasem przyszły wieści, które miejscowym mieszkańcom dodały ducha do obrony i zemsty, a srogą żałością przejęły serce pana Babinicza. Gruchnęło o wielkiej bitwie pod Warszawą, którą król polski miał przegrać. — Karol Gustaw i elektor pobili wszystkie wojska Kazimierzowe — powtarzano sobie w Prusach z radością. — Warszawa znów wzięta: największa to w całej wojnie wiktorja i teraz będzie już koniec Rzeczypospolitej.

Wszyscy ludzie, których zagarniali i kładli na węgle dla zeznań Tatarzy, powtarzali to samo; były i przesadne wieści, jako zwykle w czasach wojennych, a niepewnych. Wedle tych wieści, wojska były doszczętnie zniesione, hetmani polegli, a Jan Kazimierz dostał się do niewoli.

Więc wszystko się skończyło? więc owa powstająca i zwycięska Rzeczpospolita była tylko czczem mamidłem? Tyle potęgi, tyle wojsk, tylu wielkich ludzi i znamienitych wojowników: hetmani, król, pan Czarniecki ze swoją niezwyciężoną dywizją, pan marszałek koronny, inni panowie ze swemi pocztami, wszystko przepadło, wszystko jak dym się rozwiało! I niemasz już innych obrońców tego nie-

szczęsnego kraju, prócz luźnych partyj powstańczych, które zapewne na wieść o klęsce jak tuman się rozwieją?!

Pan Kmicic włosy z czupryny darł i ręce łamał, chwytał wilgotną ziemię garściami i do płonącej głowy przyciskał.

— Polegnę i ja! — mówił sobie — ale wprzód ziemia ta krwią spłynie!

I począł wojować jak desperat; nie ukrywał się już więcej, nie zapadał po lasach i trzcinach, śmierci szukał, rzucał się jak szalony na siły trzykroć większe i roznosił je w puch na szablach i kopytach. W Tatarach jego zamarły wszystkie resztki uczuć ludzkich i zmienili się w stado dzikich zwierząt. Drapieżny, ale niezbyt przydatny do walki w otwartem polu lud, nie utraciwszy nic ze swej zdolności do zasadzek i podstępów, przez ciągłą wprawę, przez ciągłe walki, wyćwiczył się tak, że najpierwszej w świecie jeździe mógł pierś w pierś dotrzymać pola i roznosić czworoboki nawet szwedzkiej delekarlijskiej gwardji. W zapasach ze zbrojną chasą pruską stu tych Tatarów rozbijało z łatwością dwieście i trzysta tęgich, zbrojnych w muszkiety i włócznie pachołków.

Kmicic oduczył ich obciążania się łupem, brali tylko pieniądze, a mianowicie złoto, które zaszywali w kulbaki. To też, gdy który poległ, pozostali bili się z wściekłością o jego konia i siodło. Bogacąc się w ten sposób, nie stracili nic ze swej nadluzkiej prawie lotności. Poznawszy, że pod żadnym w świecie wodzem nie mieliby żniw tak obfitych, przywiązali się do Babinicza, jako psy gończe do myśliwca i z prawdziwie mahometańską uczciwością składali po bitwach w ręce Soroki i Kiemliczów lwią część łupów „bagadyrowi" przynależną.

— Ałła! — mawiał Akbah-Ułan — mało ich Bakczysaraj zobaczy, ale ci, którzy wrócą, murzami wszyscy zostaną.

Babinicz, który zdawna umiał się z wojny żywić, zebrał bogactwa potężne; natomiast śmierci, której więcej od złota szukał, nie znalazł.

Upłynął znów miesiąc na harcach i trudach wiarę ludzką przechodzących. Bachmatom, lubo jęczmieniem i pruską pszenicą pasionym, trzeba było koniecznie dać choć parę dni wypoczynku, zatem młody pułkownik, chcąc także wieści zasięgnąć i szczerby w ludziach nowymi wolentarzami zastąpić, cofnął się koło Dospady w granice Rzeczypospolitej.

Wieści wkrótce przyszły i to tak radosne, że Kmicic mało rozumu nie stracił. Okazywało się prawdą, że równie dzielny jak niefortunny Jan Kazimierz, przegrał wielką trzydniową bitwę pod Warszawą, ale z jakiejże przyczyny?

Oto pospolite ruszenie w ogromnej części rozeszło się przedtem do domów, a pozostała część nie biła się już z takim animuszem jak przy wzięciu Warszawy i trzeciego dnia bitwy wszczęła popłoch. Natomiast przez dwa pierwsze dni ważyło się zwycięstwo na stronę polską. Wojska regularne już nie w dorywczej podjazdowej wojnie, ale w wielkiej bitwie z najbardziej wyćwiczonym w Europie żołnierzem okazały taką umiejętność i wytrwałość, że samych jenerałów szwedzkich i brandenburskich ogarnęło zdumienie.

Król Jan Kazimierz nieśmiertelną sławę pozyskał. Mówiono, że okazał się być równym Karolowi Gustawowi wodzem i że gdyby wszystkie jego rozporządzenia spełnione zostały, nieprzyjaciel straciłby walną bitwę i wojna byłaby ukończona.

Kmicic miał już też wiadomości z ust naocznych świadków, natknął się bowiem na szlachtę, która służąc w pospolitakach, brała w bitwie udział. Jeden z nich opowiadał mu o świetnem uderzeniu husarji, w czasie którego sam Carolus, który mimo zaklęć jenerałów, cofać się nie chciał, omal nie zginął. Wszyscy też potwierdzali, że nieprawda, jakoby wojska były zniesione lub, żeby hetmani polegli. Owszem cała potęga, prócz pospolitego ruszenia, pozostała nienaruszona i cofnęła się w dobrym ładzie w dół kraju.

Na moście warszawskim, który się załamał, uroniono

tylko armaty, ale „ducha przewieziono przez Wisłę“. Wojsko klęło się na wszystko, że pod takim wodzem, jak Jan Kazimierz, pobije w następnem spotkaniu Karola Gustawa, elektora i kogo będzie trzeba, bo ta bitwa, to była tylko próba, lubo niepomyślna, ale dobrej otuchy na przyszłość pełna.

Kmicic zachodził w głowę, skąd pierwsze wieści mogły być tak straszne. Wytłumaczono mu, że Karol Gustaw umyślnie porozsyłał przesadzone nowiny, w rzeczy zaś nie bardzo wiedział, co czynić. Oficerowie szwedzcy, których pan Andrzej w tydzień później ułowił, potwierdzili to zdanie. Dowiedział się też od nich, że zwłaszcza elektor żył w wielkiem przerażeniu i o własnej skórze coraz bardziej poczynał myśleć, że z wojsk jego siła pod Warszawą legło, na pozostałe rzuciły się choroby tak straszne, iż gorzej bitew je niszczą. Tymczasem zaś Wielkopolanie, pragnąc za Ujście i wszystkie krzywdy zapłacić, najechali samą monarchję brandenburską, paląc, ścinając, wodę a ziemię zostawując. Wedle oficerów, bliską była godzina, w której elektor porzuci Szwedów, a z mocniejszym się połączy.

— Trzeba mu tedy przypiekać, — pomyślał Kmicic, — żeby prędzej to uczynił.

I mając konie już wypoczęte, a szczerby zapełnione, znów przekroczył Dospadę i jak duch zniszczenia na osady niemieckie się rzucił.

Różne „partje“ poszły za jego przykładem. Zastał obronę już słabszą, więc tem bardziej dokazywał. Nowiny przychodziły coraz radośniejsze, tak radosne, że wierzyć w nie było trudno.

Oto najprzód poczęto prawić, że Karol Gustaw, który po bitwie warszawskiej aż do Radomia się posunął, cofa się teraz na złamanie szyi ku Prusom Królewskim. Co się stało? czemu się cofa? — na to nie było czas jakiś odpowiedzi, aż wreszcie gruchnęło znów po Rzeczypospolitej nazwisko pana Czarnieckiego. Zbił pod Lipcem, zbił pod Strzemesznem, pod samą Rawą wyciął w pień tylną straż umyka-

jącego Karola, zaczem dowiedziawszy się, iż dwa tysiące rajtarji wraca z Krakowa, napadł na nią wstępnym bojem i ani zwiastuna klęski żywcem nie puścił. Pułkownik Forgell, brat jenerała, czterech innych pułkowników, trzech majorów, trzynastu rotmistrzów i dwudziestu trzech poruczników poszło w łyka. Inni podawali liczbę podwójną, niektórzy twierdzili już w uniesieniu, że pod Warszawą nie klęskę, ale zwycięstwo odniósł Jan Kazimierz i że jego pochód w dół kraju był tylko fortelem dla pogrążenia nieprzyjaciela.

Sam pan Kmicic tak począł myśleć, bo od pacholęcych lat przecież żołnierzem będąc, rozumiał się na wojnie, a nigdy nie słyszał o takiem zwycięstwie, po któremby się zwycięzcom gorzej dziać miało. A Szwedom widocznie było gorzej i właśnie od bitwy warszawskiej.

Panu Andrzejowi przypomniały się wówczas słowa pana Zagłoby, gdy przy ostatniem widzeniu się mówił, że wiktorje nie naprawią już szwedzkiej sprawy, zaś jedna walna przegrana może ich zgubić.

— Kanclerska to głowa! — pomyślał Kmicic — która jakoby w księdze, w przyszłości umie czytać.

Tu przypomniały mu się i dalsze proroctwa pana Zagłoby, jako on, Kmicic alias Babinicz, do Taurogów dojdzie, Oleńkę swoją odnajdzie, przebłaga, zaślubi i potomstwo z niej na chwałę kraju wyprowadzi. Gdy sobie to wspomniał, ogień wstąpił mu w żyły! już i chwili tracić nie chciał, jeno Prusaków i rzezi na czas zaniechać i do Taurogów lecieć.

Wtem w wilję wyjazdu przybył do niego szlachcic laudański z pod chorągwi pana Wołodyjowskiego z listem od małego rycerza.

„Idziemy z panem hetmanem polnym litewskim i księciem krajczym za Bogusławem i Waldekiem (pisał pan Michał). Połączże się z nami, bo pole do słusznej zemsty się znajdzie, a i prusactwu za opresję Rzeczypospolitej spłacić się przygodzi“.

Pan Andrzej własnym oczom wierzyć nie chciał i czas jakiś posądzał szlachcica, iż chyba przez jakiego komen-

danta pruskiego czy szwedzkiego umyślnie był nasłany, aby go wraz z czambułem w zasadzkę wprowadzić. Miałżeby pan Gosiewski istotnie drugi raz do Prus ciągnąć? Niepodobna było nie wierzyć. Ręka była pana Wołodyjowskiego, herb pana Wołodyjowskiego, a i szlachcica sobie pan Andrzej przypomniał. Więc indagować go począł, gdzie pan Gosiewski się znajduje i dokąd dojść zamierza?

Szlachcic dość był głupowaty. Nie jemu wiedzieć, dokąd pan hetman chce iść; wie tylko, że pan hetman, z tą samą dywizją litewsko-tatarską o dwa dni drogi, a przy nim jest i chorągiew laudańska. Pożyczył jej sobie na czas pan Czarniecki, ale już zdawna odesłał, a teraz idą, gdzie pan hetman polny prowadzi.

— Mówią, — kończył szlachcic, — że do Prus pójdziem i żołnierz cieszy się okrutnie... Ale zresztą nasza rzecz słuchać i bić.

Kmicic wysłuchawszy relacji, nie namyślał się długo, zawrócił czambuł i poszedł wielkim pochodem ku panu hetmanowi, a po dwóch dniach, już późną nocą padł w ramiona panu Wołodyjowskiemu, który wyściskawszy go, zaraz zakrzyknął:

— Graf Waldek i książę Bogusław są w Prostkach, szańce sypią, by się warownym obozem ubezpieczyć. Pójdziem na nich.

— Dziś? — rzekł Kmicic.

— Jutro dodnia, to jest za dwie lub za trzy godziny.

Tu padli sobie znów w objęcia.

— Tak mi coś mówi, że go Bóg wyda w ręce nasze! — zawołał wzruszony Kmicic.

— I ja tak myślę.

— Ślubowałem sobie do śmierci ten dzień pościć, w którym go spotkam.

— Protekcja Boża nie zawadzi — odrzekł pan Michał. — Nie będę też czuł invidii, jeśli tobie ten los przypadnie, bo twoja krzywda większa.

— Michale! zacniejszego od ciebie kawalera nie widziałem!

— A niechże ci się, Jędrek, przypatrzę. Sczerniałeś od wiatru doreszty; aleś się spisał. Z wielką estymą patrzyła cała dywizja na twoją robotę. Nic, jeno zgliszcza i cadavera. Żołnierz z ciebie zawołany. I samemu panu Zagłobie, gdyby tutaj był, ciężkoby przyszło coś lepszego o sobie wymyślić.

— Dlaboga! a gdzie pan Zagłoba?

— Przy panu Sapieże został, bo spuchł całkiem z płaczu i z desperacji po Rochu Kowalskim...

— To pan Kowalski zginął?

Wołodyjowski zacisnął wargi.

— Wiesz, kto go zabił?

— Skąd mam wiedzieć?... Powiadaj!

— Książę Bogusław!

Kmicic zakręcił się na miejscu, jakby sztychem pchnięty i począł z sykiem wciągać w siebie powietrze, nakoniec zgrzytnął strasznie zębami i rzuciwszy się na ławę, wsparł w milczeniu głowę na dłoniach.

Pan Wołodyjowski klasnął w ręce i kazał czeladnikowi napitku przynieść, poczem siadł około Kmicica, nalał kusztyki i począł mówić:

— Roch Kowalski tak kawalerską śmiercią zginął, że nie daj Boże żadnemu z nas gorzej. Dość ci powiedzieć, że mu sam Carolus po otrzymaniu pola pogrzeb wyprawił i cały regiment gwardji ognia nad jego trumną dawał.

— Żeby nie z tych rąk, żeby nie z tych piekielnych rąk! — zawołał Kmicic.

— Owszem, z rąk Bogusławowych, wiem to od usarzy, którzy własnemi oczyma na ów żałosny termin patrzyli.

— Toś tam nie był?

— W bitwie miejsca się nie wybiera, jeno się stoi, gdzie każą. Gdybym ja tam był, to albo tubym teraz nie był, albo Bogusław nie sypałby wałów w Prostkach.

— Mów, jak wszystko się odbyło. Zawziętości tylko przybędzie.

Pan Wołodyjowski napił się, obtarł żółte wąsiki i począł:

— Pewnie ci nie brakło relacyj o warszawskiej bitwie, bo wszyscy o niej mówią, więc też i ja nie będę się nad nią zbyt długo rozwodził. Nasz pan miłościwy... dajże mu Boże zdrowie i długie lata, bo pod innym królem zginęłaby ta ojczyzna wśród klęsk... okazał się wodzem znamienitym. Gdyby był taki posłuch, jak wódz, gdybyśmy byli go godni, kroniki zapisałyby nową polską wiktorję pod Warszawę, grunwaldzkiej i beresteckiej równą. Krótko mówiąc, pierwszego dnia biliśmy Szwedów. Drugiego poczęła fortuna to na tę, to na tamtą stronę wagi nachylać, ale przecie byliśmy górą. Wtedy to poszła do ataku litewska husarja, w której i Roch służył pod kniaziem Połubińskim, żołnierzem wielkim. Widziałem ich, gdy szli, jako ciebie widzę, bo stałem z laudańskimi na wyżynie pod szańcami. Było ich tysiąc dwieście ludzi i koni, jakich świat nie widzał. Szli na pół staja wedle nas i mówię ci, ziemia drżała pod nimi. Widzieliśmy piechotę brandenburską, nagwałt zatykającą piki w ziemię, aby pierwszemu impetowi się oprzeć. Inni walili z muszkietów, aż dymy zasłoniły ich zupełnie. Spojrzymy: Husarja już rozpuściła konie. Boże, co za impet! Wpadli w dym... U mnie żołnierze poczną krzyczeć! „złamią! złamią!“ Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił, jakby w tysiącu kuźni kowale młotami bili. Spojrzymy: Jezus, Marja! Elektorscy mostem już leżą, jako żyto, przez które burza przejdzie, a oni już hen za nimi! jeno proporce migocą! Idą na Szwedów! Uderzyli o rajtarię — rajtarja mostem! uderzyli na drugi regiment — mostem! Tu huk, armaty grzmią... widzimy ich, gdy wiatr dym zwieje. Łamią piechotę szwedzką... Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jak gdyby ulicą... bezmała przez całą armję już przeszli!... Zderzą się z pułkiem konnej gwardji, wśród którego Carlolus stoi... i gwardję jakoby wicher rozegnał!...

Tu przerwał Wołodyjowski opowiadanie, bo Kmicic

pięściami oczy zatknął i krzyczeć począł:

— Matko Boża! raz widzieć i polec!

— Takiego ataku nie zobaczą już oczy moje — ciągnął dalej mały rycerz. — Nam też skoczyć kazano... Więcej nie widziałem, ale coć powiem, tom słyszał z ust szwedzkiego oficera, który przy boku Karolowym wówczas był i własnemi oczyma na termin patrzył. Gdy już husarja wszystko złamała po drodze, ten Forgell, który później pod Rawą wpadł w nasze ręce, rzucił się do rąk Karolowych: „Królu, ratuj Szwecję! ratuj siebie — krzyknął — ustępuj! ustępuj! nic ich nie wstrzyma!“ — A Carolus na to: „Nanic przed nimi ustępować, trzeba opór dać lub zginąć!“ Przygadają inni jenerałowie, błagają, proszą, nie chce. Ruszył naprzód... zderzyli się i złamano Szwedów prędzej, niżby do dziesięciu zrachował. Kto legł, tego stratowano; inni rozsypali się, jak groch. Nuż ich ciąć. Król odbił się samowtór; najechał go Kowalski poznał, bo go już dwa razy widział. Kiedy nie natrze!... Rajtar zastawił króla... Ale owo, powiadali ci, którzy widzieli, że i piorun prędzej nie zabija, jako Roch rozwalił go na dwoje. Wówczas sam król rzucił się na niego...

Wołodyjowski przerwał znów opowiadanie i odetchnął głęboko, lecz Kmicic zaraz zawołał:

— Kończ już, bo dusza ze mnie wyjdzie!

— Starli się tedy w środku pola, iże piersi końskie uderzyły o piersi.. Zakotłowało się! „Spojrzę — powiada nam oficer — aż król wraz z koniem już na ziemi!“ Wydostał się, ruszył cyngla krócicy, chybił. Roch go za łeb, bo mu kapelusz spadł. Już miecz wznosił, już Szwedzi mdleli z przerażenia, bo nie czas było iść na ratunek, gdy Bogusław jakoby z pod ziemi wyrósł i w samo ucho Kowalskiemu wystrzelił, że mu głowę wraz z hełmem rozniosło.

— Dlaboga! — Nie miałże czasu miecza spuścić?! — krzyknął pan Andrzej, targając się za czuprynę.

— Bóg nie dał mu tej łaski — odrzekł pan Michał. — Zgadliśmy też z Zagłobą, co się stało. Oto służyło chłopisko

u Radziwiłłów od pacholęcych lat, za panów ich swoich uważało i na widok Radziwiłła musiało się skonfundować. Może mu nigdy ta myśl w głowie nie postała, żeby na Radziwiłła można rękę podnieść. Bywa tak, bywa! Ha! życiem to przypłacił. Dziwny człek jest pan Zagłoba, bo on mu wcale wujem, ni krewnym nie był. a przecie innyby po synu tak nie desperował... Prawdę zaś rzekłszy, nie było czego, bo tak sławnej śmierci zazdrościćby Kowalskiemu można. Toż szlachcic i żołnierz nato się rodzi, by nie dziś, to jutro gardło dać, a o Kowalskim dzieje pisać będą i potomność jego imię wysławi.

Umilkł pan Wołodyjowski, po chwili zaś przeżegnał się i rzekł:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

— Na wieki wieków! — zakończył Kmicic.

Czas jakiś szeptali obaj modlitwy, może o podobną śmierć dla siebie prosząc, byle nie z rąk Bogusławowych, wreszcie pan Michał rzekł:

— Ksiądz Piekarski zaręczał nam, że on wprost do raju poszedł.

— Pewnie, że tak, to mu i modlitwy nasze niepotrzebne.

— Modlitwy zawsze potrzebne, bo na rejestr innych będą wpisane, a może na nasz własny.

Kmicic westchnął.

— W miłosierdziu Bożem nadzieja; — rzekł — tuszę też, że za to, com tu w Prusach dokazywał, choć z parę lat czyśćca będzie mi odpuszczonych.

— Wszystko się tam karbuje. Co tu człowiek szablą wyrąbie, to tam sekretarze niebiescy zapisują.

— Służyłem i ja u Radziwiłła, — rzekł Kmicic, — ale się widokiem Bogusława nie skonfunduję. Boże, Boże, toć Prostki niedaleko! Pomnij Panie, że on i Twój nieprzyjaciel, bo heretyk, któren nieraz prawdziwej Twej wierze bluźnił!

— I ojczyzny nieprzyjaciel! — dodał Wołodyjowski. — Miejmy nadzieję, że jego termin się zbliża. Pan Zagłoba to samo po owym ataku husarji prorokował, a mówił w żalu, we łzach, jakoby natchniony. I przeklinał Bogusława tak, że aż słuchającym włosy w czuprynach stawały. Książę Kazimierz Michał, który z nami przeciw nim ciągnie, widział też we śnie dwie złote trąby, które Radziwiłłowie w tarczy noszą pogryzione przez niedźwiedzia i zaraz na drugi dzień powiadał: „Albo mnie, albo którego z innych Radziwiłłów nieszczęście spotka“.

— Przez niedźwiedzia? — spytał, blednąc Kmicic.

— Tak jest.

Twarz pana Andrzeja rozjaśniła się, jak gdyby na nią blask zórz porannych upadł, oczy wzniósł do góry, ręce ku niebu wyciągnął i uroczystym głosem zawołał:

— Jaż w herbie mam niedźwiedzia. Chwała Ci, Panie, na wysokościach!... Chwała Ci, Matko Najświętsza!... Panie, Panie! nie jestem godzien tej łaski!

Usłyszawszy to Wołodyjowski, wielce także się wzruszył, bo poznał zaraz, że w tem jest omen niebieski.

— Jędrek! — zawołał — ściśnijże dla pewności przed bitwą nóżki Chrystusowi. a ja o Sakowicza Go poproszę.

— Prostki. Prostki! — powtarzał jakby w gorączce Kmicic. — Kiedy ruszamy?

— Dodnia, a niezadługo już świtać pocznie.

Kmicic zbliżył się do wybitego okienka chałupy. spojrzał w niebo i zawołał:

— Bledną już gwiazdy, bledną. Ave Maria...

Wtem rozległo się dalekie pianie koguta, a iednocześnie zabrzmiało ciche trąbienie przez munsztuk. W kilka pacierzy później ruch począł się w całej wsi. Słychać było szczęk żelaza, parskanie koni. Ciemne masy jazdy zbierały się na gościńcu.

Powietrze poczęło się nasycać światłem; blady blask jął srebrzyć groty włóczni. migotać na gołych szablach. wydobywać z cienia wąsate, groźne twarze, hełmy, kołpaki,

kapuzy, tatarskie baranie czapki, tołuby, sajdaki. Wreszcie pochód z panem Kmicicem w przedniej straży ruszył ku Prostkom; wojska rozciągnęły się długim wężem po drodze i szły żywo.

Konie poczęły parskać okrutnie w pierwszych szeregach, za niemi inne na dobrą dla żołnierzy wróżbę.

Białe tumany zakrywały jeszcze łąki i pola.

Naokół była cisza, jeno derkacze grały w zroszonych trawach.

ROZDZIAŁ XI.

Dnia 6 września doszły wojska polskie do Wąsoszy i stanęły na odpoczynek, aby przed bitwą konie i ludzie mogli sił nabrać. Postanowił pan podskarbi cztery albo pięć dni się tam zatrzymać, ale wypadki pomieszały jego rachubę.

Pana Babinicza, jako znającego już dobrze pogranicze, wyprawiono na podjazd, dawszy mu dwie lekkie litewskie chorągwie i świeży czambulik ordy, bo jego Tatarzy zbyt byli pomęczeni.

Pan podskarbi wielce mu przed drogą zalecał, by się o języka starał i z próżnemi rękoma nie wracał. Babinicz zaś uśmiechnął się tylko, myśląc sobie, iż nie potrzeba mu żadnej zachęty i że jeńców przywiedzie, choćby ich za okopami w Prostkach miał szukać.

Jakoż wrócił we dwie doby, przywiódłszy kilkunastu Prusaków i Szwedów, a pomiędzy nimi znacznego oficera von Rössela, kapitana z pruskiego regimentu Bogusława.

Przyjęto podjazd w obozie z wielkim aplauzem. Kapitana nie potrzeba było brać na pytki, bo już to Babinicz w drodze przyłożywszy mu sztych do gardła, uczynił. Z zeznań jego okazywało się, że nie same pruskie pułki grafa Waldeka stoją w Prostkach, ale i sześć regimentów szwedzkich, pod komendą jenerał-majora Izraela, z tych cztery jazdy pod Petersem, Frytjotsonem, Taubenem, Ammersteinem i dwa

piechoty pod braćmi Engel. Z pułków pruskich, bardzo okrytych, prócz własnego grafa Waldeka, był księcia Wismaru, Bruncla, Konnaberga, jenerał Walrata, oraz cztery chorągwie z komendy Bogusławowej: dwie szlachty pruskiej i dwie jego własne.

Naczelną komendę miał rzekomo graf Waldek, lecz w rzeczywistości słuchał we wszystkiem księcia Bogusława, którego wpływom ulegał także i szwedzki jenerał Izrael.

Najważniejszą wszelako wiadomością, jakiej von Rössel udzielił, była ta, że z Elku śpieszy na pomoc pod Prostki dwa tysiące wyborowej pomorskiej piechoty, graf Waldek zaś, bojąc się, aby oddziały owe nie zostały zagarnięte przez ordę, pragnie wyjść z warownego obozu i dopiero po połączeniu się z niemi, drugi raz się okopać. Książę Bogusław był, wedle Rössela, aż dotąd dość przeciwny opuszczeniu Prostek i dopiero w ostatnich dniach skłaniać się do tego zaczął.

Usłyszawszy to pan Gosiewski. wielce się uradował, bo już był pewien, że go zwycięstwo nie minie. Nieprzyjaciel długo potrafiłby bronić się w okopie, lecz ani szwedzka, ani pruska jazda nie mogła dotrzymać litewskiej w otwartem polu.

Książę Bogusław rozumiał to widocznie tak samo dobrze, jak pan podskarbi i dlatego właśnie niebardzo pochwalał Waldekowe plany. Lecz zbyt był próżnym, aby nie ustąpił przed zarzutem nawet zbytniej ostrożności. Wreszcie nie odznaczał się cierpliwością. Można było niemal na pewno rachować, że sprzykrzy sobie leżenie w wałach i w otwartej bitwie sławy i zwycięstwa poszuka. Pan podskarbi powinien był tylko śpieszyć się. aby nastąpić na nieprzyjaciela właśnie w chwili, gdy będzie okopy opuszczał.

Tak też myślał i on sam i inni pułkownicy. jako Hassun-bej. który ordą dowodził, pan Woynillłowicz z królewskiego znaku. pan Korsak. pułkownik petyhorski, pan Wołodyjowski, pan Kotwicz i pan Babinicz. Wszyscy zgodzili się na jedno, że trzeba dalszego odpoczynku zaniechać i na

noc, to jest za kilka godzin ruszać; tymczasem pan Korsak wysłał natychmiast swego chorążego, Biegańskiego, aby szedł pod Prostki i nadciągającemu wojsku każdej godziny znać dawał, co się w obozie dzieje. Wołodyjowski zaś i Babinicz wzięli do swej kwatery Rössela, aby o Bogusławie czegoś więcej od niego się dowiedzieć.

Kapitan z początku przerażony był wielce, bo jeszcze sztych Kmicicowy czuł na gardle, ale wkrótce wino rozwiązało mu język. Że zaś kiedyś, służąc w Rzeczypospolitej w cudzoziemskim autoramencie, wyuczył się po polsku, przeto mógł i na pytania małego rycerza, nie umiejącego po niemiecku, odpowiadać.

— Dawno waść służysz u księcia Bogusława? — pytał mały rycerz.

— Ja u księcia w jego nadwornem wojsku nie służę, — odrzekł Rössel, — jeno w elektorskim pułku, który pod jego komendę został oddany.

— To i pana Sakowicza waść nie znasz?

— Pana Sakowicza widywałem w Królewcu.

— Jest-li on przy księciu?

— Niemasz go. W Taurogach został.

Mały rycerz westchnął i wąsikami ruszył.

— Nie mam szczęścia, jako zwykle! — rzekł.

— Nie frasuj się, Michale, — rzekł Babinicz, — odnajdziesz go, a nie, to ja odnajdę.

Poczem zwrócił się do Rössela:

— Waść jesteś stary żołnierz, widziałeś oba wojska, a naszą jazdę znasz oddawna; jakże myślisz, po czyjej stronie będzie wiktorja?

— Jeśli wam pole dadzą za okopem, to po waszej, ale okopu bez piechoty i armat nie zdobędziecie, zwłaszcza, że tam się wszystko księcia Radziwiłła głową dzieje.

— Za takiegoż to wielkiego masz go waść wodza?

— Nietylko ja, ale ogólne to jest mniemanie w obu wojskach. Powiadają też, że pod Warszawą serenissimus rex

Seciae we wszystkiem szedł za jego radą i dlatego wielką bitwę wygrał. Książę, jako Polak, lepiej zna wasz sposób wojowania i prędzej radę wymyślić umie. Sam widziałem, jako król szwedzki po trzecim dniu bitwy przed frontem wojsk księcia ściskał i całował. Prawda, że mu życie był winien, bo gdyby nie strzał książęcy... no! strach myśleć!... Rycerz to jest przytem niezrównany, z którym się nikt na żadną broń mierzyć nie może.

— Ej! — rzekł pan Wołodyjowski — możeby się taki znalazł...

To rzekłszy, wąsikami groźnie ruszył. Rössel popatrzył na niego i nagle poczerwieniał. Przez chwilę zdawało się, że albo go krew zaleje, albo śmiechem wybuchnie; lecz wreszcie wspomniał, iż jest w niewoli, więc opamiętał się zaraz.

Kmicic zaś popatrzył na niego pilnie swojemi stalowemi oczyma i rzekł zaciskając nieco wargi:

— Jutro się pokaże...

— A zdrów teraz Bogusław? — pytał pan Wołodyjowski — bo go to febra długo trzęsła i osłabić go musiała?...

— Zdrów oddawna, jak ryba i lekarstw żadnych nie bierze. Chciał mu medyk z początku dawać różne prezerwatywy, ale właśnie po pierwszej zdarzył się zaraz paroksyzm. Wprawdzie nie powtórzył się więcej. Książę Bogusław kazał też rzucać medykiem w prześcieradłach i to mu pomogło, bo medyk sam febry ze strachu dostał.

— Rzucać w prześcieradłach? — spytał pan Wołodyjowski.

— Sam widziałem — odrzekł Rössel. — Złożono dwa prześcieradła do kupy, w środku położono medyka, zaczem czterech silnych trabantów wzięło prześcieradła za rogi i kiedy to nie poczną rzucać nieborakiem, to mówię waszym miłościom, mało na dziesięć łokci w górę podlatywał, a oni ledwie go złapią i znów w górę. Jenerał Izrael, graf Waldek i książę za boki trzymali się od śmiechu. Nas też oficerów wielu patrzyło na owo widowisko, póki medyk nie omdlał. Księciu potem jakby ręką odjął.

Jakkolwiek Wołodyjowski i Babinicz nienawidzili Bogusława, nie mogli jednak wstrzymać się także od śmiechu, słysząc o tej krotofili. Pan Babinicz zaś uderzył się rękoma po kolanach i zawołał:

— Ha! szelma, jak sobie poradził!

— Trzeba panu Zagłobie o tem lekarstwie powiedzieć — rzekł mały rycerz.

— Na febrę to pomogło, — rzecze Rössel, — ale co po tem, kiedy książę niedość zapędy krwi hamuje i dlatego nie dożyje późnego wieku.

— I ja tak myślę — mruknął przez zęby Babinicz. — Tacy, jak on, długo nie żyją.

— Zali i w obozie jeszcze sobie folguje? — spytał pan Wołodyjowski.

— Jakże nie? — odrzekł Rössel. — Śmiał się nieraz graf Waldek, mówiąc, że jego książęca mość fraucymer ze sobą wozi... Ja zaś sam dwie gładkie panny widziałem. o których mówili mi dworzanie, że do prasowania krez służą... Ale Boga tam!

Babinicz usłyszawszy to, zaczerwienił się i zbladł, nagle zerwał się na równe nogi i porwawszy Rössela za ramię, począł nim potrząsać gwałtownie.

— Polki to są, czyli Niemkinie? Powiadaj!

— Nie Polki, — odparł przestraszony Rössel, — jedna jest szlachcianka pruska, a druga Szwedka, która przedtem u żony jenerała Izraela służyła.

Babinicz spojrzał na Wołodyjowskiego i odetchnął głęboko; mały rycerz odetchnął także i przestał wąsikami ruszać.

— Pozwólcie mi wasze miłościę pójść spocząć: — rzekł Rössel — okrutniem utrudzon. bo dwie mile mnie Tatarzyn na arkanie prowadził.

Kmicic zaklasnął na Sorokę i powierzył mu jeńca, poczem zwrócił się szybkim krokiem do pana Wołodyjowskiego.

— Dość już tego! — rzekł — wolę zginąć, wolę sto razy zginąć, aniżeli żyć w tych ustawicznych trwogach i niepewności. Ot i teraz, gdy Rössel wspomniał o onych dziewkach, myślałem, że mnie kto obuchem w skroń zajechał.

Na to pan Wołodyjowski trzasnął rapierem.

— Czas skończyć! — rzekł.

Wtem zatrąbiono przy hetmańskiej kwaterze i wnet po wszystkich litewskich chorągwiach odezwały się trąbki a w czambułach piszczałki.

Wojsko poczęło się zbierać i w godzinę później było w pochodzie.

Zanim uszli milę, nadbiegł posłaniec od chorążego Biegańskiego, z chorągwi pana Korsakowej, z wiadomością od hetmana, iż schwytano kilku rajtarów z większej kupy, która z tej strony rzeki zabierała wszystkie wozy i konie chłopskie. Badani na miejscu, wyznali, że tabor i całe wojsko ma opuścić Prostki nazajutrz o ósmej rano i że rozkazy są już wydane.

— Chwalmy Boga i popędzajmy konie — rzekł na to pan podskarbi. — Do wieczora nie będzie już tych wojsk!

Posłano tedy ordę na łeb na szyję, aby jak najprędzej starała się dostać między wojska Waldekowe a ową piechotę pruską, śpieszącą na pomoc. Za nią litewskie chorągwie poszły rysią, żc zaś najwięcej było lekkich, więc szły tak wartko, iż tuż, tuż za ordą nadążały.

Kmicic poszedł w pierwszej ordzińskiej straży i parł swoją watahę, aż z koni dymiło. Po drodze kładł się na kulbace, czołem bił o kark koński i modlił się ze wszystkich sił duszy:

— Nie za moją krzywdę daj mi się, Chryste, pomścić, ale za insulty ojczyźnie wyrządzone! Jam grzesznik, jam łaski Twojej nie godzien, ale zmiłuj się nade mną, pozwól mi tę krew heretycką rozlać, a na chwałę Twoją będę suszył i będę się biczował każdego tygodnia w ten dzień po wiek życia mego!

Potem Najświętszej Pannie Częstochowskiej, której krwią własną służył i patronowi swojemu jeszcze się polecał. a tak protekcję ich sobie zapewniwszy, uczuł zaraz, że ogromna nadzieja wstępuje mu do duszy, że moc nadzwyczajna przejmuje jego członki, moc taka, przed którą w proch musi upaść wszystko. Zdawało mu się, że z ramion wyrastają mu skrzydła; radość ogarnęła go jak wicher i leciał na czele Tatarów, aż iskry sypały się z pod kopyt jego konia. Tysiące dzikich wojowników, pochylonych na karki końskie, pędziło za nim.

Fala śpiczastych czapek chwiała się w takt końskiego pędu, łuki kołysały się na plecach, przed nimi biegł tętent bachmatów, ztyłu dolatywał głuchy szum nadążających litewskich chorągwi, podobny do szumu wezbranej rzeki.

I lecieli tak wśród nocy pysznej, gwiaździstej, pokrywającej drogi i pola, nakształt olbrzymiego stada drapieżnych ptaków, które krew zwietrzyły w oddaleniu.

Mijali pola bujne, dąbrowy, łąki, aż wreszcie sierp miesiąca pobladł i pochylił się ku zachodowi. Wówczas zwolnili koniom i stanęli na popas ostatni. Byli już nie dalej, jak pół mili niemieckiej od Prostek.

Tatarzy poczęli karmić konie z rąk jęczmieniem, aby nowych sił nabrały przed bitwą. Kmicic zaś przesiadłszy się na zapaśnego dzianeta, pojechał dalej, aby na obóz nieprzyjaciela okiem rzucić.

Po pół godziny drogi trafił w łozie nad rzeczką na ów podjeździk petyhorski, który pan Korsak wysłał na zwiady.

— A co? — spytał chorążego pan Kmicic. — Co zwiady.

— Nie śpią już i huczą, jak pszczoły w ulu — odparł chorąży. — Byliby się już ruszyli, ale nie mieli dość wozów.

— Zali można gdzie z pobliża obóz widzieć?

— Można z onego wyniesienia, które krzakami pokryte. Obóz hen tam leży w dole rzeki. Chce wasza miłość popatrzyć?

— Prowadź waść.

Chorąży ruszył koniem i wyjechali na wzniesienie. Już też zorze były na niebie i powietrze przesycało się złotem światłem, ale wedle rzeki, na drugim niskim brzegu, leżała jeszcze mgła surowa. Oni ukryci w krzakach patrzyli w ową mgłę, rzednącą coraz bardziej.

Nakoniec o dwie staje odsłonił się w dolinie kwadratowy okop ziemny; wzrok Kmicica wpił się weń z chciwością, lecz w pierwszej chwili dojrzał tylko mgliste zarysy namiotów, wozów, stojących w środku wzdłuż wałów. Płomienia ognisk nie było już widać, tylko dymy podnosiły się wysokiemi smugami ku niebu na znak pogody. Lecz w miarę jak mgła roztapiała się coraz bardziej, mógł pan Babinicz z pomocą perspektywy odróżnić pozatykane na wałach chorągwie błękitne szwedzkie i żółte pruskie, następnie masy żołnierzy, działa i konie.

Naokoło była cisza, przerywana tylko szelestem krzów, poruszanych przez powiew i wesołem porannem świegotaniem szarego ptastwa. Ale z obozu dochodził przytłumiony szum.

Widocznie nikt tam już nie spał, widocznie gotowano się do pochodu, bo w środku okopu panował ruch niezwyczajny. Całe pułki przenosiły się z miejsca na miejsce, niektóre wychodziły przed wały; około wozów panowała sroga krętanina. Staczano również armaty z wałów.

— Nie może inaczej być, tylko się do pochodu gotują — rzekł Kmicic.

— Wszyscy jeńcy to zeznawali. Chcą się ze swoją piechotą połączyć. Nie spodziewają się też, aby pan hetman mógł na nich nastąpić prędzej, niż wieczorem, a choćby miał i nastąpić, wolą bitwę w otwartem polu przyjąć, niż oną piechotę pod nóż wydać.

— Ze dwie godziny upłyną, nim wyruszą, a za dwie godziny pan podskarbi tu będzie.

— Chwalić Boga! — odrzekł chorąży.

— Poszlijże waść jeszcze ludzi, by tam nie popasali za długo.

— Wedle rozkazu.

— A nie wysyłali jakich podjazdów na tę stronę rzeki?

— Na tę stronę ani jeden nie wyszedł. Wysłali, ale ku swojej piechocie, która od Elku nadciąga.

— Dobrze! — rzekł Kmicic.

I zjechał z pagórka, a przykazawszy podjazdowi taić się dalej w trzcinach, sam ruszył, ile tchu w koniu zpowrotem do chorągwi.

Pan Gosiewski właśnie na koń siadał, gdy Babinicz nadjechał. Prędko opowiedział mu młody rycerz, co widział i jaka jest pozycja okolicy; hetman wysłuchał relacji z wielkiem zadowoleniem i nie mieszkając chorągwie ruszył.

Ale tym razem poszła najprzód Babiniczowa wataha, za nią litewskie: więc Woyniłłowicza, laudańska, własna pana hetmanowa i inne. Orda pozostała za niemi, bo o to usilnie Hassun-bej prosił, obawiając się, czy lud jego pierwsze natarcie ciężkiej jazdy wytrzyma. Miał także i inne wyrachowanie.

Oto chciał, aby podczas gdy Litwa uderzy na czolo wojsk, on z Tatary mógł ogarnąć tabor, w którym łupu najobfitszego się spodziewał. Pan hetman zezwolił, słusznie mniemając, że ordyńcy miękkoby może uderzali na komunik, ale wpadną jak wściekli na tabor i popłoch wzniecić mogą, zwłaszcza, że konie pruskie mniej były straszliwego ich wycia zwyczajne.

We dwie godziny, jak przepowiedział Kmicic, stanęli przy owem wzniesieniu, z którego podjazd zaglądał w okopy, a które teraz pochód wszystkich wojsk zasłaniało. Chorąży na widok zbliżających się wojsk, skoczył jak piorun z wiadomością, że nieprzyjaciel, pościągawszy straże z tamtej strony rzeki, już wyruszył i że właśnie koniec ogona taboru wychodzi z okopu.

Usłyszawszy to pan Gosiewski, wyciągnął buławę z tulei przy kulbace i rzekł:

— To już zawrócić nie mogą, bo wozy drogę zasłaniają,

W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Niema już poco dłużej się ukrywać!

I skinął na buńczucznego, a ów buńczuk podniósł w górę i począł nim machać na wszystkie strony. Na ten znak wszystkie buńczuki poczęły się kołysać, huknęły trąby i krzywuły, zawrzasły tatarskie piszczałki, zadźwięczały litaury, sześć tysięcy szabel rozbłysło w powietrzu i sześć tysięcy gardzieli krzyknęło:

— Jezus Marja!

— Ałła-hu-Ałła!

Zaczem chorągiew za chorągwią wynurzała się rysią z za wzniesienia. W Waldekowym obozie nie spodziewano się tak prędko gości, bo ruch powstał gorączkowy. Bębny poczęły huczeć nieustającym grzmotem; pułki zwracały się frontem ku rzece.

Gołem już okiem można było dostrzec przelatujących między regimentami jenerałów i pułkowników. We środku zajeżdżano co duchu z armatami,, by je odprzodkować ku rzece.

Po chwili oba wojska nie były już więcej od siebie jak o tysiąc kroków. Dzieliło je tylko błonie rozległe, środkiem którego płynęła rzeczka.

Chwila jeszcze i pierwsza smuga białego dymu wykwitła od strony pruskiej ku Polakom.

Bitwa była ropoczęta.

Pan hetman sam skoczył ku Kmicicowej wataże.

— Następuj, mości Babinicz! następuj w imię Boże ot, na tę ścianę!

I buławą wskazał błyszczący pułk rajtarji.

— Za mną! — skomenderował pan Andrzej.

I ścisnąwszy konia ostrogami, ruszył wskok z miejsca ku rzece. Nim jedno strzelenie z łuku przebiegli, konie już wzięły pęd największy i biegły ze stulonemi uszami, wyciągnięte jako charty. Jeźdźcy pochyleni na karkach, wyjąc, smagali jeszcze rumaki, które już ziemi zdawały się nie tykać; tymże impetem wpadli w rzekę, która ich nie wstrzy-

mała, bo trafili na obszerny bród, zupełnie płytki i piaszczysty; dopadli drugiego brzegu i skoczyli ławą dalej.

Widząc to pułk pancernej rajtarji, ruszył ku nim, z początku stępą, potem rysią i nie szedł prędzej, tylko gdy wataha zbliżyła się już na dwadzieścia kroków, rozległa się komenda: — F e u e r ! — i tysiące ramion, zbrojnych w pistolety, wyciągnęło się ku nadbiegającym.

Wstęga dymu przeleciała z jednego końca szeregu w drugi, potem dwie ławy jeźdźców i koni uderzyły o siebie z łoskotem. Konie wspięły się w pierwszym uderzeniu; nad głowami walczących zamigotały przez całą długość linij szable, jakby wąż błyskawiczny przeleciał z końca w koniec. Złowrogi dźwięk żelaza o hełmy i pancerze dosłyszano aż na drugiej stronie rzeki. Zdało się, że to w kuźnicach młoty biją w stalowe blachy.

Linja wygięła się w jednej chwili w półksiężyc, bo gdy środek rajtarji ustąpił zepchnięty pierwszem natarciem, skrzydła, na które mniejszy impet przyszedł, stały ciągle na miejscu. Lecz i w środku pancerni żołnierze nie pozwolili się rozerwać i rozpoczęła się rzeźba straszliwa. Z jednej strony lud olbrzymi, przybrany w blachy, opierał się całą potęgą ciężaru koni, z drugiej szara ćma tatarska parła go siłą nabytego rozpędu, siekąc i tnąc z taką niepojętą szybkością, jaką tylko nadzwyczajna lekkość i ciągła wprawa dać może. Jak gdy ćma drwali rzuci się na las sosen gonnych, słychać tylko huk siekier i raz wraz wyniosłe drzewo jakieś spada wdół z trzaskiem straszliwym, tak co chwila któryś z rajtarów pochylał błyszczącą głowę i zwalał się pod konia. Szable Kmicicowych migotały im w oczach, oślepiały ich, furkały koło twarzy, oczu, rąk. Daremnie potężny żołnierz wzniesie do góry ciężki miecz, nim go opuści, już czuje zimne ostrze przenikające w ciało, więc, miecz wysuwa mu się z ręki, a sam pada krwawem obliczem na kark koński. I jako stado ós napadnie w ogrodach człowieka, który chciał owoce otrząsać, próżno ten trzepie rękoma, wywija się, uchyla, one umieją przeniknąć do twarzy, szyi i każda wbija

weń ostrze kłujące, tak ów zaciekły, a w tylu bojach wyćwiczony lud Kmicicowy rzucał się naoślep, ciął, kąsał, kłuł, szerzył strach i śmierć coraz natarczywiej, o tyle właśnie przewyższając swych przeciwników, o ile biegły mistrz w rzemiośle przewyższa choćby silniejszego od się chłopa, któremu praktyki brakuje.

Więc poczęła rajtarja coraz gęstszym padać trupem i środek, w którym walczył sam Kmicic. rzedniał tak bardzo, iż lada chwila mógł się już przerwać. Krzyk oficerów, zwołujących w nadwątlone miejsce żołnierzy, ginął w zgiełku i dzikich wrzaskach, szereg nie zaciskał się dość szybko, a Kmicic parł coraz potężniej. Sam zbrojny w stalową kolczugę, którą od pana Sapiehy dostał w darze, walczył jak prosty żołnierz, mając za sobą młodych Kiemliczów i Sorokę. Ci na zdrowie pana baczenie mieli dawać i coraz to któryś odwrócił się w prawo lub lewo, zadając cios okropny, a on rzucał się na swym cisawym koniu w gęstwę największą i wszystkie tajemnice pana Wołodyjowskiego posiadłszy, a siłę mając olbrzymią, gasił żywoty ludzkie jak świece. Czasem całą szablą uderzy, czasem ledwie końcem dosięgnie, czasem ledwie kółeczko niewielkie, a jako piorum szybkie, zatoczy i rajtar leci głową wdół pod konia, jakby go grom zmiótł z kulbaki. Inni cofają się przed strasznym mężem.

Wreszcie ciął pan Andrzej przez skroń chorążego, a ten zapiał tylko jak zarzynany kur i chorągiew z ręki wypuścił; w tej chwili środek się przerwał, a pomieszane skrzydła uczyniły dwie kupy bezładne i cofające się szybko ku dalszym linjom wojsk pruskich.

Kmicic spojrzał przez rozerwany środek w głąb pola i nagle ujrzał regiment czerwonych dragonów lecący jak wicher w pomoc rozerwanej rajtarji.

Nic to! — pomyślał — za chwilę Wołodyjowski tym samym brodem przyjdzie mi w pomoc...

Tymczasem rozległ się huk armat tak gwałtowny, że ziemia zatrzęsła się w posadach; muszkiety poczęły grzechotać od okopu aż do najbardziej wysuniętych szeregów nie-

przyjacielskich. Całe pole pokryło się dymem i w tymże dymie wolentarze Kmicicowi wraz z Tatarami sczepili się z dragonją.

Ale od strony rzeki nikt nie przybywał na pomoc.

Pokazało się, że nieprzyjaciel umyślnie puścił Kmicicową watahę przez bród, następnie począł go zasypywać tak straszliwie z dział i muszkietów, że żywa noga przejść nie mogła.

Pierwsi poszli ku niemu ludzie pana Korsaka i powrócili w nieładzie; druga woyniłłowiczowska doszła do pół brodu i cofnęła się wprawdzie zwolna, bo był to królewski pułk, jeden z najdzielniejszych w całem wojsku, ale ze stratą dwudziestu towarzystwa, znakomitej szlachty i dziewięćdziesięciu pocztowych.

Woda w szczerku, który stanowił jedyne tylko przejście przez rzekę, pluskała tak pod uderzeniami kul, jak pod ciężkim ulewnym deszczem. Armatnie przelatywały na drugą stronę, rozrzucając tumany piasku.

Sam pan podskarbi nadjechał skokiem i popatrzywszy, uznał, że niepodobna, aby jeden żywy człek mógł przedostać się na brzeg przeciwny.

A jednak mogło to stanowić o losach bitwy. To też czoło hetmana zachmurzyło się srodze. Przez chwilę patrzył przez perspektywę na całą linję wojsk nieprzyjacielskich i krzyknął na ordynansa:

— Ruszaj do Hassun-beja, niechaj orda, jako może, przeprawi się przez wysoki brzeg i na tabor niech uderzy. Co w wozach znajdą, to ich! Armat tam niemasz, jedno z rzeką będą mieli robotę.

Oficer skoczył ile tchu w koniu; hetman zaś posunął się dalej, gdzie pod wierzbiną na łące stała chorągiew laudańska i zatrzymał się tuż przed nią.

Wołodyjowski stał na jej czele, posępny, ale milczący, jeno w oczy hetmańskie patrzył, a wąsikami ruszał.

— Co myślisz waść? — spytał hetman — przeprawią się Tatarzy?

— Tatarzy przeprawią się, ale Kmicic zginie! — rzekł Wołodyjowski.

— Na Boga! — krzyknął nagle hetman — ten Kmicic, żeby jeno miał głowę na karku, mógłby bitwę wygrać, nie zginąć!

Wołodyjowski nie odrzekł nic, jednakowoż pomyślał w duszy:

— Nie trzeba było puszczać albo żadnej chorągwi za rzekę, albo pięć...

Przez chwilę hetman znów patrzył przez perspektywę na daleki zamęt, który za rzeką sprawował pan Kmicic; wtem mały rycerz, nie mogąc dłużej ustać, przysunął się i trzymając szablę ostrzem do góry, rzekł:

— Wasza dostojność! gdyby rozkaz, to jabym jeszcze tego brodu spróbował?

— Stać! — odrzekł dość ostro pan podskarbi. — Dość, że tamci zginą.

— Giną już! — rzekł Wołodyjowski.

Rzeczywiście zgiełk stał się wyraźniejszy i potężniał coraz bardziej. Widocznie Kmicic cofał się napowrót ku rzece.

— Na Boga! tegom chciał! — krzyknął nagle pan hetman i skoczył jak piorun ku woyniłłowiczowskiej chorągwi.

Pan Kmicic zaś cofał się rzeczywiście. Po uderzeniu na czerwonych dragonów, ludzie jego cięli się z nimi, ostatka sił dobywając; lecz tchu już brakło im w piersiach, zmachane ręce mdlały, trup padał coraz gęściej i tylko nadzieja, że odsiecz z za rzeki przyjdzie lada chwila, podtrzymywała w nich jeszcze ducha.

Tymczasem upłynęło pół godziny i okrzyk „bij“ nie dawał się słyszeć; natomiast czerwonym dragonom skoczył na odsiecz Bogusławowy pułk ciężkiej jazdy.

— Śmierć idzie! — pomyślał Kmicic, widząc ich zajeżdżających zboku.

Lecz był to żołnierz, który do ostatniej chwili nie wątpił nigdy, nietylko o swojem życiu, ale i o wygranej. Długa i hazardowna praktyka dała mu także wielką znajomość wojny: więc nie tak szybko wieczorna błyskawica zapala się i gaśnie, jak Kmicicowi mignęła w głowie myśl następująca:

— Widocznie przez bród do nieprzyjaciela przedostać się nie mogą, a skoro nie mogą, to im go podprowadzę...

Więc, że pułk Bogusławowy nie był już dalej, jak o sto kroków, a idąc całym pędem, lada chwila mógł uderzyć i roznieść jego Tatarów, pan Andrzej podniósł piszczałkę do ust i świsnął tak przeraźliwie, że aż najbliższe konie dragońskie osadziły się na zadach.

Świst powtórzyły natychmiast inne piszczałki starszyzny tatarskiej i nie tak prędko wicher zakręca piaskiem, jak prędko cały czambuł zwrócił konie do ucieczki.

Niedobitki rajtarji, czerwona dragonja i pułk Bogusławowy kopnęły się za nimi z kopyta.

Krzyki oficerskie: — Naprzód! — i ... Got mit uns! — zagrzmiały jak burza i stał się cudny widok. Na rozległej grudzi pędził bezładny i pomieszany czambuł wprost do zasypywanego kulami brodu i rwał, jakby go skrzydła niosły. Każdy ordyniec przyległ był do konia, rozpłaszczył się, pochował w grzywie i karku, tak, iż gdyby nie chmura strzał, lecących ku rajtarji, rzekłbyś, iż same konie bez jeźdźców biegną; za nimi z hukiem, krzykiem i tętentem biegł lud olbrzymi, migocąc wzniesionemi w prawicach mieczami.

Bród był coraz bliżej; biegli staje, pół jeszcze i widocznie konie tatarskie dobywały już ostatnich sił, bo odległość między niemi a rajtarją poczęła się zmniejszać szybko.

W kilka minut potem pierwsze rajtarskie szeregi poczęły już siec mieczami zmykających na ostatku Tatarów, bród był tuż; tuż. Zdawało się, że w kilku skokach konie go dosięgną.

Nagle stało się coś dziwnego.

Oto, gdy czambuł dobiegł brodu, przeraźliwy świst piszczałek rozległ się znowu na skrzydłach czambułu i cała wataha zamiast wpaść w rzekę, aby na drugim jej brzegu szukać ocalenia, rozdzieliła się na dwie kupy i z szybkością stada jaskółek skoczyła w prawo i w lewo, wzdłuż jej biegu.

Lecz jadące na ich karkach ciężkie pułki, których konie wzięły już największy rozpęd, wpadły tąż samą siłą w bród i dopiero w wodzie już jeźdźcy poczęli hamować rozhukane rumaki.

Artylerja, która dotąd zasypywała szczerk dęszczem żelaza, umilkła nagle, aby swoich nie razić.

Lecz tej właśnie chwili czekał jak zbawienia hetman Gosiewski.

I jeszcze rajtarje nie dotknęły prawie wody, gdy straszna królewska chorągiew Woyniłłowiczowa ruszyła ku nim jak huragan, za nią laudańska, za nią Korsakowa, za niemi dwie hetmańskie, za niemi wolentarska, za nią pancerna księcia krajczego Michała Radziwiłła.

Krzyk straszny: — Bij, zabij! — zagrzmiał w powietrzu i nim pruskie pułki zdołały ściągnąć konie, zatrzymać się, zastawić mieczami, już woyniłłowiczowska rozniosła je, jak trąba powietrzna roznosi liście, zgniotła czerwonych dragonów, wsparła pułk Bogusławowy, rozbiła go na dwoje i poniosła się w pole ku głównej armji pruskiej.

Rzeka zrumieniła się krwią w jednej chwili, armaty poczęły grać na nowo, lecz zbyt późno, bo już ośm chorągwi litewskiej jazdy mknęło z hukiem i szumem po błoniu i cała bitwa przeniosła się na drugą stronę rzeki.

Sam pan podskarbi leciał przy jednej ze swych chorągwi z promiennem szczęściem w twarzy, a z ogniem w oczach, bo raz wyprowadziwszy jazdę za rzekę, już był pewien zwycięstwa.

Chorągwie, siekąc i bodąc na wyścigi, gnały przed sobą, resztki dragonji i rajtarów, które kładły się mostem, ile że ciężkie konie nie mogły dość śpiesznie umykać i tylko zasłaniały goniących przed pociskami.

Tymczasem Waldek, Bogusław Radziwiłł i Izrael pchnęli wszystką swą jazdę, by natarcie powstrzymać, sami zaś szykowali nagwałt piechotę. Pułk za pułkiem wybiegał od taboru i osadzał się na grudzi. Wbijano ciężkie dzidy tylnemi końcami w górę, pochylając je płotem ku nieprzyjacielowi.

W drugim szeregu muszkietnicy wyciągnęli rury muszkietów. Między czworobkami pułków ustawiano na łeb na szyję armaty. Ani Bogusław, ani Waldek, ani Izrael nie łudzili się, aby ich jazda mogła długo wręcz wytrzymać polskiej i cała nadzieja ich była w armatach i w piechocie. Tymczasem przed piechotą już konne pułki uderzyły o siebie pierś w pierś. Ale stało się to, co przewidzieli pruscy wodzowie.

Oto natarcie litewskiej jazdy było tak straszne, że całe masy kawalerji nie mogły ani na chwilę ich powstrzymać i że pierwsza husarska chorągiew rozszczepiła ich niby klin drzewo i szła nie krusząc kopij wśród gęstwy, jak statek gnany gwałtownym wichrem idzie wśród fal. Już, już coraz bliżej widać było proporce; po chwili łby husarskich koni wynurzyły się z tłumów pruskich.

— Baczność! — krzyknęli oficerowie, stojący w czworoboku piechoty.

Na to hasło knechtowie pruscy osadzili się silniej na nogach i wytężyli ręce, trzymając dzidy. A wszystkim serca waliły w piersiach gwałtownie, bo straszliwa husarja wynurzyła się już zupełnie i gnała wprost na nich.

— Ognia! — rozległa się znów komenda.

Muszkiety zagrzechotały w drugim i trzecim szeregu czworoboku. Dym owionął ludzi. Chwila jeszcze: huk nadlatującej chorągwi coraz bliżej. Już już dobiegają!... Nagle wśród dymu pierwszy szereg piechurów spostrzega tuż nad sobą, prawie nad głowami, tysiące końskich kopyt, rozwartych chrapów, rozpalonych oczu, słychać trzask łamanych dzid: krzyk okropny rozdziera powietrze; polskie głosy

wrzeszczą: — Bij! — niemieckie zaś: — Gott erbarme Dich meiner!

Pułk rozbity, zgnieciony, ale między innemi poczynają grać armaty. Już inne chorągwie dobiegają; każda za chwilę uderzy się o las dzid, ale być może, że nie każda go przełamie. bo żadna nie ma w sobie tak strasznej jak Woyniłłowiczowa siły. Krzyk wzmaga się na całem pobojowisku. Nie widać nic. Lecz z masy walczącej znów poczynają bezładnie wymykać się kupy żółtych piechurów z jakiegoś innego pułku. który widocznie także został rozbity.

Jeźdźcy w szarej barwie gnają za nimi, sieką i tratują z okrzykiem:

— Lauda! Lauda!

To pan Wołodyjowski uporał się z drugim czworobokiem.

Wszelako inne „tkwią“ jeszcze; jeszcze zwycięstwo może przechylić się na stronę pruską, zwłaszcza, że przy taborze stoją dwa nienaruszone regimenty, które ponieważ tabor zostawiono w spokoju, w każdej chwili mogą być przywołane.

Waldek stracił już wprawdzie głowę, Izraela niemasz, bo z jazdą go wysłano, ale Bogusław czuwa. rządzi wszystkiem. prowadzi całą bitwę i widząc coraz straszniejsze niebezpieczeństwo, wysyła pana Biesa po owe regimenty.

Pan Bies wypuszcza konia i w pół godziny wraca bez kołpaka. z przerażeniem i rozpaczą w twarzy.

— Orda w taborze! — krzyczy, dobiegłszy do Bogusława.

Jakoż w tej chwili na prawem skrzydle rozlegają się nieludzkie wycia i zbliżają się w każdej chwili.

Nagle ukazują się gromady jeźdźców szwedzkich, pędząc w okropnym popłochu, za nimi umykają bez broni już i bez kapeluszów piechurowie. za nimi w zamieszaniu, w bezładzie. pędzą wozy, ciągnięte przez zhukane i przerażone konie. Wszystko to leci oślep od taboru na własną pie-

chotę. Za chwilę wpadną, zamieszają ją, rozbiją, zwłaszcza, że od czoła gna na nią jazda litewska.

— Hassun-bej przedostał się do taboru! — woła w uniesieniu pan Gosiewski i puszcza ostatnie swe dwie chorągwie, jak dwa sokoły z berła.

I w tej samej chwili, gdy chorągwie owe uderzają na piechotę z czoła, jej własne wozy wpadają na nią zboku. Ostatnie czworoboki pękają jak pod uderzeniem młota. Z całej świetnej armji szwedzko-pruskiej czyni się jedna olbrzymia kupa, w której jazda miesza się z piechotą. Ludzie tratują się wzajemnie, przewracają, duszą, zrzucają odzież, ciskają broń. Jazda prze ich, tnie, gniecie, miażdży. To już nie bitwa przegrana, to klęska jedna z najokropniejszych w całej wojnie.

Lecz Bogusław, widząc, że wszystko stracone, postanawia przynajmniej siebie i nieco jazdy ocalić z pogromu.

Nadludzkiem wysileniem zbiera koło siebie kilkuset jeźdźców i wymyka wdal lewem skrzydłem, w kierunku biegu rzeki.

Już wydostał się z głównego wiru, gdy oto drugi Radziwiłł, książę Michał Kazimierz, uderza nań zboku ze swą nadworną husarją i jednem uderzeniem rozprasza cały oddział.

Rozproszeni uciekają pojedyńczo lub małemi kupkami. Jedynie szybkością koni mogą być ocaleni.

Jakoż husarja ich nie goni, bo uderza na główną kupę piechurów, których wycinają wszystkie inne chorągwie — więc tamci mkną, jak rozproszone stado sarn po błoniu.

Bogusław na karym Kmicicowym rumaku umyka jak wicher, próżno usiłując krzykiem skupić przy sobie choć kilkunastu ludzi. Nikt go nie słucha; każdy umyka na własną rękę, kontent, że wysunął się z pogromu i że nie ma już nieprzyjaciela przed sobą.

Lecz próżna radość. Nie ubiegli jeszcze tysiąca kroków, gdy wycie rozległo się nagle przed nimi i szara ćma tatarska wysunęła się od rzeki, przy której czaiła się aż dotąd.

Był to pan Kmicic ze swoją watahą. Wysunąwszy się z pola po przyprowadzeniu nieprzyjaciela do brodu, wrócił teraz, aby uciekającym przeciąć odwrót.

Tatarzy, widząc rozproszonych jeźdźców, w jednej chwili rozproszyli się i sami, aby ich łowić swobodniej i rozpoczął się pościg morderczy. Po dwóch, po trzech Tatarów przebiegało jednemu rajtarowi, a ów bronił się rzadko, częściej chwytał rapier za ostrze i rękojeścią wyciągał go ku ordyńcom, wzywając miłosierdzia. Lecz ordyńcy, wiedząc, że nie odprowadzą tych jeńców do domu, brali żywcem tylko starszyznę, która mogła się wykupić; pospolity żołnierz dostawał nożem po gardle i konał, nie mogąc nawet — Gott! — wykrzyknąć. Tych, którzy uciekali do ostatka, kłuto nożami w karki i plecy; tych, pod którymi nie rozpierały się konie, łowiono arkanami.

Kmicic rzucał się czas jakiś po pobojowisku, strącając jeźdźców i szukał oczyma Bogusława; nakoniec ujrzał go i poznał natychmiast po koniu, po błękitnej wstędze i kapeluszu z czarnemi strusiemi piórami.

Chmurka białego dymu otaczała księcia, bo właśnie przed chwilą napadło go dwóch Nohajców, lecz on jednego powalił wystrzałem z pistoletu, drugiego przebódł nawylot rapierem, zaczem ujrzawszy większą watahę, pędzącą z jednej, a Kmicica z drugiej strony, ścisnął konia ostrogami i pomknął jak jeleń ścigany przez psy gończe.

Przeszło pięćdziesięciu ludzi rzuciło się kupą za nim, lecz nie wszystkie konie biegły jednakowo, więc wkrótce kupa rozciągnęła się w długiego węża, którego głowę stanowił Bogusław, szyję Kmicic.

Książę pochylił się w kulbace; kary koń zdawał się ziemi nie tykać nogami, jeno czernił się na zielonej trawie, jak śmigająca nad ziemią jaskółka; cisawy wyciągał szyję nakształt żórawia, uszy stulił i zdawał się z własnej skóry chcieć wyskoczyć. Mijali samotne krzaki wierzbowe, kępy, gaiki olszynowe; Tatarzy zostali wtyle na staję, na dwie, na trzy, a oni biegli i biegli. Kmicic wyrzucił pistolety z olster,

by koniowi ulżyć, sam zaś ze wzrokiem wbitym w Bogusława, z zaciśniętemi zębami, leżąc prawie na szyi rumaka, bódł ostrogami spienione jego boki. aż wkrótce piana, spadająca na ziemię, stała się różową.

Lecz odległość pomiędzy nim a księciem nietylko nie zmniejszyła się na jeden cal, ale poczęła się powiększać.

— Gorze! — pomyślał pan Andrzej — tego konia żaden bachmat w świecie nie zgoni!

I gdy po kilku skokach odległość powiększyła się jeszcze bardziej, wyprostował się w kulbace, szablę puścił na temblak i złożywszy ręce koło ust, począł krzyczeć głosem spiżowym:

— Umykaj, zdrajco, przed Kmicicem! Nie dziś, to jutro cię dostanę!

Nagle, ledwie słowa te przebrzmiały w powietrzu, książę, który je słyszał, obejrzał się szybko, a widząc, że pan Kmicic sam go tylko goni, zamiast umykać dalej, zatoczył koło i z rapierem w ręku, rzucił się ku niemu.

Pan Andrzej wydał okropny krzyk radości i nie wstrzymując pędu, wzniósł szablę do cięcia.

— Trup! trup! — zawołał książę.

I chcąc tem pewniej uderzyć, począł konia hamować.

Kmicic, dobiegłszy, osadził też swego, aż kopyta zaryły się w ziemi i związał rapier z szablą.

Zwarli się tedy tak, że dwa konie uczyniły niemal jedną całość. Rozległ się straszny dźwięk żelaza, szybki jak myśl; żadne oczy nie mogłyby ułowić błyskawicznych ruchów rapiera i szabli, ni odróżnić księcia od Kmicica. Czasem zaczernił się Bogusławowy kapelusz, czasem błysnęła Kmicicowa misiurka. Konie szły młyńcem obok siebie. Miecze dźwięczały coraz okropniej.

Bogusław po kilku uderzeniach przestał lekceważyć przeciwnika. Wszystkie straszliwe pchnięcia, których wyuczył się od mistrzów francuskich, były odbite. Już pot spływał mu obficie z czoła, mieszając się na twarzy z barwiczką i bielidłem, już czuł znużenie w prawicy... Począł go chwytać

podziw, potem niecierpliwość, potem złość, więc postanowił skończyć i pchnął okropnie, aż kapelusz spadł mu z głowy.

Kmicic odbił z taką siłą, że rapier księcia aż do boku końskiego odleciał i nim Bogusław zdołał zastawić się na nowo, ciął go samym końcem szabli w czoło.

— Christ! — krzyknął po niemiecku książę.

I zwalił się w trawę. Padł wznak.

Pan Andrzej stał przez chwilę, jakby oszołomiony, lecz oprzytomniał prędko; szablę puścił na temblak, przeżegnał się, poczem zeskoczył z konia i chwyciwszy na nowo rękojeść, zbliżył się do księcia.

Straszny był, bo blady z umęczenia, jak chusta, wargi miał zaciśnięte i nieubłaganą nienawiść w twarzy.

Oto śmiertelny, a tak potężny wróg, a leżał teraz u jego nóg we krwi jeszcze i przytomny, ale zwyciężon i nie cudzą bronią, ani też z cudzą pomocą.

Bogusław patrzył na niego szeroko otwartemi oczyma, pilnie bacząc na każdy ruch zwycięzcy, a gdy Kmicic stanął tuż nad nim, zawołał prędko:

— Nie zabijaj mnie! Okup!

Kmicic zamiast odpowiedzieć, stanął mu nogą na piersiach i przycisnął z całej siły, poczem sztych szabli oparł mu na gardle, aż skóra ugięła się pod ostrzem; potrzebował tylko ręką ruszyć, tylko pocisnąć mocniej, lecz nie zabijał odrazu; chciał się jeszcze nasycić widokiem i śmierć uczynić nieprzyjacielowi cięższą. Oczy wbił w jego oczy i stał nad nim, jak stoi lew nad obalonym bawołem.

Wtem książę, któremu coraz więcej krwi wypływało z czoła, tak, iż cały wierzch głowy nurzał się jakoby w kałuży, ozwał się raz jeszcze, ale już przyduszonym głosem, bo stopa pana Andrzeja ciągle gniotła mu piersi:

— Dziewka... słuchaj...

Ledwie pan Andrzej usłyszał te słowa, zdjął nogę z piersi książęcych i szablę podniósł.

— Mów! — rzekł.

Lecz książę Bogusław czas jakiś oddychał tylko głęboko, wreszcie mocniejszym już głosem odpowiedział:

— Dziewka zginie, jeśli mnie zabijesz... Rozkazy wydane!

— Coś z nią uczynił? — spytał Kmicic.

— Zaniechaj mnie, to ci ją oddam, przysięgam... na ewangelję...

Na to pan Andrzej uderzył się pięścią w czoło przez chwilę znać było, że walczy ze sobą i ze swemi myślami, poczem rzekł:

— Słuchaj, zdrajco! Jabym stu takich wyrodków za jeden jej włos oddał!... Ale ja tobie nie wierzę, krzywoprzysięzco!

— Na ewangelję! — powtórzył książę. — Dam ci glejt i rozkaz na piśmie.

— Niechże tak będzie, daruję cię zdrowiem, ale cię z rąk nie puszczę. Dasz mi na piśmie... Tymczasem Tatarom cię oddam, u których w niewoli będziesz.

— Zgoda — rzekł książę.

— Pamiętaj! — odrzekł pan Andrzej. — Nie uchroniło cię przed moją ręką twoje księstwo, twoje wojska, twoje szermierstwo... I wiedz, że ilekroć mi wejdziesz w drogę, albo nie dotrzymasz-li słowa, nic cię nie uchroni, choćby cię cesarzem niemieckim kreowano... Poznajże mnie! Raz cię już miałem w ręku, teraz mi pod nogami leżysz!

— Przytomność mnie opuszcza — rzekł książę. — Panie Kmicic, woda musi tu być blisko... Daj mi pić i ranę zalej.

— Zdychaj parrycydo! — odrzekł Kmicic.

Lecz książę, bezpieczen już o życie, odzyskał, lubo ranny, całą pewność siebie i ozwał się:

— Głupiś, panie Kmicic! Jeśli umrę i ona...

Tu wargi mu zbielały.

Kmicic zaś skoczył szukać, czy w okolicy niema jakiego rowu lub też kałuży.

Książę omdlał, ale na krótką chwilę i obudził się na

szczęście swoje, gdyż tymczasem nadbiegł pierwszy Tatarzyn, Selim, syn Gazy-agi, chorąży z Kmicicowej watahy, a widząc broczącego we krwi nieprzyjaciela, postanowił przyszpilić go grotem od chorągwi do ziemi. Książę w tej chwili strasznej znalazł jeszcze tyle sił, że za grot ręką pochwycił, który słabo przytwierdzon, oderwał się od drzewca.

Odgłos tej krótkiej walki ściągnął napowrót pana Andrzeja.

— Stój! psi synu! — zakrzyknął, nadbiegając zdaleka.

Tatar na dźwięk znanego głosu przyległ ze strachu do konia. Kmicic kazał mu ruszyć po wodę, sam zaś został przy księciu, bo zdala widać było nadjeżdżających wskok Kiemliczów, Sorokę i cały czambuł, który wyłowiwszy wszystkich rajtarów, puścił się na poszukiwanie wodza.

Ujrzawszy pana Andrzeja, wierni Nohajcy wyrzucili z gromkim okrzykiem czapki w górę.

Akbah-Ułan zeskoczył z konia i począł mu się kłaniać, dotykając ręką czoła, ust i piersi. Inni, cmokając po tatarsku ustami, patrzyli z drapieżnością w oczach na leżącego rycerza, a z podziwem na jego zwycięzcę; niektórzy ruszyli łapać dwa konie; cisawego i karego, które biegały opodal z rozwianemi grzywami.

— Akbahu-Ułanie, — rzekł Kmicic, — to jest wódz wojsk, które pobiliśmy dziś rano: książę Bogusław Radziwiłł. Daruję wam go, a wy go trzymajcie, bo za żywego, czy za umarłego zapłacą wam sowicie. Teraz opatrzyć go, wziąć na arkan i zaprowadzić do obozu!

— Ałła! ałła! Dziękujem wodzu! dziękujem zwycięzco! — zawołali jednym głosem ordyńcy.

I znów rozległo się cmokanie tysiąca warg.

Kmicic kazał sobie podać konia, siadł i puścił się z częścią Tatarów ku polu bitwy.

Zdala już ujrzał chorążych, stojących ze znakami, ale przy chorągwiach było zaledwie po kilkunastu towarzystwa, reszta zagnała się za nieprzyjacielem. Gromady czeladzi kręciły się po pobojowisku, obdzierając trupy i czubiąc

się tu i owdzie z Tatarami, którzy czynili to samo. Szczególnie ci ostatni wyglądali poprostu strasznie z nożami w ręku i ubroczonemi po łokcie rękoma. Rzekłbyś, stado kruków spadło z chmur na pobojowisko. Dzikie ich śmiechy i wrzaski rozlegały się po całem polu.

Niektórzy, trzymając dymiące jeszcze noże w wargach, ciągnęli obu rękoma za nogi poległych, inni rzucali w siebie z żartów odciętemi głowami, inni ładowali sakwy, inni jak na bazarze podnosili w górę pokrwawione szaty, zachwalając ich doskonałość lub oglądali broń zdobytą.

Kmicic przejechał najprzód przez pole, na którem pierwszy spotkał się z rajtarją. Trupy ludzkie i końskie, pocięte mieczami, leżały tu w rozproszeniu; lecz tam, gdzie chorągwie cięły piechotę, wznosiły się ich całe stosy, a kałuże zakrzepłej już krwi pluskały pod kopytami końskiemi nakształt błota.

Trudno było tamtędy przejechać wśród szczątków połamanych dzid, muszkietów, trupów, poprzewracanych wozów taborowych i uwijających się kup Tatarstwa.

Pan Gosiewski stał dalej jeszcze na okopie warownego obozu, a przy nim książę krajczy Radziwiłł, Woyniłłowicz, Wołodyjowski, Korsak i kilkudziesięciu ludzi. Z wysokości tej ogarniali oczyma pole aż hen, do najdalszych krańców i mogli cały rozmiar swego zwycięstwa, a nieprzyjacielskiej klęski ocenić.

Kmicic ujrzawszy panów, przyśpieszył kroku, a pan Gosiewski, jako że był nietylko wojennik szczęśliwy, ale i człowiek zacny, bez cienia zazdrości w sercu, ledwie go ujrzał, zakrzyknął:

— Oto przybywa victor prawdziwy! Za jego to przyczyną ta potrzeba wygrana, ja pierwszy publicznie to oświadczam. Mości panowie! dziękujcie panu Babiniczowi, bo gdyby nie on, nie dostalibyśmy się przez rzekę!

— Vivat Babinicz! — krzyknęło kilkadziesiąt głosów — vivat! vivat!

— Gdzieś ty się, żołnierzu, wojny uczył? — spytał z uniesieniem hetman — żeś tak odrazu zrozumiał, co czynić należy?

Kmicic nie odpowiadał, bo nadto był utrudzon, tylko się kłaniał na wszystkie strony i ręką po zabrukanej od potu i prochowego dymu twarzy wodził. Oczy świeciły mu blaskiem nadzwyczajnym, a tymczasem wiwaty brzmiały ciągle. Oddział za oddziałem nadciągał z pola na spienionych koniach i co który nadciągnął, łączył się z całej piersi z głosami na cześć Babinicza. Czapki wylatywały w górę, kto bandolety miał niewystrzelone, ten ognia dawał.

Nagle pan Andrzej stanął w kulbace i podniósłszy obie ręce do góry, huknął jak grzmot:

— Vivat Jan Kazimierz! pan nasz i ojciec miłościwy!

Tu powstał taki krzyk, jakby nowa bitwa się zaczęła. Zapał niewypowiedziany ogarnął wszystkich.

Książę Michał odpasał szablę z pochwą diamentami sadzoną i oddał ją Kmicicowi, hetman delję własną kosztowną zarzucił mu na ramiona, a on znów wzniósł ręce do góry:

— Vivat nasz hetman, wódz zwycięski!

— Crescat! floreat! — odpowiedziano chórem.

Zaczem poczęto chorągwie zdobyte zwozić i zatykać w wale pod nogami wodzów. Ani jednej nie uniósł nieprzyjaciel: były pruskie komputowe, pruskie pospolitego ruszenia, szlacheckie, były szwedzkie, Bogusławowe, cała ich tęcza powiała u wału.

— Jedna to z największych wiktoryj w tej wojnie! — zawołał hetman. — Izrael i Waldek w niewoli, pułkownicy polegli lub w niewoli, wojsko w pień wycięte...

Tu zwrócił się do Kmicica:

— Panie Babinicz, waść w tamtej stronie z Bogusławem musiałeś się spotkać... Co się z nim dzieje?

Tu i pan Wołodyjowski począł pilnie patrzeć w oczy Kmicica, ów zaś odrzekł śpiesznie:

— Księcia Bogusława Bóg pokarał tą oto ręką!

To rzekłszy, wyciągnął prawicę, lecz w tej chwili mały rycerz rzucił mu się w objęcia.

— Jędrek! — krzyknął — nie zajrzę ci! Niech cię Bóg błogosławi!

— Tyś to mi rękę formował! — odrzekł z wylaniem pan Andrzej.

Lecz dalszy wylew braterskich uczuć powstrzymał książę krajczy.

— Zali brat mój zabit? — spytał żywo.

— Nie zabit, — odparł Kmicic, — bom mu życie darował, ale ranny i pojman. A owo, tam ot, prowadzą go moi Nohajcy!

Na te słowa zdumienie odmalowało się w twarzy pana Wołodyjowskiego, a oczy rycerstwa zwróciły się ku równinie, na której ukazał się oddział kilkudziesięciu Tatarów i zbliżał się wolno; nakoniec, minąwszy kupy połamanych wozów, przysunął się o kilkadziesiąt kroków do okopu.

Wówczas ujrzano, że jadący w przodzie Tatar prowadzi jeńca; poznali wszyscy Bogusława, lecz w jakiejże losów odmianie!...

On, jeden z najpotężniejszych panów w Rzeczypospolitej, on, który wczoraj jeszcze o państwie udzielnem marzył, on, książę Rzeszy Niemieckiej, szedł teraz z arkanem na szyi, pieszo, przy koniu tatarskim, bez kapelusza, z krwawą głową, obwiązaną w brudną szmatę. Taka jednak zawziętość była przeciw temu magnatowi w sercach rycerstwa, że straszne to upokorzenie nie wzbudziło niczyjej litości, owszem wszystkie niemal usta zawrzasły w jednej chwili.

— Śmierć zdrajcy! Na szablach go roznieść! śmierć! śmierć!

A książę Michał oczy ręką zatkał, bo przecie to Radziwiłła prowadzono w takim upodleniu. Nagle poczerwieniał i krzyknął:

— Mości panowie! to mój brat, to moja krew, a jam ni zdrowia, ni mienia nie żałował dla ojczyzny! Wróg mój, kto na tego nieszczęśnika rękę podniesie.

Rycerze umilkli zaraz.

Księcia Michała kochano powszechnie za męstwo, hojność i serce wylane dla ojczyzny. Wszakże, gdy cała Litwa wpadła w moc hiperborejską, on jeden bronił się w Nieświeżu, za wojen szwedzkich wzgardził namowami Janusza i jeden z pierwszych przystał do konfederacji tyszowieckiej, więc też głos jego znalazł i teraz posłuch. Wreszcie, może nikt nie chciał narazić się tak potężnemu panu, dość, że szable schowały się zaraz do pochew, a nawet kilku oficerów, klientów radziwiłłowskich, zawołało:

— Odjąć go Tatarom! Niech go Rzeczpospolita sądzi, ale nie dajmy poniewierać krwi zacnej poganom!

— Odjąć go Tatarom! — powtórzył książę — znajdziemy zakładnika, a okup on sam zapłaci! Panie Woyniłłowicz, rusz-no swoich ludzi i niech siłą go wezmą, jeśli inaczej nie będzie można!

— Ja się jako zakładnik Tatarom ofiaruję! — zawołał pan Gnoiński.

Tymczasem Wołodyjowski przysunął się do Kmicica i rzekł:

— Jędrek! coś ty najlepszego uczynił? Toż on cało wyjdzie z tych terminów!

Na to Kmicic skoczył jak ranny żbik.

— Za pozwoleniem, mości książę! — krzyknął. — To mój jeniec! Jam go zdrowiem darował, ale pod kondycjami, które mi na swoją heretycką ewangelję zaprzysiągł i niech trupem padnę, jeśli wyjdzie z rąk, w które go oddałem, nim mi wszystkiego dotrzyma!

To rzekłszy, zdarł konia, zastawił drogę i już już wrodzona popędliwość poczęła go unosić, bo twarz mu się skurczyła, rozdął nozdrza i oczyma błyskawice jął rzucać.

A tymczasem pan Woyniłłowicz nacisnął go koniem.

— Nabok, panie Babinicz! — zakrzyknął.

— Nabok, panie Woyniłłowicz! — wrzasnął pan Andrzej i uderzył rękojeścią szabli woyniłłowiczowskiego

konia z tak straszną siłą, że rumak zachwiał się na nogach, jakby uderzony kulą i nozdrzami zarył w ziemię.

Stał się tedy huk srogi między rycerstwem, aż pan Gosiewski wysunął się naprzód i rzekł:

— Milczeć waszmościom! Mości książę, z mocy mojej władzy hetmańskiej oświadczam, że pan Babinicz ma prawo do jeńca i że kto chce go z rąk tatarskich wydobyć, musi dać jego zwycięzcy porękę!

Książę Michał opanował wzburzenie, uspokoił się i rzekł, zwracając mowę do pana Andrzeja:

— Mów waść, czego chcesz?

— By mi kondycyj dotrzymał, zanim z niewoli wyjdzie.

— To ci dotrzyma wyszedłszy.

— Nie może być! Nie wierzę!

— Tedy ja za niego przysięgam na Matkę Najświętszą, którą wyznaję i na parol rycerski, że wszystko ci będzie dotrzymane. W przeciwnym razie możesz mnie na honorze i majętności poszukiwać.

— Dość mi! — rzekł Kmicic. — Niech pan Gnoiński na zakładnika jedzie, bo inaczej Tatarzy opór stawią. Ja poprzestaję na słowie.

— Dziękuję ci, panie kawalerze! — odrzekł książę krajczy. — Nie bój się także, aby wolność zaraz odzyskał, bo go panu hetmanowi z prawa oddam i jeńcem aż do królewskiego wyroku zostanie.

— Tak będzie! — rzekł hetman.

I rozkazawszy Woyniłłowiczowi siąść na świeżego konia, bo tamten ledwie już drgał, wysłał go wraz z panem Gnoińskim po księcia.

Lecz sprawa nie poszła jeszcze łatwo. Jeńca trzeba było siłą brać, bo sam Hassun-bej stawił groźny opór i dopiero widok pana Gnoińskiego i umówiony okup stu tysięcy talarów zdołał go uspokoić.

Zaczem wieczorem książę Bogusław znajdował się już w namiotach pana Gosiewskiego. Opatrzono go tam starannie, dwóch medyków nie opuszczało go ani chwili i obaj

ręczyli za jego zdrowie, gdyż rana, jako zadana samym końcem szabli, nie była zbyt ciężką.

Pan Wołodyjowski nie mógł przebaczyć Kmicicowi, że księciu życie darował i z żalu unikał go cały dzień, dopiero wieczorem sam pan Andrzej przyszedł do jego namiotu.

— Bój się ran boskich! — wykrzyknął na jego widok mały rycerz. — Prędzejbym się po każdym tego spodziewał, aniżeli po tobie. że żywcem tego zdrajcę wypuści!...

— Słuchaj mnie, Michale. zanim potępisz — odrzekł ponuro Kmicic. — Miałem go już pod nogą i sztych trzymałem mu przy gardzieli, a wówczas. wiesz. co mi ten zdrajca rzekł?... Oto, że są rozkazy wydane, aby Oleńkę na gardle w Taurogach karano. jeśli on zginie... Com miał nieszczęsny czynić? Kupiłem jej życie za jego życie... Com miał czynić... na krzyż Chrystusów... Com miał czynić?

Tu zaczął targać się za czuprynę pan Andrzej i nogami z uniesienia tupał. a pan Wołodyjowski zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Pojmuję twoją desperację... ale zawsze... tyś, widzisz, zdrajcę ojczyzny wypuścił. który ciężkie paroksyzmy na Rzeczpospolitą w przyszłości sprowadzić może... Niema co. Jędrek! Zasłużyłeś się dzisiaj okrutnie. aleś wkońcu dobro publiczne dla prywaty poświęcił.

— A ty, ty sam, cobyś uczynił, gdyby ci powiedziano, że nóż na gardle panny Anny Borzobohatej trzymają?...

Wołodyjowski począł okrutnie wąsikami ruszać.

— Jać się za przykład nie podawam· Hm! cobym uczynił?... Ale Skrzetuski, który ma duszę rzymską, tenby go nie żywił, a przecie jestem pewien. że Bóg nie pozwoliłby, aby krew niewinna dlatego została rozlana.

— Niechże ja pokutuję. Ukarz mnie Boże, nie wedle winy mej ciężkiej, jeno wedle Twojego miłosierdzia... bo żeby wyrok na tego gołębia podpisać...

Tu Kmicic oczy zatkał.

— Ratujcież mnie anieli! Nigdy! nigdy!

— Stało się! — rzekł Wołodyjowski.

Na to pan Andrzej wydobył z zanadrza papiery.

— Patrz, Michale! oto, com zyskał. To rozkaz do Sakowicza, to do wszystkich oficerów radziwiłłowskich i do komendantów szwedzkich... Kazali mu podpisać choć ledwo ręką ruszał... Książę krajczy sam pilnował... Oto jej wolność, jej bezpieczeństwo! Dlaboga, krzyżem będę przez rok codzień leżał, kańczugiem ciąć się każę, kościół nowy będę erygował, ale jej życia nie poświęcę! Nie mam rzymskiej duszy... dobrze! Nie jestem Katonem, jako pan Skrzetuski... dobrze! Ale nie poświęcę! nie, do stu piorunów i niechaj mnie w ostatku w piekle na rożen...

Kmicic nie dokończył, bo pan Wołodyjowski skoczył i zatkał mu usta ręką, krzyknąwszy przeraźliwym głosem:

— Nie bluźnij! bo na nią pomstę bożą ściągniesz! Bij się w piersi! żywo, żywo!

I Kmicic począł się walić w piersi: — Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa! — Nareszcie ryknął wielkim płaczem biedne żołnierzysko, bo już sam nie wiedział, co ma czynić.

Wołodyjowski pozwolił mu się wypłakać dowoli, wreszcie gdy się uspokoił, spytał go:

— A co teraz przedsięweźmiesz?

— Pójdę z watahą, gdzie mnie posłano, aż hen! pod Birże! Niech jeno ludzie i konie odetchną. Po drodze, co będę mógł heretyckiej krwi na chwałę bożą rozlać, to jeszcze rozleję.

— I będziesz miał zasługę. Nie trać fantazji, Jędrek. Bóg miłosierny!

— Pójdę prosto, jako sierpem rzucił. Całe Prusy teraz stoją otworem, chyba gdzie niegdzie małe prezydja nadybię.

Pan Michał westchnął:

— Ej, poszedłbym z tobą z taką ochotą, jakby do raju! Ale komendy trzymać się muszę. Szczęśliwyś ty, że wolentarzami dowodzisz... Jędrek! słuchaj, bracie!... a jak je

obie odnajdziesz, to... opiekujże się i tamtą, aby zaś jej źle nie było... Bóg wie, może mi ona pisana...

To rzekłszy, mały rycerz rzucił się w objęcia pana Kmicica.

ROZDZIAŁ XII.

Oleńka i Anusia wydostawszy się pod opieką Brauna z Taurogów, dotarły szczęśliwie do partji pana miecznika, który stał podówczas pod Olszą, zatem od Taurogów niezbyt daleko.

Stary szlachcic, gdy je obie w dobrem zdrowiu zobaczył, najprzód oczom własnym wierzyć nie chciał, potem zapłakał z radości, a następnie wpadł w taki wojowniczy zapał, iż nie było już dla niego niebezpieczeństw. Niechby nietylko Bogusław, ale sam król szwedzki z całą potęgą nastąpił, pan miecznik gotów był bronić swoich dziewczyn przed wszelkim nieprzyjacielem.

— Pierwej polegnę, — mówił, — niż włos wam z głowy spadnie. Nie ten ja już człowiek, któregoście znały w Taurogach i tak myślę, że długo popamiętają Szwedzi Girlakole, Jaswojnię i te cięgi, które im pod samemi Rosieniami zadałem. Prawda, że zdrajca Sakowicz napadł nas niespodzianie i rozproszył, ale oto znów kilkaset szabel ma się na usługi.

Pan miecznik niebardzo przesadzał, bo rzeczywiście trudno w nim było poznać upadłego na duchu taurożańskiego jeńca. Inną wcale miał fantazję; energia jego odżyła; w polu, na koniu, znalazł się w swoim żywiole, a będąc żołnierzem dobrym, rzeczywiście kilkakrotnie już Szwedów mocno poszarpał. Że zaś wielką miał powagę w okolicy, więc też kupiła się do niego chętnie szlachta i lud prosty, a i z dalszych powiatów raz wraz któryś z Billewiczów przyprowadzał po kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt koni.

Partja miecznikowa składała się z trzystu piechoty chłopskiej i około pięciuset jeźdźców. W piechocie rzadko kto miał rusznicę, większość zbrojna była w kosy i widły;

jazda stanowiła zbieraninę zamożniejszej szlachty, która z czeladzią w lasy ruszyła i uboższej z zaścianków. Uzbrojenie jej lepsze było, niż piechoty, ale bardzo rozmaite. Tyki chmielowe służyły wielu za kopje; inni nosili broń rodzinną bogatą, ale częstokroć zeszłowieczną; konie rozmaitej krwi i dobroci nie nadawały się do jednego szeregu.

Mógł miecznik z takiem wojskiem zastępować drogę patrolom szwedzkim, mógł wycinać większe nawet oddziały jazdy, mógł oczyszczać lasy i wsie z grasantów, których liczne watahy, złożone ze zbiegów szwedzkich, pruskich i miejscowych łotrzyków, trudniły się rozbojem, ale nie mógł na żadne miasto uderzyć.

Owóż Szwedzi zmądrzeli już. Zaraz po wybuchu powstania wycięto na całej Żmudzi i Litwie tych, którzy w kwaterach rozproszeni po wsiach stali; teraz więc ci, którzy ocaleli, trzymali się naprędce obwarowanych miast, z których wychylali się tylko na bliższe ekspedycje. Stało się zatem, że pola, lasy, wioski i pomniejsze miasteczka były w ręku polskich, a zato wszystkie większe grody dzierżyli Szwedzi i rugować ich nie było sposobu.

Miecznikowa partja była jedną z najlepszych; inne mniej jeszcze mogły wskórać. Na granicy Inflant powstańcy uzuchwalili się wprawdzie tak dalece, że po dwakroć Birże oblegli. które za drugim razem zmuszone były poddać się, ale chwilowa ta przewaga wypłynęła stąd. że de la Gardie pościągał na obronę Rygi przeciw carskiej potędze wszystkie wojska z pogranicznych Inflantom powiatów.

Świetne jego i rzadkie w dziejach zwycięstwa kazały się jednak spodziewać, że tamta wojna wkrótce zostanie ukończoną, a potem na Żmudź nadciągną nowe i upojone triumfami wojska szwedzkie. Wszelako tymczasem dość było w lasach bezpiecznie i liczne partje powstańcze, same niewiele zdolne przedsięwziąć, mogły być wszelako pewne, że ich nieprzyjaciel po zapadłych puszczach szukać nie będzie.

Dlatego pan miecznik porzucił myśl schronienia się do puszczy Białowieskiej, bo droga do niej była bardzo da-

leka, a po drodze siła miast znacznych, opatrzonych w liczne prezydja.

— Pan Bóg dał suchą jesień, — mówił do swoich dziewcząt, — zaczem i łatwiej żyć sub Jove. Każę wam namiocik foremny sporządzić, babę do usług wam dam i zostaniecie w obozie. Niemasz w tych czasiech bezpieczniejszego schronienia jak w lasach. Billewicze moje docna spalone; na dwory grasanci nachodzą, często i podjzdy szwedzkie. Gdzie wam bezpieczniej głowy przytulić, jako przy mnie, który kilkaset szabel mam do rozporządzenia? Przyjdą zaś później słoty, to wam się jaką chacinę w głębokich ostępach wynajdzie.

Myśl ta podobała się bardzo pannie Borzobohatej, bo w partji było kilku młodych Billewiczów, grzecznych kawalerów, a wreszcie mówiono bezustanku, że pan Babinicz w te strony ciągnie.

Spodziewała się tedy Anusia, że nadciągnąwszy, w mig Szwedów wyżenie, a potem... potem będzie, co Bóg da. Oleńka sądziła również, że najbezpieczniej przy partji, chciała się tylko od Taurogów oddalić, pościgu Sakowicza się obawiając.

— Pójdźmy ku Wodoktom. — rzekła, tam będziem między swymi. Choćby też były spalone, są Mitruny i wszystkie zaścianki okoliczne. Niepodobna, by cały kraj tamtejszy w pustynię miał być zmieniony. Lauda w razie niebezpieczeństwa będzie nas bronić.

— Ba, wszyscy laudańscy z Wołodyjowskim wyszli — zaoponował młody Jur Billewicz.

— Zostali starzy i wyrostki, wreszcie nawet niewiasty tamtejsze bronić się w razie potrzeby umieją. Puszcze tam także większe, niż tu; Domaszewicze Myśliwi, albo Gościewicze Dymni do Rogowskiej nas zawiodą, w której żaden nieprzyjaciel nas nie odnajdzie.

— A ja taborek i was ubezpieczywszy, będę na Szwedów wypadał i znosił tych, którzy się na brzegi puszczańskie

odważą — rzekł pan miecznik. — To jest przednia myśl! Nic tu po nas, tam większe usługi oddać można.

Kto wie, czy miecznik nie dlatego chwycił się tak skwapliwie rady panny Aleksandry, że w duszy także nieco się Sakowicza obawiał, który do rozpaczy przywiedzion, mógł być straszny.

Rada jednak była sama w sobie mądra, dlatego wszystkim odrazu przypadła do smaku, więc miecznik tego samego jeszcze dnia wysłał pod dowództwem Jura Billewicza piechotę, aby się przedzierała lasami w kierunku Krakinowa; sam zaś z jazdą ruszył w dwa dni później, zasięgnąwszy wprzód dokładnych wieści, czy z Kiejdan lub z Rosień, między któremi musiał przechodzić, nie wyszły jakie znaczniejsze szwedzkie wojska.

Szli zwolna i ostrożnie. Panny jechały na chłopskich wózkach, a czasami na podjezdkach, o które miecznik się wystarał.

Anusia, dostawszy w darze od Jura lekką szabelkę, przewiesiła ją mężnie przez siebie na jedwabnych rapciach i w kołpaczku, nałożonym z fantazją na głowę, oganiała, niby jaki rotmistrz, chorągiew. Bawił ją pochód i szable błyszczące w słońcu i rozkładane nocą ogniska. Zachwycali się nią wielce młodzi oficerowie i żołnierze, a ona strzygła oczyma na wszystkie strony, rozpuszczała w pochodzie warkocze, poto, by je po trzy razy na dzień zaplatać nad brzegami jasnych strumieni, które zastępowały jej zwierciadło. Mówiła często, że chce widzieć bitwę, aby dać przykład męstwa, ale w rzeczy samej wcale nie pragnęła bitwy; chciała tylko pogrążyć serca wszystkich młodych wojowników, jakoż i pogrążyła ich liczbę niepomierną.

Oleńka także jakoby na nowo odżyła po opuszczeniu Taurogów. Tam zabijała ją niepewność losu i ciągła obawa, teraz czuła się bezpieczniejszą w głębinach leśnych. Zdrowe powietrze wracało jej siły. Widok żołnierstwa, broni, ruch i gwar obozowy, działały jak balsam na zmęczoną jej duszę. I jej również sprawiał przyjemność pochód wojsk, a możliwe

niebezpieczeństwa nie przestraszały bynajmniej, bo przecie rycerska krew płynęła w jej żyłach. Mniej okazując się żołnierzom, nie pozwalając sobie buszować na podjezdku przed szeregami, mniej też ściągała na się oczu. Ale natomiast otaczał ją szacunek powszechny.

Uśmiechały się wąsate twarze żołnierskie na widok Anusi, a odkrywały się głowy, gdy Oleńka zbliżała się do ognisk. Szacunek ów zmienił się później w uwielbienie. Nie było też bez tego, by jakie serce nie zabiło dla niej w młodej piersi, jeno, że oczy nie śmiały na nią patrzeć tak wprost, jak na ową czarnuszkę-ukrainkę.

Szli lasami, zaroślami, często wysyłając przed sobą zwiady i aż dopiero siódmego dnia przybyli późną już nocą do Lubicza, który leżał na skraju laudańskiej okolicy, stanowiąc, jakoby wrota do niej. Konie tak były dnia tego zmęczone, że mimo przedstawień Oleńki, niepodobna było ruszyć dalej, więc miecznik zakazał dziewczynie wydziwiać i roztasował partję na nocleg. Sam z pannami stanął we dworze, bo i czas był mglisty, a chłodny bardzo. Dziwnym trafem dwór nie był spalony. Nieprzyjaciel oszczędził go prawdopodobnie z polecenia księcia Janusza Radziwiłła, dlatego, że był Kmicicowy, a chociaż później książę dowiedział się o odstępstwie pana Andrzeja, zapomniał lub nie miał czasu wydać nowych rozkazów. Powstańcy uważali całą majętność za billewiczowską własność, grasanci nie śmieli rabować pod bokiem Laudy. Więc nie zmieniło się w nim nic. Oleńka wchodziła ze strasznem uczuciem bólu i goryczy pod ten dach. Znała tu każdy kąt, lecz niemal z każdym łączyło się jakoweś wspomnienie Kmicicowego występku. Oto przed nią sala jadalna, ubrana w konterfekty Billewiczów i w czaszki leśnego zwierza. Potrzaskane kulami czaszki są jeszcze na gwoździach, pochlastane szablami portrety spoglądają surowo ze ścian, jakoby chciały mówić: — Patrz dziewczyno, patrz nasza wnuczko, to on świętokradzką ręką pociął wizerunki naszych ziemskich postaci, dawno spoczywających już w grobach!

Oleńka czuła, że oczu nie zmruży w tym domu splamionym. Zdało jej się, że w ciemnych kątach komnat snują się jeszcze widma strasznych kompanjonów, buchające ogniem z nozdrzy. I jakże prędko przechodził ten człowiek, tak przez nią kochany, od swawoli do występku, od występku do coraz większych zbrodni, od porąbania wizerunków do rozpusty, do spalenia Upity i Wołmontowicz, do porwania jej samej z Wodoktów, dalej do służby radziwiłłowskiej, do zdrady, ukoronowanej obietnicą podniesienia ręki na króla, na ojca całej Rzeczypospolitej...

Noc biegła, a sen nie chwytał się powiek nieszczęsnej Oleńki. Wszystkie rany duszy odnowiły się w niej i poczęły piec boleśnie. Wstyd na nowo palił jej policzki; oczy nie roniły w tej chwili łez, ale serce ogarniała taka żałość niezmierna, że nie mogąca się w tem biednem sercu pomieścić...

Żałość za czem? Za tem, coby być mogło, gdyby on był inny, gdyby przy swych narowach, dzikości i swawoli, choć serce przynajmniej miał uczciwe, gdyby wreszcie miał choć miarę w zbrodni, gdyby istniała jakaś granica, przez którąby przejść nie był zdolen. Przecie jej serce przebaczyłoby tak wiele...

Spostrzegła mękę towarzyszki Anusia i dorozumiała się powodu, bo jej poprzednio już całą historję stary miecznik wyśpiewał, więc mając serce dobre, podeszła ku pannie Billewiczównie i zarzuciwszy jej ręce na szyję, rzekła:

— Oleńka! ty w tym domu od boleści się wijesz...

Oleńka z początku nie chciała nic mówić, jeno poczęła się trząść całem ciałem, jako osinowy liść, a wkońcu płacz straszny, rozpaczliwy, wyrwał się z jej piersi. Chwyciwszy konwulsyjnie rękę Anusi, głowę swą jasną wsparła na jej ramieniu i łkanie targało nią jak wicher krzewem.

Anusia długo czekać musiała, zanim przeszło, wreszcie, gdy Oleńka uspokoiła się nieco, ozwała się pocichu:

— Oleńka, módlmy się za niego...

A tamta obu rękoma zakryła oczy.

— Nie... mogę!... — rzekła z wysileniem.

I po chwili, zagarniając gorączkowo wtył włosy, które opadły jej na skronie, poczęła mówić zdyszanym głosem:

— Widzisz... nie mogę... Ty szczęśliwa!... Twój Babinicz zacny, sławny... przed Bogiem... i ojczyną... Ty szczęśliwa! Mnie się nie wolno nawet modlić... Tu wszędy krew ludzka... zgliszcza! Żeby choć ojczyzny nie zdradził! żeby się króla sprzedać nie podjął!... Ja poprzednio już wszystko przebaczyłam... w Kiejdanach... bom myślała... bo miłowałam go... z całego serca!... Ale teraz nie mogę... O Boże miłosierny! nie mogę!... Chciałabym sama nie żyć... i żeby on już nie żył!

Na to Anusia:

— Za każdą duszę modlić się wolno, bo Bóg miłosierniejszy od ludzi i przyczyny wie, których ludzie często nie wiedzą.

To rzekłszy, klękła do modlitwy, a Oleńka rzuciła się krzyżem na ziemię i przeleżała tak aż do rana.

Nazajutrz gruchnęła wieść po okolicy, że pan miecznik Billewicz jest na Laudzie. Na tę wieść, kto żyw był, wychodził witać. Więc z lasów okolicznych wychodzili starcy zgrzybiali i niewiasty z dziećmi małemi. Dwa lata nie siał już nikt, ni orał w zaściankach. Same zaścianki były częścią spalone i puste. Ludność żyła w lasach. Mężowie w sile wieku poszli z panem Wołodyjowskim lub do różnych partyj, tylko wyrostkowie strzegli i bronili resztek dobytku i bronili dobrze, ale pod osłoną puszcz.

Witano tedy miecznika, jak zbawcę, wielkim płaczem radości, bo tym prostym ludziom zdało się, że kiedy miecznik przyszedł i „panna“ wraca do dawnego gniazda, to już musi być wojnie i klęskom koniec. Jakoż zaraz poczęli wracać do zaścianków i zganiać półdziki dobytek z najgłębszych ostępów.

Szwedzi siedzieli wprawdzie niedaleko, obwarowani szańcami w Poniewieżu, ale wobec miecznikowej siły i innych okolicznych partyj, które można było przywołać w razie potrzeby, mniej już na nich zważano.

Pan Tomasz zamierzał nawet uderzyć na Poniewież, aby całkiem powiat oczyścić; czekał tylko, by jeszcze więcej luda zebrało się pod jego chorągiew, a zwłaszcza, by jego piechocie dostarczono strzelb, których znaczną liczbę mieli ukrytą w lasach Domaszewicze Myśliwi; tymczasem oglądał się po okolicy, przejeżdżając od wioski do wioski.

Ale smutna to była lustracja. W Wodoktach dwór był spalony i połowa wsi; Mitruny również; Wołmontowicze i Butrymów, które swego czasu spalił Kmicic, odbudowały się po pożarze i dziwnym trafem ocalały; zato Drożejkiany i Mozgi Domaszewiczów były spalone docna; Pacunele do połowy, Morozy całkiem, Goszczuny najsroższego losu doznały, bo i ludność była do połowy w pień wycięta, a wszyscy mężczyźni, od starców do kilkunastoletnich chłopaków, mieli z rozkazu pułkownika Rosy poucinane ręce.

Tak wojna deptała strasznie te okolice, takie były skutki zdrady księcia Janusza Radziwiłła.

Lecz nim miecznik skończył lustrację i postawił swoje chorągwie piechoty, przyszły znów wieści radosne zarazem i straszne, które tysiącznem echem rozbrzmiały od chaty do chaty.

Jurek Billewicz, poszedłszy w kilkadziesiąt koni z podjazdem pod Poniewież i zachwyciwszy kilku Szwedów, pierwszy dowiedział się o bitwie pod Prostkami. Następnie co nowina, to przychodziło więcej szczegółów tak cudownych, że na baśń zakrawały.

— Pan Gosiewski — powtarzano — zbił grafa Waldeka, Izraela i księcia Bogusława. Wojsko zniesione zeszczętem, wodzowie w niewoli! Całe Prusy jednym ogniem płoną!

W kilka tygodni później jeszcze jedno groźne nazwisko poczęły powtarzać usta ludzkie: nazwisko Babinicza.

— Babinicz głównie do wiktorji pod Prostkami się przyczynił — mówiono na całej Żmudzi. — Babinicz księcia Bogusława własną ręką usiekł i pojmał.

A dalej:

— Babinicz pali Prusy elektorskie, idzie jako śmierć ku Żmudzi, ścina, ziemię a niebo zostawuje.

Wkońcu zaś:

— Babinicz Taurogi spalił. Sakowicz uciekł przed nim i po lasach się kryje...

Ostatni wypadek zaszedł zbyt blisko, by długo pozostać mógł wątpliwym. Jakoż wieść sprawdziła się w zupełności.

Anusia Borzobohata przez cały czas, gdy te wieści dochodziły, żyła jakby w odurzeniu, śmiała się i płakała naprzemian, tupała nogami, gdy kto nie wierzył i powtarzała wszystkim, czy kto chciał, czy nie chciał słuchać:

— Ja pana Babinicza znam! On mnie z Zamościa do pana Sapiehy przywiózł. Największy to w świecie wojownik. Nie wiem, czyli i pan Czarniecki mu dorówna. On to, pod panem Sapiehą służąc, całkiem księcia Bogusława w czasie pierwszej wyprawy pognębił... On, jestem pewna, że nie kto inny, pod Prostkami go usiekł. Da on panu Sakowiczowi i takim dziesięciu, jak Sakowicz!... A Szwedów w miesiąc z całej Żmudzi wymiecie!

Jakoż zaręczenia jej poczęły się prędko sprawdzać. Nie było już najmniejszej wątpliwości, że groźny wojownik, zwany Babiniczem, posunął się od Taurogów w głąb ku północy kraju.

Pod Kołtyniami zbił pułkownika Baldona i oddział jego zniósł zeszczętem: pod Worniami wyciął piechotę szwedzką, która cofała się przed nim do Telsz, pod Telszami stoczył większą zwycięską bitwę z dwoma pułkownikami Normanem i Hudenskiöldem, w której Hudenskiöld poległ, a Norman z niedobitkami nie oparł się aż w Zagórach, na samej granicy żmudzkiej.

Z Telsz ruszył Babinicz ku Kurszanom, pędząc przed sobą mniejsze oddziały szwedzkie, które nagwałt chroniły się przed nim pod skrzydła znaczniejszych załóg.

Od Taurogów i Połągi do Birż i Wiłkomierza brzmiało imię zwycięzcy. Rozpowiadano o okrucieństwach, których się nad Szwedami dopuszczał; mówiono, że wojska jego,

złożone początkowo z niewielkiego czambułu Tatarów i chorągiewki wolentarzy, rosną z dnia na dzień, bo kto żyw, biegnie do niego, wszystkie partje łączą się z nim, a on ujmuje je w kluby żelazne i prowadzi na nieprzyjaciela.

Umysły tak dalece były jego zwycięstwami zajęte, że wieść o klęsce, jaką pan Gosiewski poniósł od Steinboka pod Filipowem, przeszła prawie bez echa. Babinicz był bliższym i Babiniczem więcej się zajmowano.

Anusia codzień błagała miecznika, ażeby szedł łączyć się ze wsławionym wojownikiem. Popierała ją i Oleńka, naglili wszyscy oficerowie i szlachta, którą sama ciekawość podniecała.

Ale nie była to rzecz łatwa. Najprzód Babinicz był w innej stronie; po wtóre często zapadał tak, że po całych tygodniach nie było o nim słychać i wypływał znów razem z wieścią o nowem zwycięstwie; po trzecie, wszystkie oddziały i załogi szwedzkie z miast i miasteczek, chroniąc się przed nim, zagrodziły wielkiemi kupami drogę; nakoniec za Rosieniami pojawił się znaczny oddział Sakowicza, o którym przyniesiono wiadomość, że niszczy wszystko przed sobą straszliwie, i mękami ludzi morząc, o partję billewiczowską ich bada.

Miecznik nietylko nie mógł ruszyć ku Babiniczowi, ale obawiał się, czy mu w okolicach Laudy nie stanie się wkrótce za ciasno.

Więc sam nie wiedząc, co począć, zwierzył się Jurkowi Billewiczowi, że ma zamiar w lasy rogowskie na wschód się cofać. Jurek wygadał się zaraz z nowiną przed Anusią, ta zaś poszła wprost do miecznika.

— Stryjku najmilszy, — rzekła do niego (bo tak nazywała go zawsze, gdy chciała coś na nim wydębić), — słyszałam, iż uciekać mamy. Zali to nie wstyd tak znamienitemu żołnierzowi pierzchać na samą wieść o nieprzyjacielu?

— Waćpanna musisz we wszystko swoje trzy grosze wścibić — odrzekł skłopotany miecznik. — To nie waćpanny rzecz.

— Dobrze, to się sobie cofajcie, a ja tu zostanę.

— Żeby cię Sakowicz złowił? obaczysz!

— Sakowicz mnie nie złowi, bo mnie pan Babinicz obroni.

— Właśnie też będzie wiedział, gdzie waćpanna jesteś. Powiedziałem raz, że się nie zdołamy do niego przedrzeć.

— Ale on może przyjść do nas. Ja jego znajoma; żebym tylko mogła wysłać do niego list, jestem pewna, żeby tu przyszedł, wprzód Sakowicza pobiwszy. On mnie trochę lubił, toby i nie odmówił ratunku.

— A kto się podejmie list zanieść?

— Przez pierwszego lepszego chłopa można posłać...

— A nie zawadzi, nie zawadzi, w żadnym razie nie zawadzi. Oleńka ma bystry rozum, ale i waćpannie go nie brakuje. Choćbyśmy się mieli tymczasem przed przeważną siłą w lasy uchylić, zawsze będzie dobrze, żeby Babinicz przyszedł w te strony, bo tym sposobem prędzej się z nim połączym. Próbuj waćpanna. Posłańcy się znajdą i ludzie pewni...

Uradowana Anusia tak dobrze zaczęła próbować, że tego samego dnia znalazła sobie aż dwóch posłańców i to nie chłopów, bo jednego Jurka Billewicza, drugiego Brauna. Oba mieli wziąć po liście jednobrzmiącym, aby w każdym razie nie ten, to ów mógł go wręczyć Babiniczowi. Z samym listem miała Anusia więcej kłopotu, lecz wreszcie napisała go w następujących słowach:

„W ostatniej toni piszę do waćpana, jeśli mnie pamiętasz (choć wątpię, bo cobyś tam miał waćpan pamiętać!) abyś mi na ratunek przybył. Lecz tylko po życzliwości waćpana, którą mi w drodze z Zamościa okazywałeś, śmiem się tego spodziewać, że mnie w nieszczęściu nie zaniechasz. Jestem w partji pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, który mi przytułek dał, bom jego krewną, pannę Billewiczównę, z niewoli taurożańskiej wyprowadziła. I jego i nas obie oblega zewsząd nieprzyjaciel, a mianowicie Szwedzi i niejaki pan Sakowicz, przed którego grzeszną natarczy-

wością musiałam uciekać i w obozie szukać schronienia. Wiem, że mnie waćpan nie lubił, choć Bóg widzi, nic ci nie uczyniłam złego, a życzyłam i życzę zawsze z całego serca. Ale i nie lubiąc, ocal biedną sierotę ze srogich rąk nieprzyjacielskich, Bóg zasię wynagrodzi ci to stokrotnie i ja będę się modlić za waćpana, którego dziś jeno dobrym opiekunem, potem zaś zbawcą swoim będę nazywała do śmierci..."

Gdy wysłańcy opuszczali już obóz, Anusia bacząc na jakie niebezpieczeństwa się narażają, zlękła się o nich i koniecznie zatrzymać ich pragnęła. Nawet ze łzami w oczach poczęła prosić miecznika, żeby im jechać nie pozwolił, bo listy i chłopi mogą zanieść, chłopom zaś i przedostać się będzie łatwiej.

Lecz Braun i Jurko Billewicz uparli się tak, że żadne przedstawienia nie pomogły. Jeden i drugi chcieli się w gotowości do usług przesadzić, żaden zaś nie przewidywał co go czeka.

Albowiem w tydzień później Braun wpadł w ręce Sakowicza, który kazał go ze skóry obedrzeć, biedny zaś Jurko został zastrzelony za Poniewieżem, w ucieczce przed podjazdem szwedzkim.

Oba listy wpadły w ręce nieprzyjaciół.

ROZDZIAŁ XIII.

Sakowicz po schwytaniu Brauna i obdarciu go ze skóry, porozumiał się natychmiast z obersztem Hamiltonem, Anglikiem w służbie szwedzkiej i komendantem w Poniewieżu, celem wspólnego uderzenia na partję miecznika Billewicza.

Babinicz właśnie był gdzieś zapadł w lasy i od kilkunastu dni żaden słuch o nim nie doszedł. Zresztą Sakowicz nie byłby już zważał na jego bliskość. Miał on wprawdzie, mimo całej swej odwagi, jakąś instynktową obawę przed Babiniczem, ale teraz gotów był sam zginąć, byle zemsty dokonać. Od czasu ucieczki Anusinej wściekłość nie prze-

stawała ani na chwilę targać jego duszy. Zmylone rachuby i zraniona miłość własna w szał go wprawiały, a przytem cierpiało w nim i serce. Z początku pragnął on pojąć Anusię za żonę tylko dla majętności zapisanych jej przez pierwszego narzeczonego, pana Podbipiętę, lecz później zakochał się w niej ślepo i nazabój, jak tylko taki człowiek mógł się zakochać. I doszło do tego, że on, który oprócz Bogusława nikogo się nie bał na świecie, on, przed którego wzrokiem samym ludzie bledli, patrzył jak pies w oczy tej dziewczyny, ulegał jej, znosił jej wydziwiania, spełniał wszystkie chęci, starał się myśli zgadywać.

Ona używała i nadużywała swego wpływu, łudząc go słowy, spojrzeniem, wysługiwała się nim, jak niewolnikiem, wkońcu zdradziła.

Sakowicz należał do tego rodzaju ludzi, którzy za jedyne dobro i cnotę poczytują to, co dla nich dobre, za złe i winę to, co im szkodę przynosi. Więc w oczach jego Anusia popełniła najstraszliwszą zbrodnię i nie było dla niej dość wielkiej kary. Gdyby to kogo innego spotkało, pan starosta śmiałby się i drwił, lecz gdy dotknęło jego osobę, ryczał jak ranny zwierz i myślał tylko o pomście. Chciał dostać w ręce winowajczynię umarłą albo żywą. Wolałby żywą, bo mógłby najprzód kawalerską zemstę wywrzeć, lecz choćby dziewczyna miała i polec w czasie napadu, mniejsza mu było z tem, byle się komu innemu nie dostała.

Chcąc działać na pewno, posłał do miecznika przekupionego człowieka z listem niby od Babinicza, w którym oznajmiał w imieniu tego ostatniego, że w Wołmontowiczach w ciągu tygodnia stanie.

Miecznik uwierzył łatwo, ufając zaś w niezwyciężoną siłę Babinicza i tajemnicy z tego nie uczynił, zaczem nietylko sam zakwaterował się na dobre w Wołmontowiczach, ale poruszył przez rozgłoszenie nowiny całą prawie ludność laudańską. Resztki jej zbiegły się z lasów raz dlatego, że to już był koniec jesieni i chłody wielkie nastały, a po

wtóre przez samą ciekawość widzenia wsławionego wojownika.

A tymczasem od strony Poniewieża ciągnęli ku Wołmontowiczom hamiltonowscy Szwedzi, od strony Kiejdan przekradał się po wilczemu Sakowicz.

Ten ostatni jednak ani się domyślał, że za nim również po wilczemu ciągnie na krok ktoś trzeci, który, lubo żadnych wezwań nie otrzymał, miał właśnie we zwyczaju zjawiać się tam, gdzie się go najmniej spodziewano.

Kmicic nie wiedział zupełnie, że Oleńka znajduje się w billewiczowskiej partji. W Taurogach, które splondrował ogniem i mieczem, zasięgnął języka o tem, że uszła wraz z panną Borzobohatą, lecz przypuszczał, że uszły do puszczy Białowieskiej, gdzie chroniła się także pani Skrzetuska i wiele innych szlachcianek. Mógł to przypuszczać tem bardziej, iż wiedział, że stary miecznik oddawna miał zamiar odwiezienia do tych nieprzebytych borów synowicy.

Zmartwiło to pana Andrzeja niepomiernie, że jej w Taurogach nie znalazł, ale z drugiej strony pocieszał się, że umknęła z rąk Sakowicza i że aż do końca wojny znajdzie bezpieczne przytulenie.

Nie mogąc do puszczy zaraz po nią iść, postanowił nieprzyjaciela na Żmudzi dopóty podchodzić i niszczyć, dopóki całkiem go nie zgnębi. I szczęście szło jego śladem. Od półtora miesiąca zwycięstwo następowało po zwycięstwie, lud zbrojny sypał się do niego tak obficie, że wkrótce czambulik stanowił ledwie czwartą część jego siły. Wreszcie wyżenął nieprzyjaciół z całej zachodniej Żmudzi, a zasłyszawszy o Sakowiczu i mając z nim dawne rachunki do załatwienia, puścił się w swe dawne strony i szedł za nim.

W ten sposób dotarli obaj w pobliże Wołmontowicz.

Miecznik, który poprzednio stał niedaleko, rezydował tam już od tygodnia i nawet w głowie nie powstała mu myśl, jak strasznych wkrótce będzie miał gości.

Aż pewnego wieczora wyrostkowie Butrymi, pasący za Wołmontowiczami konie, dali znać, że jakieś wojsko wyszło

z lasów i zbliża się od południowej strony. Miecznik zbyt był jednak starym i doświadczonym żołnierzem, aby nie przedsięwziąć żadnych ostrożności. Piechotę swoją, częścią już opatrzoną przez Domaszewiczów w strzelbę, umieścił w niedawno odbudowanych domach, częścią obsadził kołowrót, sam zaś z jazdą stanął nieco ztyłu poza płotami, na obszernym pastewniku, dotykającym jedną stroną rzeczki. Miecznik uczynił to głównie dlatego, żeby uzyskać pochwały Babinicza, który na dobrych rozporządzeniach znać się musiał; ale pozycja jego istotnie była silna.

Zaścianek, od czasu jak go Kmicic z zemsty za wymordowanie kompanjonów spalił, odbudowywał się zwolna; że zaś później wojna szwedzka robotę przerwała, było więc nagromadzonych w głównej ulicy mnóstwo bali, bierwion, desek. Całe ich kupy wznosiły się przy kołowrocie i piechota, choćby mniej wyćwiczona, mogła się z poza nich długo bronić.

W każdym razie zabezpieczała ona jazdę od pierwszego natarcia. Miecznik tak dalece pragnął popisać się ze swoją znajomością żołnierki przed Babiniczem, że nawet podjeździk wysłał na zwiady.

Jakież było jego zdumienie, a w pierwszej chwili i przerażenie, gdy zdala z za borku doszedł go odgłos strzałów, następnie podjazd ukazał się na drodze, ale idący wskok i z chmurą nieprzyjaciół na karku.

Miecznik skoczył natychmiast do piechoty, aby ostatnie rozkazy wydać, a tymczasem z borku poczęły się wysypywać gęstsze zastępy nieprzyjaciół i szły jak szarańcza ku Wołmontowiczom, świecąc w zachodzącem słońcu bronią.

Borek był blisko, więc podjechawszy nieco, jazda owa puściła zaraz wskok konie, pragnąc jednym zamachem przedostać się przez kołowrót, lecz nagły ogień piechoty osadził ją na miejscu. Pierwsze szeregi cofnęły się nawet dość bezładnie i tylko kilkunastu dotarło piersiami końskiemi do zasieków.

Miecznik też ochłonął tymczasem i skoczywszy do

jazdy, kazał wszystkim, którzy mieli pistolety lub strzelby, iść na posiłek piechocie.

Nieprzyjaciel był widocznie również zaopatrzony w muszkiety, bo zaraz po pierwszem natarciu rozpoczął ogień bardzo gwałtowny, chociaż nieregularny.

Więc z obu stron poczęło grzmieć to szybciej, to powolniej; kule świszcząc, dolatywały aż do jazdy, stukały po domach, płocie, kupach belek; dym rozciągał się nad Wołmontowiczami, zapach prochu napełnił ulicę.

Anusia zatem miała to, czego chciała, to jest bitwę.

Obie panny zaraz w pierwszej chwili dosiadły z rozkazu miecznika podjezdków, aby w danym razie, gdyby siły nieprzyjacielskie okazały się zbyt wielkie, mogły uchodzić razem z partją. Pomieszczono je więc w tylnych szeregach jazdy.

Lecz Anusi, mimo że szabelkę miała przy boku i kołpaczek rysi na głowie, dusza zaraz z początku uciekła na ramię. Ona, która tak dobrze umiała sobie radzić w pokoju z oficerami, nie znalazła ani szczypty energji, gdy przyszło stanąć jej oko w oko synom Bellony w polu. Świst i stukanie kul przerażało ją; zamęt, bieganie ordynansów, huk muszkietów i jęki rannych odejmowały jej przytomność, a zapach prochu przytłumiał oddech w piersiach. Uczyniło się jej mdło i słabo, twarz zbladła, jak chusta i poczęła wić się a piszczeć, jak dziecko; aż jeden z towarzyszów, młody pan Olesza z Kiemnar, musiał uchwycić ją w ramiona. Trzymał zaś mocno, mocniej, aniżeli trzeba było i gotów był trzymać tak do końca świata.

Lecz żołnierze śmiać się naokoło poczęli.

— Rycerz w spódnicy! — ozwały się głosy. — A kury sadzić, a pierze drzeć!

Inni zaś wołali:

— Panie Olesza! przypadła ci tarcza do ramienia, ale cię przez nią tem łatwiej Kupido strzałą przeszyje!...

I dobry humor ogarnął żołnierzy.

Inni woleli wszelako patrzeć na Oleńkę, która zachowywała się całkiem inaczej. Z początku, gdy kilka kul prze-

leciało opodal, przybladła i ona, nie mogąc się wstrzymać od uchylenia głowy i zamykania oczu; lecz następnie krew rycerska grać w niej poczęła, więc spłonąwszy na twarzy, jak róża, podniosła głowę i patrzyła nieulękłem okiem przed siebie. Rozdęte jej nozdrza wciągały jakby z lubością zapach prochu. Że zaś dym czynił się wedle kołowrotu coraz większy i widok bardzo przysłaniał, więc odważna panna, widząc, że oficerowie wyjeżdżają naprzód, aby dokładniej przebieg bitwy śledzić, poruszyła się wraz z nimi, nie myśląc nawet o tem, co czyni.

A w gęstwie jazdy podniósł się szmer pochwalny:

— O, to krew! to żona dla żołnierza, to słuszny wolentarzyk!

— Vivat Billewiczówna!

— Popiszmy się, mości panowie, bo przed takiemi oczyma warto!

— I amazonki lepiej przeciw muszkietom nie stawały! — krzyknął któryś z młodych towarzyszów, zapominając w zapale, że amazonki żyły przed wynalezieniem prochu.

— Czasby już skończyć. Piechota grzecznie się sprawiła i hostes mocno nadwerężeni.

Rzeczywiście nieprzyjaciel nie mógł nic wskórać jazdą. Co chwila rozpuszczał konie, podpadał do kołowrotu, ale po salwie cofał się bezładnie. I jako fala, rozlawszy się po płaskim brzegu, zostawia po sobie muszle, kamyki, martwą rybę, tak po każdym ataku zostawało kilkanaście ciał końskich i ludzkich na drodze przed kołowrotem.

Wreszcie ataki ustały. Podjeżdżali tylko ochotnicy, paląc w stronę wsi z pistoletów i muszkietów dość gęsto, aby uwagę billewiczowskich zająć. Natomiast pan miecznik, wylazłszy po węgłach pod okap dworku, dojrzał ruch w tylnych szeregach nieprzyjacielskich ku polom i chróśniakom, ciągnącym się z lewej strony Wołmontowicz.

— Stąd będą tentowali! — zakrzyknął i natychmiast

posłał część jazdy między chałupy, żeby z sadów dała nieprzyjacielowi odpór.

W pół godziny nowa bitwa, ale także na palną broń, zawiązała się z lewego skrzydła partji.

Sady ogrodzone utrudniały jeszcze atak wręcz, ale utrudniały zarówno dla stron obu. Przytem nieprzyjaciel, rozrzuciwszy się na długiej linji, mniej był narażony na strzały.

Bitwa zwolna stawała się coraz zażartszą i coraz pracowitszą, nie przestano bowiem atakować i kołowrotu.

Miecznik począł się niepokoić.

Z prawej strony miał za sobą błonia wolne jeszcze, kończące się rzeczką niezbyt szeroką, lecz głęboką i bagnistą, przez którą przeprawa, zwłaszcza w pośpiechu, mogła być trudną. W jednem miejscu tylko była wydeptana droga do płaskiego brzegu, przez który przepędzano bydło do boru.

Pan Tomasz coraz częściej jakoś jął się oglądać w tamtą stronę.

Naraz, między przejrzystą, bo pozbawioną już liści wierzbinową gęstwą, ujrzał przy zorzy wieczornej połyskującą broń i czarniawą chmurę żołnierstwa.

— Babinicz nadchodzi! — pomyślał.

Lecz w tej chwili przypadł do niego pan Chrząstowski, który szwadronem jazdy dowodził.

— Od rzeki szwedzką piechotę widać! — krzyknął w przerażeniu.

— Zdrada jakowaś! — zawołał pan Tomasz. — Na rany Chrystusa! skoczże waść ze swoim szwadronem na tę piechotę; inaczej w bok nam przyjdzie!

— Siła wielka! — odrzekł pan Chrząstowski.

— Wesprzyjcie ją choć na godzinę, my zaś będziem się wtył ku lasom salwować.

Pan Chrząstowski skoczył i wkrótce ruszył błoniem na czele dwustu ludzi, co widząc nieprzyjacielska piechota, poczęła się szybko formować w gąszczach na przyjęcie nie-

przyjaciela; po chwili szwadron rozpuścił konie, a zaś z wierzbinowych krzów zagrzmiała muszkietowa palba.

Miecznik zwątpił już nietylko o zwycięstwie, ale nawet o ocaleniu własnej piechoty.

Mógł jeszcze wycofać się wtył z częścią jazdy, z pannami i szukać schronienia w lesie, lecz taki odwrót równał się wielkiej klęsce, bo prowadził za sobą wydanie pod miecz większej części partji i resztek ludności laudańskiej, która zgromadziła się w Wołmontowiczach dla widzenia Babinicza. Same Wołmontowicze zostałyby naturalnie w takim razie z ziemią zrównane.

Pozostawała jeszcze jedynie nadzieja, że pan Chrząstowski przełamie ową piechotę.

Tymczasem ściemniło się na niebie, ale w zaścianku blask czynił się coraz większy, bo zapaliły się wióry, drzazgi i heblowiny, leżące kupą przy pierwszym domu od kołowrotu. Od nich zajął się sam dom i krwawa łuna zaświeciła nad wioską.

Przy jej blasku ujrzał pan miecznik jazdę Chrząstowskiego, wracającą w popłochu i nieładzie, za nią zaś piechota szwedzka wysypywała się z gąszczów, idąc pędem do ataku.

Wówczas zrozumiał, że trzeba cofać się jedyną wolną drogą.

Już więc dopadł do resztek jazdy, już machnął szablą i krzyknął: — Wtył, mości panowie! a w ordynku! w ordynku! — gdy nagle i z tyłu ozwały się strzały, pomieszane z okrzykiem żołnierstwa.

Poznał tedy miecznik, że jest otoczony, że wpadł jakoby w pułapkę, z której niema ni wyjścia, ni ratunku.

Pozostawało mu tylko zginąć z chwałą, więc wyskoczył przed szereg jazdy i zawołał:

— Padniemy jeden na drugim! Nie pożałujem krwi za wiarę i ojczyznę!

Tymczasem ogień jego piechoty, broniącej kołowrotu

i lewej strony zaścianka, zesłabł, a coraz potężniejszy krzyk nieprzyjaciela zwiastował jego bliski triumf.

Lecz co znaczą te chrapliwe głosy krzywuł w szeregach sakowiczowskiej watahy i warczenie bębnów w szeregach szwedzkich?

Wrzaski słychać coraz przeraźliwsze, jakieś dziwne, zamieszane, jakby nie triumf, ale przerażenie w nich brzmiało.

Ogień przy kołowrocie ustaje naraz, jakby kto nożem przeciął. Kupy jazdy sakowiczowskiej lecą na złamanie karku od lewej strony, ku głównej drodze. Z prawej strony piechota staje i zamiast iść naprzód, poczyna się cofać ku zaroślom.

— Co to jest... Na rany Chrystusa! Co to jest! — krzyczy miecznik.

Wtem odpowiedź przychodzi ze strony owego borku, z którego wyszedł Sakowicz, a teraz sypią się z niego ludzie, konie, chorągwie, buńczuki, szable i idą — nie! raczej pędzą jak wicher, i nie jak wicher, ale jak trąba powietrzna. W krwawych blaskach pożaru widać ich jak na dłoni. Idą ich tysiące! Ziemia zdaje się uciekać z pod ich nóg, a ci lecą ławą zbitą, rzekłbyś: jakiś potwór wychylił się z dąbrowy i sadzi przez pola ku wiosce, by ją pochłonąć. Leci przed nimi gnane pędem powietrze, leci strach i zatracenie...

Już, już są! już dopadają! zwieją Sakowicza jak wicher.

— Boże! Boże wielki! — krzyczy jak w obłąkaniu miecznik — to nasi! to chyba Babinicz!

— Babinicz! — wrzeszczą za nim wszystkie gardziele.

— Babinicz! — rozlegają się przerażone głosy w sakowiczowskim oddziele.

I cała nieprzyjacielska wataha wykręca w prawo, chcąc umykać ku swojej piechocie.

Płot łamie się z trzaskiem przeraźliwym pod parciem piersi końskich; pastewnik zapełnia się uciekającymi, lecz tamci już siedzą na ich karkach, tną, sieką, bodą, tną bez wytchnienia, tną bez miłosierdzia. Słychać krzyk, jęki, świst

szabel. Jedni i drudzy wpadają na piechotę, przewracają ją, łamią, roznoszą. Rzekłbyś tysiące chłopów stanęło do młócki i cepami bije. Wreszcie cała masa zwala się ku rzece, ginie w zaroślach, przetacza się na drugi brzeg. Jeszcze ich widać, gonią ciągle i tną a tną! Oddalają się. Zabłysły raz jeszcze szablami i znikli wreszcie w krzach, w przestrzeni, w ciemności.

Piechota miecznikowa poczęła ściągać się od kołowrotu i z domów, których już bronić nie potrzeba; jazda stoi czas jakiś w takiem zdumieniu, że milczenie głuche panuje w szeregach i dopiero gdy płonący dom zawala się z trzaskiem. głos jakiś odzywa się nagle:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Burza to przeleciała!

— Noga żywa z tego pościgu nie wyjdzie! — dodaje drugi głos.

— Mości panowie! — woła nagle miecznik — a my nie skoczym na tych, którzy nam ztyłu zachodzili? W odwrocie oni teraz, ale ich dogonim!

— Bij! zabij! — odpowiadają chórem głosy.

I cała jazda zawróciwszy się, wypuszcza konie za ostatnim oddziałem nieprzyjaciół. W Wołmontowiczach zostają tylko starcy, niewiasty, dzieci i „panienka“ z towarzyszką.

Dom ugaszono w mgnieniu oka, poczem radość niepojęta pochwytuje wszystkie serca. Kobiety z płaczem i szlochaniem wznoszą ręce ku niebu i zwracając się ku stronie, w którą popędził Babinicz, wołają:

— Boże ci błogosław, wojenniku niezwyciężony! Zbawco, któryś nas, nasze dzieci i domy od zagłady ocalił!

Zgrzybiali Butrymowie powtarzają chórem:

— Boże ci błogosław! Boże cię prowadź! Bez ciebie byłoby już po Wołmontowiczach!

Ach! gdyby w tym tłumie wiedziano, że wieś od ognia i ludność od miecza ocaliła właśnie ta sama ręka, która

przed dwoma laty do tej samej wioski wniosła ogień i miecz!...

Po ugaszeniu pożaru, kto żyw począł zbierać rannych, groźni zaś wyrostkowie, przebiegając z kłonicami pobojowisko, dobijali Szwedów i sakowiczowskich grasantów.

Oleńka wnet wzięła komendę nad opatrunkiem. Przytomna zawsze, pełna energji i siły, nie ustała w pracy póty, póki każdy ranny nie spoczął w chacie z przewiązanemi ranami.

Poczem cała ludność poszła za jej przykładem pod krzyż odmawiać litanję za poległych; przez całą noc nikt oka nie zmrużył w Wołmontowiczach, wszyscy czekali na powrót miecznika i Babinicza, krzątając się przytem, aby zwycięzcom należyte zgotować przyjęcie. Szły pod nóż hodowane w lasach woły i barany; ogniska huczały aż do rana.

Anusia jedna w niczem nie mogła brać udziału, bo najprzód odjął jej siły strach, a potem radość tak wielka, że do szału podobna. Oleńka musiała mieć i o niej staranie, a ona śmiała się i płakała na przemian, to znów rzucała się w ramiona towarzyszce, powtarzając bez ładu i porządku:

— A co? kto nas ocalił i miecznika i partję i całe Wołmontowicze? Przed kim Sakowicz uciekł? kto go pogrążył i Szwedów razem z nim?... Pan Babinicz! A co? Wiedziałam, że przyjdzie. Przeciem do niego pisała. A on nie zapomniał! Wiedziałam, wiedziałam, że przyjdzie. Ja to go sprowadziłam! Oleńko! Oleńko! ja szczęśliwa! Nie mówiłamże ci? Jego nikt nie zwycięży! Jemu pan Czarniecki nie dorówna... O, Boże! Boże! Prawda, że on tu wróci? Dziś jeszcze? Bo żeby nie miał wrócić, toby nie przychodził, prawda?... Słyszysz, Oleńka, jakieś konie rżą woddali...

Ale w oddali nic nie rżało. Nad ranem dopiero rozległ się tętent, okrzyk, śpiewy i wrócił pan miecznik. Jazda na spienionych od pogoni koniach zapełniła cały zaścianek. Śpiewom, krzykom, opowiadaniom nie było końca.

Miecznik umazany krwią, zdyszany, ale radosny, opowiadał do wschodu słońca, jako zniósł oddział rajtarji nie-

przyjacielskiej, jako dwie mile na nich jechał i prawie do nogi wytępił.

On, również jak całe wojsko i wszyscy laudańscy, byli przekonani, że Babinicz wróci lada chwila.

Lecz przyszło południe, potem słońce odbyło drugą połowę drogi i poczęło się zniżać, a Babinicz nie wracał.

Anusia atoli pod wieczór dostała wypieków na twarzy.

— Zaliby mu tylko o Szwedów, nie o mnie chodziło? — myślała sobie w duszy. — Przecie list odebrał, skoro tu przyszedł...

Biedna, nie wiedziała, że dusze Brauna i Jurka Billewicza były dawno już na tamtym świecie i że Babinicz żadnego listu nie odebrał.

Bo gdyby był odebrał, błyskawicą wróciłby do Wołmontowicz, tylko... nie dla ciebie, Anusiu!

Upłynął znowu dzień; miecznik nie tracił jeszcze nadziei i nie ruszał się z zaścianka.

Anusia zacięła się w milczeniu.

— Spostponował mnie strasznie! Ale dobrze mi tak za moją płochość, za moje grzechy! — mówiła do siebie.

Na trzeci dzień pan Tomasz wysłał kilkunastu ludzi na zwiady.

Ci wrócili czwartego dnia z doniesieniem, że pan Babinicz wziął Poniewież, a ze Szwedów nikogo nie żywił. Poczem poszedł niewiadomo dokąd. bo słuch o nim przepadł.

— Już go nie znajdziem, póki znowu nie wypłynie! — rzekł na to miecznik.

Anusia zmieniła się w pokrzywę; kto z młodszej szlachty i oficerów dotknął się jej, wnet się sparzył.

Piątego zasię dnia rzekła do Oleńki:

— Pan Wołodyjowski taki sam dobry żołnierz, ale mniejszy grubjan.

— A może, — odrzekła na to w zamyśleniu Oleńka, — może pan Babinicz wierności dla tamtej dochowuje, o której ci w drodze z Zamościa wspominał.

Na to Anusia:

— Dobrze! Wszystko mi jedno...

Ale nie powiedziała prawdy, bo jej wcale nie było wszystko jedno.

ROZDZIAŁ XIV.

Sakowicz tak doszczętnie został zniesiony, iż zaledwie samopiąt zdołał się schronić do lasów w pobliżu Poniewieża. Następnie tułał się po nich w przebraniu chłopskiem przez całe miesiące, nie śmiejąc wychylić się na świat jasny.

Bobinicz zaś rzucił się na Poniewież, piechotę szwedzką, tamże na załodze stojącą, wyciął i gonił za Hamiltonem, który nie mogąc ku Inflantom uchodzić z powodu znacznych sił polskich, zebranych w Szawlach i dalej pod Birżami, zawrócił w bok ku wschodowi, w nadziei, że do Wiłkomierza zdoła się przedrzeć. Zwiątpił on już o ocaleniu swego regimentu, nie chciał tylko wpaść w ręce Babinicza, bo wieść głosiła powszechnie, że ów srogi wojownik, aby się kłopotem nie obarczać, jeńców do nogi każe wycinać.

Umykał więc nieszczęsny Anglik, jak jeleń ścigany przez stado wilków, a Babinicz gonił go tem zawzięciej; dlatego to do Wołmontowicz nie wrócił i nawet nie pytał, jaką partję udało mu się ocalić.

Już też pierwsze szrony poczęły rankami okrywać ziemię, więc ucieczka stawała się tem trudniejsza, bo ślady kopyt zostawały na gruncie leśnym. Paszy nie było w polach, konie cierpiały głód srogi.

Rajtarowie nie śmieli zatrzymywać się na dłużej po wsiach, z obawy, że uparty nieprzyjaciel może ich lada chwila doścignąć.

Wkońcu nędza ich przeszła wszelką granicę; żywili się tylko liśćmi, korą i własnemi końmi, które upadały ze znużenia.

Po tygodniu sami poczęli prosić swego pułkownika, by

odwrócił się czołem ku Babiniczowi i dał mu pole, bo wolą ginąć od miecza, niż od głodowej śmierci.

Hamilton usłuchał i stanął do bitwy w Androniszkach. Siły szwedzkie o tyle były mniejsze, że Anglik nie mógł nawet i marzyć o zwycięstwie, zwłaszcza nad takim przeciwnikiem. Ale i sam był już umęczon bardzo i chciał zginąć.

Jednakże bitwa, poczęta w Androniszkach, skończyła się w pobliżu Troupiów, pod któremi ostatni Szwedzi polegli.

Hamilton zginął bohaterską śmiercią, broniąc się pod krzyżem przydrożnym przeciw kilkunastu ordyńcom, którzy początkowo chcieli go brać żywcem, ale rozjątrzeni uporem, roznieśli wreszcie na szablach.

Lecz i Babiniczowe chorągwie były tak pomęczone, że nie miały sił ni chęci iść nawet do pobliskich Troupiów, jeno jak gdzie która w czasie bitwy stała, tam zaraz poczęła się roztasowywać na nocleg, rozpalając ognie wśród trupów nieprzyjacielskich.

Po posiłku zasnęli wszyscy kamiennym snem.

Sami zaś Tatarzy odłożyli do jutra obszukiwanie trupów.

Kmicic, któremu głównie o konie chodziło, nie sprzeciwiał się temu wypoczynkowi.

Nazajutrz jednak wstał dość rano, aby straty własne po zażartej potyczce obliczyć i łup sprawiedliwie rozdzielić. Zaraz po posiłku stanął na wzniesieniu pod tym samym krzyżem, pod którym zginął Hamilton, a starszyzna polska i tatarska podchodziła ku niemu zkolei, mając zakarbowany na laskach ubytek ludzi i czyniła relacje. On słuchał, jako gospodarz wiejski słucha latem włodarzy i radował się w sercu żniwem obfitem.

Wtem zbliżył się ku niemu Akbah-Ułan, podobniejszy do straszydła, niż do człowieka, bo mu w wołmontowickiej bitwie nos rozbito głownią od szabli, skłonił się, podał Kmicicowi zakrwawione papiery i rzekł:

— Effendi, pisma jakoweś znaleziono przy wodzu szwedzkim, które wedle rozkazu oddaję.

Rzeczywiście Kmicic raz na zawsze wydał rozkazy, aby wszystkie papiery, znalezione przy trupach, odnoszono mu zaraz po bitwie, częstokroć bowiem mógł wymiarkować z nich zamiary nieprzyjaciół i stosownie postąpić.

Lecz w tej chwili nie było mu tak pilno, więc kiwnąwszy głową Akbahowi, schował papiery w zanadrze. Akbaha zaś odesłał do czambułu, poleciwszy mu, ażeby zaraz ruszał do Troupiów, w których na dłuższy odpoczynek pozostać mieli.

Przeciągały tedy chorągwie przed nim jedna po drugiej. W przodku szedł czambulik, który obecnie niespełna pięćset głów tylko liczył; reszta wykruszyła się w ciągłych bitwach, ale każdy Tatar tyle miał zaszytych w kulbace, tołubie i czapce szwedzkich riksdalerów, pruskich talarów i dukatów, że go można było brać na wagę srebra. Był to przytem lud wcale do zwykłych czambułowych Tatarów niepodobny, bo co było słabsze, to z trudów zmarniało, zostały tylko chłopy naschwał, pleczyste, żelaznej wytrzymałości i jadowite nakształt szerszeni. Ciągła praktyka tak ich wyćwiczyła, że w ręcznem spotkaniu mogliby dotrzymać nawet polskiej komputowej jeździe, na rajtarów zaś lub dragonów pruskich, o ile liczba była równą, chodzili jak wilcy na owce. W bitwie bronili szczególnie ze straszną zajadłością ciał swych towarzyszów, aby się potem skarbami ich podzielić.

Teraz przechodzili przed panem Kmicicem z wielką fantazją, brząkając w litaury, świszcząc na końskich piszczelach i potrząsając buńczukiem, a szli tak sfornie, że i regularny żołnierz nie szedłby lepiej. Za nimi ciągnęła dragonja, przez pana Andrzeja z mozołem wielkim z ochotników wszelkiego rodzaju utworzona, zbrojna w rapiery i muszkiety. Dowodził nią dawny wachmistrz Soroka, teraz do godności oficerskiej, a nawet kapitańskiej podniesion. Pułk ów, przybrany jednostajnie w mundury zdobyczne, zdarte z dragonów pruskich, składał się przeważnie z ludzi niskiego stanu, ale właśnie pan Kmicic lubił ten rodzaj ludz-

ki, bo słuchał ślepo i wszelkie trudy bez szemrania znosił.

W dwóch następnie idących chorągwiach wolentarskich służyła sama szlachta, mniejsza i większa. Były to duchy burzliwe i niespokojne, które pod innym wodzem zmieniłyby się w kupę drapieżników, ale w tych żelaznych rękach stały się podobne do regularnych chorągwi i same rade zwały się „petyhorskiemi“. Ci mniej na ogień od dragonów wytrzymali, byli zato w pierwszej furji straszniejsi, biegłością zaś w ręcznem spotkaniu przewyższali całe wojsko, bo każdy sztukę fechtów posiadał.

Za nimi nakoniec przeciągnęło około tysiąca świeżych wolentariuszów, ludu dobrego, ale nad którym siła trzeba było jeszcze pracować, by się stali do sprawnego wojska podobni.

Każda z tych chorągwi przechodząc koło figury, podnosiła okrzyk, salutując przytem pana Andrzeja szablami. On zaś radował się coraz więcej. Siła to przecie znaczna i nie licha! Wiele już z nią dokazał, wiele krwi nieprzyjacielskiej wytoczył, a Bóg wie, czego jeszcze dokonać potrafi.

Dawne jego winy wielkie, ale i świeże zasługi niemałe. Oto powstał z upadku, z grzechu i poszedł pokutować nie w kruchcie, ale w polu, nie w popiele, ale we krwi. Bronił Najświętszej Panny, ojczyzny, króla i teraz czuje, że mu na duszy lżej, weselej. Ba! nawet dumą wzbiera serce junackie, bo nie każdy takby sobie dał rady, jako on!

Tyle przecie jest szlachty ognistej, tylu kawalerów w tej Rzeczypospolitej, a czemu to żaden na czele takiej potęgi nie stoi, ani nawet Wołodyjowski, ani Skrzetuski? Kto przytem Częstochowę osłaniał, króla w wąwozach bronił? Kto Bogusława usiekł? Kto pierwszy wniósł miecz i ogień do Prus elektorskich?! A owo i teraz na Żmudzi prawie już niemasz nieprzyjaciół.

Tu pan Andrzej uczuł to, co czuje sokół, gdy rozciągnąwszy skrzydła wzbija się wyżej i wyżej! Przeciągające chorągwie witały go gromkim okrzykiem, a on głowę podniósł i pytał sam siebie: — Dokąd też dolecę? — I twarz

mu spłonęła, bo w tej chwili wydało mu się, że hetmana w sobie nosi. Lecz ta buława, jeżeli go dojdzie, to dojdzie z pola, z ran, z zasługi, z chwały. Nie zamigoce mu już nią przed oczyma żaden zdrajca, jak w swoim czasie migotał Radziwiłł, jeno wdzięczna ojczyzna włoży mu ją w dłoń z woli królewskiej. A jemu nie troskać się o to, kiedy to przyjdzie, jeno bić i bić, bić jutro, jak pobił wczoraj!

Tu rozbujała wyobraźnia kawalerska powróciła do rzeczywistości. Dokąd ma ruszyć z Troupiów, w jakiem nowem miejscu o Szwedów zahaczyć?

Wtem przypomniały mu się listy, oddane przez Akbah-Ułana, a znalezione przy trupie Hamiltona; sięgnął więc ręką w zanadrze, wydobył, spojrzał i zaraz zdumienie odbiło się na jego twarzy.

Na liście bowiem stał wyraźnie napis, niewieścią skreślony ręką:

„Do jmp. Babinicza, pułkownika wojsk tatarskich i wolentarskich“.

— Do mnie?... — rzekł pan Andrzej.

Pieczęć była złamana, więc prędko otworzył list, uderzył wierzchem dłoni po papierze i począł czytać.

Ale jeszcze nie skończył, gdy mu ręce zadrgały, zmienił się na twarzy i zakrzyknął:

— Pochwalone imię pańskie! Boże miłosierny! oto i nagroda dochodzi mnie z rąk twoich!

Tu chwycił podnóże krzyża w obie ręce i płową czupryną począł bić w cokół. Inaczej dziękować Bogu w tej chwili nie umiał, na więcej słów modlitwy się nie zdobył, bo radość objęła go do wichru podobna i aż hen, pod niebo uniosła.

Oto list był od Anusi Borzobohatej. Szwedzi znaleźli go przy Jurku Billewiczu, a teraz przez drugiego trupa doszedł rąk Kmicicowych. W głowie pana Andrzeja tysiączne myśli przelatywały z szybkością strzał tatarskich.

Więc Oleńka była nie w puszczy, ale w partji billewiczowskiej? I on właśnie ocalił ją. a z nią razem te Wołmon-

towicze, które niegdyś za kompanjonów z dymem puścił! Widocznie ręka Boska kierowała jego krokami tak, aby za jednym zamachem wynagrodził za wszystkie krzywdy i Oleńce i Laudzie. Oto zmazane jego winy! Może-li ona teraz mu nie przebaczyć, albo ta szara brać laudańska? Mogą-li go nie błogosławić? I co powie umiłowana dziewczyna, która go za zdrajcę uważa, gdy się dowie, że ów Babinicz, który Radziwiłła obalił, który po pas nurzał się we krwi niemieckiej i szwedzkiej, który na Żmudzi nieprzyjaciela wygniótł, wyniszczył, do Prus i Inflant przepędził, to on, to Kmicic, ale już nie zabijaka, nie banit, nie zdrajca, jeno obrońca wiary, króla, ojczyzny!

A przecie zaraz po przestąpieniu granicy żmudzkiej byłby pan Andrzej na cztery strony świata rozgłosił, kim jest ów przesławny Babinicz i jeśli tego nie uczynił, to jeno dlatego, że się obawiał, iż na sam dźwięk prawdziwego jego nazwiska wszyscy się od niego odwrócą, wszyscy go będą podejrzywać, odmówią pomocy i ufności. Dopieroż ledwie dwa lata upłynęły, jak obłąkany przez Radziwiłła wycinał te chorągwie, które razem z Radziwiłłem przeciw królowi i ojczyźnie powstać nie chciały. Przed dwoma ledwie laty był prawą ręką wielkiego zdrajcy!

Lecz teraz zmieniło się wszystko! Teraz, po tylu zwycięstwach, w takiej chwale, ma prawo przyjść do dziewczyny i powiedzieć jej: — Jam Kmicic, ale twój zbawca! — Ma prawo krzyknąć całej Żmudzi: — Jam Kmicic, ale twój zbawca!

A zatem Wołmontowicze przecie niedaleko! Tydzień ścigał Babinicz Hamiltona, lecz Kmicic prędzej niż w tydzień będzie u nóg Oleńki.

Tu powstał pan Andrzej, blady ze wzruszenia, z płonącemi oczyma, z promienną twarzą i krzyknął na pachołka:

— Konia mi prędzej! żywo! żywo!

Pacholik podprowadził karego dzianeta i sam zeskoczył strzemię podawać, lecz stanąwszy na ziemi, rzekł:

— Wasza miłość! obcy ludzie jacyś ku nam od Troupiów z panem Soroką jadą i suną rysią.

— Mniejsza mi z nimi! — odrzekł pan Andrzej.

Tymczasem obaj jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków, następnie jeden z nich w towarzystwie Soroki wysunął się wskok naprzód, przybiegł i uchyliwszy rysiego kołpaka, odkrył rudą jak ogień czuprynę.

— Widzę, że przed panem Babiniczem stoję! — rzekł. — Rad jestem, żem waści odszukał.

— Z kim mam honor? — rzekł niecierpliwie pan Kmicic.

— Jestem Wierszuł, niegdyś rotmistrz tatarskiej chorągwi księcia Jaremy Wiśniowieckiego; przybywam w rodzinne strony, by tu na nową wojnę zaciągi czynić, a oprócz tego przywiozłem list dla waszmości od pana hetmana wielkiego Sapiehy.

— Na nową wojnę? — spytał Kmicic, marszcząc brwi. — Co waść prawisz?

— Ten list lepiej ode mnie waćpana objaśni — rzekł Wierszuł, podając pismo hetmańskie.

Kmicic rozerwał gorączkowo pieczęć. List Sapiehy brzmiał jak następuje:

„Mnie wielce uprzejmy panie Babinicz! Nowy potop na ojczyznę! Liga Szweda z Rakoczym stanęła i podział Rzeczypospolitej ułożony. Ośmdziesiąt tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy i kozaków przekroczy lada godzina południową granicę. A gdy w takiej ostatniej toni trzeba nam wszystkie siły wytężyć, aby choć imię sławne po naszym narodzie na przyszłe wieki zostało, posyłam wmści ten ordynans, wedle którego masz wmść, nie tracąc chwili czasu, wprost na południe konie obrócić i wielkiemi drogami ku nam dążyć. Zastaniesz nas w Brześciu, skąd, nie mieszkając, dalej cię wyszlem. Tymczasem periculum in mora! Książę Bogusław eliberował się z niewoli, ale pan Gosiewski ma mieć na Prusy i Żmudź oko.

Raz jeszcze zalecając wmości pośpiech, dufam, że miłość do ginącej ojczyzny najlepszą ci będzie ostrogą“.

Kmicic, skończywszy czytać, wypuścił list na ziemię i począł przeciągać rękoma po zwilgotniałej twarzy, na koniec spojrzał błędnie na Wierszuła i spytał cichym, zduszonym głosem:

— Dlaczegoż to pan Gosiewski ma na Żmudzi zostawać, a ja ruszać na południe?

Wierszuł wzruszył ramionami.

— Spytaj się waszmość pana hetmana w Brześciu o racje! Jać nic nie powiem.

Nagle straszny gniew schwycił pana Andrzeja za gardło, oczy mu zabłysły, twarz zsiniała i krzyknął przeraźliwym głosem:

— A ja stąd nie pójdę! Rozumiesz waść!

— Tak? — odrzekł Wierszuł. — Moja rzecz była ordynans oddać, a reszta waści sprawa! Czołem, czołem! Chciałem się na parę godzin do kompanji zaprosić, ale po tem, com usłyszał, wolę poszukać innej.

To rzekłszy, odwrócił konia i odjechał.

Pan Andrzej siadł znów pod figurą i począł bezmyślnie rozglądać się po niebie, jakby pogodę chciał wymiarkować. Pacholik usunął się z końmi opodal i cisza uczyniła się naokół.

Ranek był pogodny, blady, pół jesienny i pół już zimowy. Wiatr nie wiał, ale z brzóz, rosnących pod męką Pańską, spływały bez szelestu resztki pożółkłych i skręconych od chłodu liści. Nieprzeliczone stada wron i kawek leciały nad lasami; niektóre zapadały z wielkiem krakaniem tuż obok figury, na polu bowiem i na drodze leżało jeszcze pełno niepogrzebionych trupów szwedzkich. Pan Andrzej patrzył na owe czarne ptastwo, mrugając oczyma, rzekłbyś: chce je przeliczyć. Potem przymknął powieki i długo siedział bez ruchu. Nakoniec wzdrygnął się, zmarszczył brwi, przytomność wróciła mu na twarz i tak począł do się mówić:

— Nie może inaczej być! Pójdę za dwa tygodnie, ale nie teraz. Niech się dzieje, co chce. Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto!... Małom to się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Takaż za to nagroda?... Żebym to choć tamtego listu nie odebrał, poszedłbym; ale oba przyszły w jednej godzinie, jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew Boży jest nad nią i nie w mocy ludzkiej na to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, kozacy, wszystko naraz! Kto się temu oprze? O Panie! co ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich oblicze i ni miłosierdzia, ni ratunku nie dajesz i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoż jeszcze krwi? mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a Ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia Panie! ratunku Ojcze!... Grzeszyliśmy... ale przecie już przyszła poprawa! Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, zrzekliśmy się prywaty... Więc czemu nie odpuścisz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos niezmierny, z całego sklepienia niebios płynący, który mówi:

— Zaniechaliście prywat? A tyż nieszczęśniku co w tej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przyszła pierwsza chwila próby, jako zhukany koń, dęba stajesz i krzyczysz: „Nie pójdę!" Ginie matka, nowe miecze piersi jej przeszywają, a ty się od niej odwracasz, nie chcesz jej wesprzeć ramieniem, za własnem szczęściem gonisz i krzyczysz: „Nie pójdę!" Ona ręce krwawe wyciąga, już już pada, już mdleje, już kona i ostatnim głosem woła: „Dzieci! ratujcie!". A ty jej odpowiadasz: „Nie pójdę!" Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach podniósł włosy na głowię i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz rymnął twarzą do ziemi i nie wołać, ale krzyczeć jął w przerażeniu:

— Jezu nie karz! Jezu zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacji pełną i spokojniejszą i tak dalej się modlił:

— Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, bom był w wilję szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządzisz! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał dowiadczyć i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężkie zmartwienie. Niechże mi wszystko będzie policzone, za to, żem księcia Bogusława oszczędził, nad czem płakała ojczyzna. Widzisz teraz, Panie, że to była ostatnia moja prywata... Już więcej nie będę, Ojcze miłościwy! A no, jeszcze tę ziemię kochaną całuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste! idę!...

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

ROZDZIAŁ XV.

Żadna księga nie wypisała, ile jeszcze bitew stoczyły wojska, szlachta i lud Rzeczypospolitej z nieprzyjaciółmi. Walczono po lasach, polach, po wsiach, miasteczkach i miastach; Walczono w Prusach Królewskich i Książęcych, na Mazowszu, w Wielkopolsce, w Małopolsce, na Rusi, na Litwie i Żmudzi; walczono bez wytchnienia we dnie i w nocy.

Każda grudka ziemi nasyciła się krwią. Nazwiska ry-

cerzy, prześwietne czyny, wielkie poświęcenia zginęły w pamięci, bo nie zapisał ich kronikarz i nie wyśpiewała lutnia. Ale pod potęgą tych usiłowań ugięła się wreszcie moc nieprzyjacielska.

I jako gdy wspaniały lew, który przed chwilą przeszyty pociskami, leżał jak martwy, podniesie się nagle, a wstrząsnąwszy królewską grzywą, ryknie potężnie, wnet myśliwców przejmuje strach blady i nogi ich zwracają się ku ucieczce, tak owa Rzeczpospolita powstawała coraz groźniejsza, jowiszowego gniewu pełna, światu całemu stawić czoło gotowa; w kości zaś napastników zstąpiła niemoc i strach. Nie o zdobyczy już myśleli, ale o tem jeno, by ze lwiej paszczęki głowy całe do domowych pieleszy unieść.

Nie pomogły nowe ligi, nowe zastępy Węgrów, Siedmiogrodzian, kozaków i Wołoszy. Przeszła wprawdzie jeszcze raz burza między Krakowem, Warszawą i Brześciem, lecz się o piersi polskie rozbiła i wkrótce marnym rozwiała się tumanem.

Król szwedzki, pierwszy zwątpiwszy o sprawie, na duńską wojnę odjechał; zdradziecki elektor, korny przed silnym, zuchwały przed słabszym, czołem do nóg Rzeczypospolitej uderzył i Szwedów bić począł; zbójeckie zastępy „rzeźników“ Rakoczego zmykały co sił ku swym siedmiogrodzkim komyszom, które pan Lubomirski ogniem i mieczem spustoszył.

Lecz łatwiej im było wtargnąć w granice Rzeczypospolitej, niż wyjść z nich bez kary. Więc gdy dopadnięto ich u przeprawy, grafowie siedmiogrodzcy, klęcząc przed panem Potockim, Lubomirskim i Czarnieckim, w prochu żebrali o litość.

— Oddamy broń, oddamy miljony! — wołali — jeno pozwólcie nam odejść!

I przyjąwszy okup, hetmani zlitowali się nad tem wojskiem nędzników; lecz orda rozniosła ich na kopytach końskich u samych już progów domowych.

Spokój począł zwolna wracać na polskie równiny. Król

jeszcze pruskie fortece odbierał, pan Czarniecki miał do Danji zanieść miecz polski, bo Rzeczpospolita nie chciała już poprzestać na samem wypędzeniu nieprzyjaciół.

Odbudowywały się ze zgliszczów wsie i miasta; ludność wracała z lasów, pługi pojawiły się na roli.

Jesienią 1657 roku, zaraz po wojnie węgierskiej, cicho już było w większej części ziem i powiatów, cicho zwłaszcza na Żmudzi.

Ci z laudańskich, którzy swego czasu poszli z panem Wołodyjowskim, byli jeszcze gdzieś hen! w polu, ale już oczekiwano ich powrotu.

Tymczasem w Morozach, Wołmontowiczach, Drożejkianach, Mozgach, Goszczunach i Pacunelach niewiasty, podloty obu płci i starcy orali, siali oziminy, odbudowywali wspólnemi siłami chaty w tych „okolicach“, przez które pożar przeszedł, aby wojownicy po powrocie znaleźli przynajmniej dach nad głową i głodem nie potrzebowali przymierać.

Oleńka siedziała od niejakiego czasu w Wodoktach z Anusią Borzobohatą i miecznikiem. Pan Tomasz do swoich Billewicz się nie śpieszył, raz dlatego, że były spalone, a po wtóre, że mu milej było przy dziewczynach, niż samemu. Tymczasem przy pomocy Oleńki zagospodarowywał Wodokty.

Panna zaś chciała jak najlepiej zagospodarować Wodokty, te bowiem miały wraz z Mitrunami stanowić jej wiano klasztorne, inaczej mówiąc, przejść na własność zakonu benedyktynek, u których w sam dzień przyszłego Nowego Roku zamierzała biedna Oleńka rozpocząć nowicjat.

Rozważywszy bowiem wszystko, co ją spotkało i owe losów odmiany i zawody i boleści, przyszła do przekonania, że taka a nie inna musi być wola Boża. Zdawało się jej, że jakaś ręka wszechmocna popycha ją do celi, że jakiś głos mówi jej:

— Tam ono najlepsze uspokojenie i koniec wszystkich trosk światowych!

Więc postanowiła pójść za tym głosem; czując jednak

w głębi sumienia, że jeszcze jej dusza nie zdołała oderwać się zupełnie od ziemi, pragnęła pierwej przygotować ją gorącą pobożnością, dobremi uczynkami i pracą. Często też w tych usiłowaniach przeszkadzały jej echa ze świata.

Oto naprzykład poczęli ludzie przebąkiwać, że ów przesławny Babinicz był to Kmicic. Jedni zaprzeczali gorąco, drudzy powtarzali wieść uporczywie.

Oleńka nie uwierzyła. Nadto przytomne były w jej pamięci wszystkie uczynki Kmicica i jego u Radziwiłłów służby, aby chociaż na chwilę przypuszczać mogła, że on jest pogromcą Bogusława i tak wiernym sługą królewskim, takim gorącym patriotą. Jednak jej spokój został zmącony, a żal i ból podniosły się na nowo w jej piersi.

Można było temu zaradzić przyśpieszonem wejściem do klasztoru, lecz klasztory były rozproszone; mniszki, które nie zginęły od żołdackiej swawoli w czasie wojny, poczynały dopiero się zbierać.

Nędza też panowała w kraju powszechna i kto się chciał w mury konwentów chronić, musiał nietylko z własnym chlebem przychodzić, ale i cały konwent nim żywić.

Oleńka chciała przyjść właśnie z chlebem do klasztoru, zostać nietylko siostrzyczką, ale i karmicielką mniszek.

Miecznik, wiedząc, że na chwałę Bożą ma iść jego praca, pracował gorliwie. Objeżdżali więc razem pola i folwarki, pilnując prac jesiennych, które z przyszłą wiosną miały plon przynieść. Czasem towarzyszyła im Anusia Borzobohata, która, nie mogąc przenieść afrontu, jaki jej Babinicz uczynił, groziła, że także do klasztoru wstąpi i czeka tylko, aby pan Wołodyjowski odprowadził laudańskich, bo się chce z dawnym przyjacielem pożegnać. Częściej jednak miecznik z samą tylko Oleńką puszczał się na objazdy, bo Anusię nudziło gospodarstwo.

Pewnego razu wyjechali oboje na podjezdkach do Mitrunów, w których odbudowywano pogorzałe czasu wojny stodoły i obory.

Po drodze mieli wstąpić do kościoła, bo to była właśnie

rocznica wołmontowickiej bitwy, w której z ostatniej toni zostali przez nadejście Babinicza uratowani. Cały dzień zeszedł im na rozlicznych zajęciach, tak, że dopiero pod wieczór mogli wyruszyć z Mitrunów.

W tamtą stronę jechali drogą kościelną, ale wracać wypadało im koniecznie na Lubicz i Wołmontowicze. Panna ledwie ujrzała pierwsze dymy lubickie, zaraz odwróciwszy oczy, poczęła szybko odmawiać pacierze, aby bolesne myśli odegnać, miecznik zaś jechał w milczeniu i tylko rozglądał się dokoła.

Wreszcie, gdy już minęli kołowrót, rzekł:

— Senatorska to gleba! Lubicz za dwoje Mitrunów stanie.

Oleńka dalej odmawiała pacierze.

Lecz w mieczniku przebudził się widocznie dawny zawołany gospodarz, a może i szlachcic do pieniactwa potrosze skłonny, bo po chwili rzekł znowu, jakby sam do siebie:

— A przecie po prawdzie to nasze... Stara billewiczowska substancja, nasz pot, nasz trud. Tamten nieszczęśnik musiał dawno zginąć, skoro się nie zgłosił, a choćby się i zgłosił, prawo za nami!

Tu zwrócił się do Oleńki:

— Co myślisz, proszę?

Na to panna:

— Przeklęte to miejsce. Niech się z niem co chce dzieje.

— Ale bo, widzisz, prawo za nami. Miejsce przeklęte było w złych rękach, a stanie się błogosławione w dobrych. Prawo za nami!

— Nigdy! Nie chcę o niczem wiedzieć. Dziaduś bez restrykcji zapisał, niechże jego krewni biorą.

To rzekłszy, popędziła podjezdka; miecznik dał także swojemu ostrogi i nie zwolnili aż w czystem polu. Tymczasem zapadła noc, ale widno było zupełnie, bo ogromny czerwony miesiąc wynurzył się z za wołmontowickiego lasu i rozświecił całą okolicę złotym blaskiem.

— A no! dał Bóg piękną noc — ozwał się miecznik, patrząc w kolisko księżyca.

— Jak to się Wołmontowicze świecą zdaleka! — rzekła Oleńka.

— Bo drzewo jeszcze na domach nie sczerniało.

Dalszą rozmowę przerwało im skrzypienie wozu, którego zrazu dojrzeć nie mogli, bo droga w tem miejscu szła falisto, wkrótce jednak ujrzeli parę koni, za nią następną parę przy dyszlu, a wkońcu drabiniasty półtorak, otoczony przez kilka jeźdźców.

— Co to za ludzie mogą być? — rzekł miecznik.

I zatrzymał konia; Oleńka stanęła przy nim.

Tamci przez ten czas zbliżali się coraz więcej, nakoniec przyjechali tuż.

— Stój! — zawołał miecznik. — A kogo to tam wieziecie?

Jeden z jeźdźców zwrócił się ku nim:

— Pana Kmicica wieziem, który pod Magierowem od Węgrzynów postrzelon.

— Słowo stało się ciałem! — zakrzyknął miecznik.

Oleńce świat cały zakręcił się nagle w oczach; serce w niej zamarło, piersiom zabrakło oddechu. Głosy jakieś wołały jej w duszy: — Jezusie, Marjo! To on! — Poczem całkiem opuściła ją świadomość, gdzie jest, co się z nią dzieje.

Ale nie spadła z konia na ziemię, bo ręką chwyciła konwulsyjnie za drabinę wozu. I z chwilą, gdy przyszła do przytomności, oczy jej padły na nieruchomy kształt ludzki, leżący na wozie. Tak, to był on, pan Andrzej Kmicic, chorąży orszański. I leżał nawznak na wozie; głowę miał obwiniętą w chusty, ale przy czerwonym blasku miesiąca widać było doskonale jego twarz białą i spokojną, jakby z marmuru wykutą lub zlodowaciałą pod tchnieniem śmierci. Oczy miał głęboko zapadłe i zamknięte, życie nie zdradzało się w nim najmniejszym ruchem.

— Z Bogiem!... — rzekł, zdejmując czapkę, pan miecznik.

— Stój! — zawołała Oleńka.

I poczęła pytać cichym, ale prędkim, jakoby gorączkowym głosem:

— Żyw jeszcze, czy zmarły?

— Żyw, ale śmierć nad nim.

Tu miecznik, spojrzawszy na twarz Kmicica, ozwał się znowu:

— Nie dowieziecie go do Lubicza.

— Kazał się koniecznie tam wieźć, bo tam chce umrzeć.

— Z Bogiem! Śpieszcie się!

— Czołem bijemy!

I wóz ruszył dalej, a Oleńka z miecznikiem skoczyli co tchu w koniach w przeciwną stronę. Przelecieli przez Wołmontowicze, jak dwa widziadła nocne i dopadli do Wodoktów, nie mówiąc do siebie ni słowa przez drogę; dopiero zsiadając z konia, Oleńka zwróciła się do stryja:

— Księdza mu trzeba posłać! — rzekła zdyszanym głosem — niech w tej chwili ktoś do Upity rusza!

Miecznik zajął się żywo spełnieniem polecenia, ona zaś wpadła do swojej izby i rzuciła się na kolana przed obrazem Najświętszej Panny.

W parę godzin potem, późną już nocą, dzwonek ozwał się przed bramą Wodoktów. To ksiądz przejeżdżał z Panem Jezusem do Lubicza.

Panna Aleksandra klęczała ciągle. Usta jej powtarzały litanję, którą się przy konających odmawia. A gdy ją odmówiła, po trzykroć poczęła bić głową o podłogę i powtarzać ustawicznie:

— Panie! policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie! Panie, policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie!... Odpuść mu! zmiłuj się nad nim!...

Na tem zeszła jej cała noc. Ksiądz bawił w Lubiczu aż do rana, a wracając sam wstąpił do Wodoktów. Ona wybiegła na jego spotkanie.

— Czy już?... — spytała.

I nie mogła mówić więcej, bo jej oddechu zbrakło.

— Żyw jeszcze — odrzekł ksiądz.

Przez następnych dni kilkanaście codzień posłańcy latali z Wodoktów do Lubicza i każdy wracał z odpowiedzią, że pan chorąży „żyw jeszcze", nakoniec jeden przywiózł wiadomość, którą od cyrulika, sprowadzonego z Kiejdan usłyszał, że nietylko żyw, ale i zdrowy będzie, bo postrzały goją się szczęśliwie i siły rycerzowi wracają.

Panna Aleksandra posłała hojne ofiary na mszę dziękczynną do Upity, ale od owego dnia przestali chodzić posłańcy, i dziwna rzecz! w sercu dziewczyny, razem z uspokojeniem, począł się budzić dawny żal do pana Andrzeja. Winy jego przychodziły jej znowu co chwila do myśli, tak ciężkie, że nie do odpuszczenia. Śmierć jedynie mogła je pokryć niepamięcią... Gdy wracał do zdrowia, ciążyły znów nad nim... A jednak wszystko, co było można przytoczyć na jego obronę, powtarzała sobie codzień biedna Oleńka.

Tyle się zaś nagryzła przez te dni, tyle jednak rozterki było w jej duszy, że aż na zdrowiu poczęła szwankować.

Zaniepokoiło to wielce pana Tomasza, więc pewnego wieczora, gdy zostali sami, spytał ją:

— Oleńka, powiedz-no mi szczerze, co ty myślisz o chorążym orszańskim?

— Bogu wiadomo, że nie chcę o nim myśleć! — odrzekła.

— Bo to widzisz... pochudłaś... Hm!... Być może, że ty jeszcze... Jać nie nalegam na nic, jeno radbym wiedzieć, co się tam w tobie dzieje... Zali nie mniemasz, że wola nieboszczyka dziada twego powinna się spełnić?

— Nigdy! — odrzekła Oleńka. — Dziaduś zostawił mi też furtę otwartą... a ja do niej na Nowy Rok zapukam. W tem spełni się jego wola.

— Nie wierzyłem i ja temu zgoła, — odparł miecznik, — co tu niektórzy przebąkiwali. że Babinicz a Kmicic to jedno.

ale przecie pod Magierowem przy ojczyźnie, a przeciw nieprzyjaciołom się już oponował i krew rozlał. Późna to poprawa, aleć zawsze poprawa!

— A przecie i książę Bogusław już teraz królowi i Rzeczypospolitej służy — odpowiedziała z żalem panna. — Niechże im Bóg obydwom przebaczy, a zwłaszcza temu, który krew rozlał... Ludzie wszelako zawsze będą mieli prawo powiedzieć, że oto w chwili największego nieszczęścia, w chwili klęsk i upadku, na tę ojczyznę nastawali, a nawrócili się do niej dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciołom powinęła się już noga i gdy korzyść własna nakazywała ze zwycięzcą trzymać. Ot, w czem ich wina! Teraz już niema zdrajców, bo niema zysku ze zdrady! Ale jaka w tem zasługa?... Zali nie nowy to dowód, że tacy ludzie gotowi zawsze mocniejszemu służyć? Bógby dał! Bógby dał, żeby inaczej było, ale takich win Magierów nie opłaci...

— Prawda jest! Nie mogę negować — odrzekł miecznik. — Ciężka prawda, ale zawsze prawda! Wszyscy dawniejsi zdrajcy w czambuł do króla przeszli.

— Nad chorążym orszańskim — mówiła dalej panna — ciąży jeszcze straszniejszy, niż na księciu Bogusławie zarzut, bo pan Kmicic ofiarował się przecie na króla rękę podnieść, czego się sam książę przeląkł. Zali przypadkowy postrzał może to zmazać?... Tę rękę pozwoliłabym sobie uciąć, gdyby tego nie było... ale to było, jest i nie odstanie się więcej! Bóg widocznie zostawił mu życie właśnie dlatego, żeby mógł pokutować... Mój stryju! Mój stryju! tożbyśmy się oszukiwali sami, gdybyśmy chcieli w siebie wmówić, że on jest czysty. I co stąd za zysk? Zali sumienie da się oszukać? Niechże się dzieje wola boska. Co się rozerwało, to nie zwiąże się więcej i nie powinno! Szczęśliwam, że pan chorąży żywie... przyznaję, bo znać, że Bóg nie odwrócił jeszcze całkiem od niego łaski Swojej... Ale dość mi na tem! Szczęśliwa będę, gdy usłyszę, że zmazał winy, ale niczego więcej nie chcę, nie pragnę! choćby tam dusza we mnie jeszcze pocierpieć miała... Niechaj go Bóg wspomaga...

Tu Oleńka dłużej nie mogła mówić, bo płacz ją porwał wielki i żałosny, ale był to płacz ostatni. Wypowiedziała wszystko, co nosiła w sercu i od tej pory spokój znów począł jej wracać.

ROZDZIAŁ XVI.

Rogata dusza junacka nie chciała istotnie wychodzić z cielesnej powłoki i nie wyszła. W miesiąc po powrocie do Lubicza rany pana Andrzeja poczęły się goić, wcześniej zaś jeszcze odzyskał przytomność i rozejrzawszy się po izbie, zgadł zaraz, iż już jest w Lubiczu.

Następnie począł wołać wiernego Soroki.

— Soroka! — rzekł — miłosierdzie Boże jest nade mną! Czuję, iż nie umrę!

— Wedle rozkazu! — odpowiedział stary żołnierz, rozgniatając łzę kułakiem.

A Kmicic mówił dalej, jakby sam do siebie:

— Skończona pokuta... widzę to jaśnie. Miłosierdzie Boże jest nade mną!

Potem milczał przez chwilę, jeno mu się wargi poruszały modlitwą.

— Soroka! — rzekł znów po chwili.

— Do usług waszej miłości!

— A kto tam jest w Wodoktach?

— Jest panna i pan miecznik rosieński.

— Pochwalone imię Pańskie! Przychodził-li tu kto pytać się o mnie?

— Przysyłali z Wodoktów, pókiśmy nie powiedzieli, że wasza miłość zdrów będzie.

— A potem przestali przysyłać?

— Potem przestali.

Na to Kmicic:

— Nic jeszcze nie wiedzą, ale się ode mnie samego dowiedzą. Nie mówiłżeś nikomu, żem tutaj jako Babinicz wojował?

— Nie było rozkazu — odrzekł żołnierz.

— A laudańscy z panem Wołodyjowskim nie wrócili jeszcze?

— Niemasz ich jeszcze, ale lada dzień zjadą.

Na tem skończyła się pierwszego dnia rozmowa. We dwa tygodnie później pan Kmicic wstawał już i chodził na kulach, a następnej niedzieli uparł się jechać do kościoła.

— Pojedziem do Upity, — rzekł do Soroki, — bo od Boga trzeba poczynać, a po mszy do Wodoktów.

Soroka nie śmiał się sprzeciwiać, więc kazał jeno wymościć sianem skarbniczek, a pan Andrzej wystroił się odświętnie i pojechali.

Przyjechali wczas, gdy mało jeszcze ludzi było w kościele. Pan Andrzej, wsparty na ramieniu Soroki, podszedł pod sam wielki ołtarz i klęknął w kolatorskiej ławce; nikt też go nie poznał, tak zmienił się wielce; twarz miał bardzo chudą, wynędzniałą, a przytem nosił długą brodę, która mu czasu wojny i choroby wyrosła. Kto i spojrzał na niego, pomyślał, że jakiś przejezdny personat na mszę wstąpił; kręciło się bowiem wszędzie pełno przejezdnej szlachty, która z pola do swych majętności wracała.

Lecz kościół zwolna napełniał się ludem i okoliczną szlachtą; zaczem poczęli zjeżdżać i posesjonaci z dalekich stron, bo w wielu miejscach kościoły były popalone i mszy trzeba było aż w Upicie szukać.

Kmicic zatopiony w modlitwie nie widział nikogo; z pobożnego zamyślenia zbudziło go dopiero skrzypienie ławki pod nogami wchodzących do niej osób.

Wówczas podniósł głowę, spojrzał i spostrzegł tuż nad sobą słodką a smutną twarz Oleńki.

Ona także dostrzegła go i poznała w tej chwili, bo cofnęła się nagle, jakby przerażona; najprzód płomień, a potem bladość śmiertelna wystąpiła na jej twarz, lecz najwyższem wysileniem woli przemogła wrażenie i klękła tuż koło niego; trzecie miejsce zajął pan miecznik.

I Kmicic i ona pochylili głowy i wsparłszy twarze na

dłoniach, klęczeli obok siebie w milczeniu, a serca biły im tak, że je słyszeli oboje doskonale. Wreszcie pan Andrzej przemówił pierwszy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... — odrzekła półgłosem Oleńka.

I więcej nie mówili do siebie.

Tymczasem ksiądz wyszedł z kazaniem; słuchał go Kmicic, ale mimo usiłowań, i nie słyszał i nie rozumiał. Oto ona, ta upragniona, do której od lat całych już tęsknił, która nigdy nie schodziła mu z myśli i z serca, była teraz tuż pod jego bokiem. I czuł ją koło siebie i nie śmiał zwracać ku niej oczu, bo był w kościele, lecz przymknąwszy powieki, łowił uchem jej oddech.

— Oleńka! Oleńka przy mnie! — mówił sobie — oto Bóg nam się w kościele po rozłące spotkać kazał...

Więc myśli jego i serce powtarzały bez ustanku to imię:

— Oleńka, Oleńka, Oleńka!

I chwilami płacz radości chwytał go za gardło, to znów porywało go takie uniesienie dziękczynnej modlitwy, że aż świadomość tracił, co się z nim dzieje.

Ona klęczała ciągle z twarzą ukrytą w dłoniach.

Ksiądz skończył kazanie i zszedł z ambony.

Nagle przed kościołem rozległ się szczęk broni i tętent kopyt końskich. Ktoś krzyknął przed progiem kościoła: — Lauda wraca! — i wnet w samej świątyni zerwały się szmery, potem gwar, potem coraz głośniejsze wołanie:.

— Lauda! Lauda!

Tłumy poczęły się kołysać, wszystkie głowy zwróciły się naraz ku drzwiom.

A wtem zaroiło się we drzwiach i hufiec zbrojny pojawił się w kościele. Na czele szli z brzękiem ostróg pan Wołodyjowski i pan Zagłoba. Tłumy rozstępowały się przed nimi, a oni przeszli przez cały kościół, klękli przed ołtarzem, pomodlili się krótką chwilę, poczem obaj weszli do zakrystji.

Laudańscy zatrzymali się w pół nawy, nie witając się dla powagi miejsca z nikim.

Ach! co za widok! Groźne twarze, ogorzałe od wichrów, wychudłe z trudów bojowych, pocięte szablami Szwedów, Niemców, Węgrów, Wołochów. Cała historja wojny i chwała pobożnej Laudy mieczem na nich wypisana. Oto ponure Butrymy, oto Stakjany, Domaszewicze, Gościewicze, wszystkich potrosze. Lecz ledwie czwarta część wróciła z tych, którzy ongi pod Wołodyjowskim z Laudy wyruszyli.

Wiele niewiast napróżno szuka mężów, wielu starców napróżno wypatruje synów, więc płacz wzmaga się, bo i ci, którzy znajdują swoich, płaczą z radości. Cały kościół rozlega się szlochaniem; od czasu do czasu głos jakiś imię kochane wykrzyknie i zmilknie, a oni stoją w chwale, wsparci na mieczach, lecz i im po srogich bliznach łzy spływają na wąsiska.

Wtem dzwonek targnięty przy drzwiach zakrystji, uciszył płacze i gwary. Wszyscy klękli, wyszedł ksiądz ze mszą, a za nim w komżach pan Wołodyjowski i pan Zagłoba i ofiara się rozpoczęła.

Lecz ksiądz także był wzruszony i gdy pierwszy raz zwrócił się do ludu, mówiąc: — Dominus vobiscum! — głos mu drgał; gdy zaś przyszło do ewengelji i wszystkie szable naraz wysunęły się z pochew, na znak, że Lauda zawsze gotowa wiary bronić, a w kościele stało się aż jasno od stali, to ledwie mógł odśpiewać ewangelję.

Odśpiewano potem wśród powszechnego uniesienia suplikacje, wreszcie msza się skończyła, lecz ksiądz, pochowawszy Sakrament w cyborjum, odwrócił się już po ostatniej ewangelji ku tłumom na znak, że pragnie coś powiedzieć.

Więc uczyniło się cicho; ksiądz zaś w serdecznych słowach powitał najprzód wracających żołnierzy, wreszcie oznajmił, że list królewski zostanie odczytany, przez pułkownika chorągwi laudańskiej przywieziony.

Więc uczyniło się jeszcze ciszej i po chwili po całym kościele rozległ się głos od ołtarza:

„My, Jan Kazimierz, król polski, wielki książę litewski,

mazowiecki, pruski etc. etc. etc. W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, amen.

Jako złych ludzi szpetne przeciw majestatowi i ojczyźnie występki, zanim przed sądem niebieskim staną, już w tem życiu doczesnem mają otrzymać karę, tak równie słusznem jest, ażeby cnota nie zostawała bez nagrody, która cnocie samej blasku chwały, a potomnym zachęty do naśladowania cnych przykładów dodawać winna.

Przeto wiadomo czynimy całemu stanowi rycerskiemu, mianowicie zaś ludziom wojskowym i świeckim urzędy mającym, cuius vis dignitatis et praeminentiae, oraz wszystkiemu obywatelstwu W. Ks. Litewskiego i naszego starostwa żmudzkiego, że jakiekolwiek gravamina ciążyłyby na urodzonym a nam wielce miłym panu Andrzeju Kmicicu, chorążym orszańskim, te coram jego następnych zasług i chwały zniknąć z pamięci ludzkiej mają, w niczem czci i sławy pomienionemu chorążemu orszańskiemu nie ujmując".

Tu ksiądz przestał czytać i spojrzał ku ławce, w której pan Andrzej siedział, on zaś powstał na chwilę i wnet usiadł znowu, głowę swą wynędzniałą wsparł o dalę i przymknął powieki, jakoby w omdleniu.

A wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, wszystkie usta poczęły szeptać:

— Pan Kmicic! Kmicic! Kmicic! tam, obok Billewiczów.

Lecz ksiądz skinął ręką i począł czytać dalej, wśród głuchego milczenia:

„Który chorąży orszański, lubo w początkach nieszczęsnej owej szwedzkiej inkursji po stronie księcia wojewody się opowiedział, przecie uczynił to nie z żadnej prywaty, ale z najszczerszej ku ojczyźnie intencji, perswazją tegoż księcia do błędu przywiedzion, jakoby taka jeno, a nie inna droga salutis reipublicae zostawała, jaką sam książę kroczył.

A przybywszy do księcia Bogusława, który za przedaw-

czyka go mając, wszystkie nieżyczliwe praktyki przeciw ojczyźnie jaśniej przed nim odkrył, nietylko pomieniony chorąży orszański na osobę naszą ręki podnosić nie obiecywał, ale samego księcia zbrojną ręką porwał, aby się za nas i za utrapioną ojczyznę pomścić...“

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznej! — zawołał niewieści głos tuż około pana Andrzeja, a w kościele zerwał się znowu gwar zdumienia.

Ksiądz czytał dalej:

„Przez tegoż księcia postrzelon, ledwie do zdrowia przyszedłszy, do Częstochowy się udał i tam piersią własną najświętszy przybytek osłaniał, przykład wytrwania i męstwa wszystkim dając; tamże z niebezpieczeństwem zdrowia i życia największe działo burzące prochami rozsadził, przy którym hazardzie pojman, na śmierć przez okrutnych nieprzyjaciół był skazany, a przedtem żywym ogniem palony...“

Tu już płacz niewieści rozległ się tu i owdzie po kościele. Oleńka trzęsła się cała, jak w paroksyzmie febry.

„Ale i z tych srogich terminów, mocą Królowej Anielskiej wyratowan, do nas na Śląsk się udał i w powrocie naszym do miłej ojczyzny, gdy zdradliwy nieprzyjaciel zasadzkę nam nagotował, pomieniony chorąży orszański samoczwart tylko na całą potęgę nieprzyjacielską się rzucił, osobę naszą ratując. Tam posieczon i rapierami skłuty, do półboków we krwi własnej rycerskiej się pławiąc, z pobojowiska jako bez duszy był podniesion...“

Oleńka obie ręce przyłożyła do skroni i podniósłszy głowę, poczęła łowić w spieczone usta powietrze. Z piersi jej wychodził jęk:

— Boże! Boże! Boże!

I znów zabrzmiał głos księdza, także coraz bardziej wzruszony:

„A gdy staraniem naszem do zdrowia przyszedł i wtedy nie spoczął, ale dalsze wojny odprawował, z chwałą niezmierną stawając w każdej potrzebie, za wzór rycerstwu przez hetmanów obojga narodów podawany, aż do szczęśli-

wego zdobycia Warszawy, po którem do Prus pod przybranem nazwiskiem Babinicza był wyprawiony...“

Gdy to imię zabrzmiało w kościele, gwar ludzki zmienił się jakoby w szmer fali. Więc Babinicz, to on? Więc ów pogromca Szwedów, zbawca Wołmontowicz, zwycięzca w tylu bitwach, to Kmicic? Szum wzmagał się coraz bardziej, tłumy poczęły cisnąć się ku ołtarzowi, aby go widzieć lepiej.

— Boże błogosław mu! Boże błogosław! — ozwały się setki głosów.

Ksiądz zwrócił się ku ławce i przeżegnał pana Andrzeja, który wsparty ciągle o dalę, do umarłego, niż do żywego był podobniejszy, bo dusza wyszła zeń ze szczęścia i uleciała ku niebiosom.

Poczem kapłan dalej czytał:

„Tamże nieprzyjacielski kraj ogniem i mieczem spustoszył, do wiktorji pod Prostkami głównie się przyczynił, księcia Bogusława własną ręką obalił i pojmał, następnie do starostwa naszego żmudzkiego powołany, jak niezmierne usługi oddał, ile miast i wsiów od nieprzyjacielskiej ręki uchronił, o tem tamtejsi incolae najlepiej wiedzieć powinni“

— Wiemy! wiemy! wiemy! — grzmiało w całym kościele.

— Uciszcie się — rzekł ksiądz, podnosząc pismo królewskie ku górze.

„Przeto my (czytał dalej) rozważywszy wszystkie jego zasługi względem naszego majestatu i ojczyzny tak niezmierne, że i syn większych ojcu i matce oddaćby nie mógł, postanowiliśmy je w tym liście naszym promulgować, ażeby tak wielkiego kawalera, wiary, majestatu i Rzeczypospolitej obrońcę, nieżyczliwość ludzka dłużej już nie ścigała, lecz aby przynależną cnotliwym chwałą i powszechną miłością okryty chodził. Nim zaś sejm następny, chęci te nasze potwierdzając, wszelką zmazę z niego zdejmie i nim starostwem upiokiem, które vacat, nagrodzić go będziem mogli, prosim uprzejmie nam miłych obywatelów starostwa naszego żmudzkiego, aby te słowa nasze w sercach i umysłach zatrzymali.

które nam sama j u s t i t i a, f u n d a m e n t u m r e g n o r u m przesłać, ku ich pamięci, nakazała".

Tu skończył ksiądz i zwróciwszy się do ołtarza, modlić się począł; pan Andrzej zaś uczuł nagle, że jakaś dłoń miękka chwyta jego rękę, spojrzał: była to Oleńka i nim miał czas pomiarkować się, cofnąć dłoń, panna podniosła ją i przycisnęła do ust wobec wszystkich, w obliczu ołtarza i tłumów.

— Oleńka! — krzyknął zdumiony Kmicic.

Lecz ona wstała i zakrywszy twarz zasłoną, rzekła do miecznika:

— Stryju! chodźmy, chodźmy stąd prędko!

I wyszli przez drzwi zakrystji.

Pan Andrzej próbował wstać, wyjść za nią, lecz nie mógł... Siły opuściły go zupełnie.

Natomiast w kwadrans później znalazł się przed kościołem, trzymany pod ręce przez pana Wołodyjowskiego i pana Zagłobę.

Tłumy obywatelstwa, drobnej szlachty i pospolitego ludu cisnęły się dokoła; niewiasty — zaledwie która zdołała się oderwać od piersi wracającego z wojny męża — już wiedzione ciekawością, płci swojej właściwą, biegły popatrzyć na tego strasznego ongi Kmicica, dziś zbawcę Laudy i przyszłego starostę. Koło zaciskało się coraz więcej, aż laudańscy musieli wkońcu otoczyć i bronić od natłoku rycerza.

— Panie Andrzeju! — wołał pan Zagłoba — ot, przywieźliśmy ci gościńca. Sam się takiego nie spodziewałeś! Do Wodoktów teraz, do Wodoktów na zrękowiny i wesele!...

Dalsze słowa pana Zagłoby zginęły w gromkim okrzyku, który naraz pod przywództwem Józwy Beznogiego podnieśli wszyscy laudańscy:

— Niech żyje pan Kmicic!

— Niech żyje! — powtórzyły tłumy. — Nasz starosta upicki niech żyje! niech żyje!

— Do Wodoktów! wszyscy! — huknął znowu pan Zagłoba.

— Do Wodoktów! Do Wodoktów! — wrzasnęło tysiąc ust. — W swaty do Wodoktów, z panem Kmicicem, z naszym zbawcą! Do panienki! do Wodoktów!

I ruch uczynił się ogromny. Lauda siadła na koń; z tłumów kto żyw, dopadał wozów, bryczek, wasągów, podjezdków. Piesi naprzełaj poczęli biec przez lasy i pola. Okrzyk: — Do Wodoktów! — brzmiał w całem miasteczku. Drogi zaroiły się różnobarwnemi kupami ludzi.

Pan Kmicic jechał w skarbniczku między Wołodyjowskim i Zagłobą i raz wraz któregoś brał w ramiona. Mówić jeszcze nie mógł, bo zbyt był wzruszony, zresztą pędzili tak, jakby Tatarzy na Upitę napadli. Wszystkie bryki i wozy pędziły tak samo koło nich.

Byli już dobrze za miastem, gdy nagle pan Wołodyjowski pochylił się do ucha Kmicica.

— Jędrek, — spytał się, — a nie wiesz, gdzie tamta?

— W Wodoktach! — odpowiedział rycerz.

Wówczas, czy wiatr począł tak poruszać wąsikami pana Michała, czy wzruszenie, niewiadomo, dość, że przez całą drogę nie przestawały wysuwać się naprzód, jakby dwa szydła, lub dwie macki chrabąszcza.

Pan Zagłoba śpiewał z radości tak okrutnym basem, że aż się konie płoszyły:

Dwoje nas było Kasieńko, dwoje na świecie,
Ale mi się coś wydaje, że jedzie trzecie.

Anusia nie była tej niedzieli w kościele, bo przy słabej pannie Kulwiecówne zkolei zostać musiała, przy której się z Oleńką dzień po dniu zmieniały.

Cały ranek zajęta była doglądaniem i opatrunkiem chorej, tak, że późno dopiero mogła się zabrać do pacierzy.

Zaledwie jednak wymówiła ostatnie: „Amen“, gdy zaturkotało przed bramą i Oleńka wpadła jak wicher do pokoju.

— Jezus, Marja! Co się stało?! — krzyknęła, spojrzawszy na nią panna Borzobohata.

— Anusiu! wiesz kto jest pan Babinicz?... To pan Kmicic!

Anusia zerwała się na równe nogi.

— Kto ci powiedział?

— Czytano list królewski... pan Wołodyjowski przywiózł... laudańscy...

— To pan Wołodyjowski wrócił?... krzyknęła Anusia.

I nagle rzuciła się w ramiona Oleńki.

Oleńka przyjęła ten wybuch czułości, jako dowód Anusinego afektu dla siebie, bo zresztą była zgorączkowana, prawie nieprzytomna. Na twarzy miała ogniste wypieki, a pierś jej falowała, jak gdyby z wielkiego zmęczenia.

Więc poczęła opowiadać bez ładu i przerywanym głosem wszystko, co w kościele słyszała, biegając przytem jak szalona po komnacie i powtarzając co chwila: — To ja go nie warta! — czyniąc sobie zarzuty okrutne, że go najgorzej ze wszystkich krzywdziła, że nawet modlić się za niego nie chciała, wówczas, gdy on we krwi własnej za Najświętszą Pannę, za ojczyznę i za króla się pławił.

Próżno Anusia, biegając za nią po izbie, próbowała ją pocieszać. Ona powtarzała wciąż jedno, że go nie warta, że nie śmiałaby mu w oczy spojrzeć; to znów poczynała mówić o czynach Babinicza, o porwaniu Bogusława, o jego zemście, o ocaleniu króla, o Prostkach i Wołmontowiczach i Częstochowie; to wreszcie o swoich winach i o swojej zawziętości, za którą musi odpokutować w klasztorze.

Dalsze jej wyrzekania przerwał pan Tomasz, który wpadłszy jak bomba do komnaty, zakrzyknął:

— Na Boga! cała Upita do nas wali! Już są we wsi, a Babinicz pewnie z nimi!

Jakoż za chwilę daleki krzyk zwiastował zbliżanie się tłumów. Miecznik porwał Oleńkę i wyprowadził na ganek; Anusia wypadła za nimi.

Wtem tłumy ludzi i koni zaczerniły się wdali i jak okiem sięgać, cała droga była jeszcze nimi zapchana. Dobiegli wkońcu do dziedzińca. Piesi przedostawali się szturmem przez fosę i płoty; wozy tłoczyły się w bramie, a wszystko to krzyczało, wyrzucało czapki w górę.

Wreszcie ukazał się huf zbrojny laudańskich, otaczających skarbniczek, w którym siedziało trzech mężów: pan Kmicic, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

Skarbniczek zatrzymał się nieco opodal, bo już tyle ludu natłoczyło się przed gankiem, że nie można było tuż dojechać. Zagłoba z Wołodyjowskim wyskoczyli pierwsi i pomógłszy Kmicicowi zsiąść, zaraz chwycili go pod ramiona.

— Rozstąpcie się — krzyknął Zagłoba.

— Rozstąpić się! — powtórzyli laudańscy.

Ludzie usunęli się zaraz, tak, że środkiem tłumu utworzyła się droga, po tkórej wiedli Kmicica aż do ganku dwaj rycerze. On słaniał się i blady był bardzo, ale szedł z głową podniesioną, zarazem zmieszany i szczęśliwy.

Oleńka oparła się o odrzwia i ręce opuściła bezwładnie po sukni; lecz gdy był już blisko, gdy spojrzała w twarz tego mizeraka, który po tylu latach rozłąki zbliżał się oto jak Łazarz, bez kropli krwi w twarzy, wówczas szlochanie rozdarło na nowo jej piersi. On ze słabości, ze szczęścia i zmieszania nie wiedział sam, co ma mówić, więc wstępując na ganek, powtarzał tylko przerywanym głosem:

— A co, Oleńka, a co?

Ona zaś obsunęła mu się nagle do kolan.

— Jędruś! ran twoich nie godnam całować!

Ale w tej chwili wyczerpane siły wróciły rycerzowi, więc porwał ją z ziemi jak piórko i do piersi przycisnął.

Okrzyk jeden ogromny, od którego zadrżały ściany domów i ostatki liści z drzew opadłych, zgłuszył wszystkie uszy. Laudańscy poczęli palić z samopałów, czapki wylatywały w górę, naokół widziałeś tylko uniesione radością twarze, rozpalone oczy i otwarte usta wrzeszczące:

— Vivat Kmicic! vivat Billewiczówna! Vivat młoda para!

— Vivant dwie pary! — huczał Zagłoba.

Ale głos jego ginął w burzy ogólnej.

Wodokty zmieniły się jakoby w obóz. Przez cały dzień rznięto z rozkazu miecznika barany i woły, wykopywano z ziemi beczki miodu i piwa. Wieczorem zasiedli wszyscy do uczty, starsi i znamienitsi w komnatach, młodsi w czeladnej, prostactwo również weseliło się przy ogniskach na podwórzu.

Przy głównym stole krążyły kielichy na cześć dwóch par szczęśliwych, gdy zaś ochota doszła do najwyższego stopnia, pan Zagłoba wzniósł jeszcze toast następujący:

— Do cię zwracam się, cny panie Andrzeju i do cię, stary druhu panie Michale! Niedość było piersi nadstawiać, krew rozlewać, nieprzyjaciół wycinać! Nie skończony trud wasz, bo gdy siła ludzi czasu tej okrutnej wojny poległo, musicie teraz nowych obywatelów, nowych obrońców tej miłej Rzeczypospolitej przysporzyć, do czego, tuszę, nie zbraknie wam męstwa, ni ochoty! Mości panowie! na cześć onych przyszłych pokoleń! Niechże im Bóg błogosławi i pozwoli ustrzec tej spuścizny, którą im odrestaurowaną naszym trudem, naszym potem i naszą krwią, zostawujem. Niech, gdy ciężkie czasy nadejdą, wspomną na nas i nie desperują nigdy, bacząc na to, że niemasz takowych terminów, z którychby się viribus unitis przy Boskich auxiliach podnieść nie można.

* * *

Pan Andrzej niezadługo po ślubie na nową wojnę ruszył, która od wschodniej ściany wybuchła. Lecz piorunujące zwycięstwo Czarnieckiego i Sapiehy nad Chowańskim i Dołgorukim, a hetmanów koronnych nad Szeremetem, ukończyły ją wkrótce. Wówczas wrócił Kmicic świeżą chwałą okryty i na stałe w Wodoktach osiadł. Chorąstwo orszańskie wziął po nim stryjeczny jego Jakób, który później do nie-

szczęsnej konfederacji wojskowej należał, pan Andrzej zaś duszą i sercem stojąc przy królu, starostwem upickiem nagrodzon, żył długo w przykładnej zgodzie i miłości z Laudą, powszechnym szacunkiem otoczony. Niechętni (bo któż ich nie ma) mówili wprawdzie, że żony we wszystkiem zbytnio słucha, ale on się tego nie wstydził, owszem sam przyznawał, że w każdej ważniejszej sprawie zawsze rady jej zasięga.

KONIEC TOMU SZÓSTEGO I OSTATNIEGO.